

LAURA CASSIDY

ZA GŁOSEM SERCA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W dniu ślubu swego brata George'a Anna Latimar wstała późno. Często pozwalala sobie na długie leżenie w łozu, ponieważ należała do osób, które lubią używać życia, a tańce i zabawa do Bóg wie której godziny są, jak wiadomo, męczące.

Przysięgła sobie jednak, że tego dnia zmobilizuje wszystkie siły i zejdzie na dół wcześniej niż zwykle, aby pomóc matce przy uroczystym śniadaniu. Dlatego zlustrowawszy spojrzeniem swą nową, piękną suknię, uszytą specjalnie na ślub, a teraz rozłożoną na komodzie, najpierw szybko ochlapała twarz letnią wodą, potem błyskawicznie wdziała codzienny strój, i już pędziła po schodach do sieni tak żwawo, że aż powiewały jej długie, czarne włosy.

Bess, matka Anny, która rzecz jasna krzątała się już od dawna, podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, kochanie. Taki nieład we włosach przynosi ci wstyd. - Dodała to jedynie z poczucia obowiązku, bo w głębi duszy uważała, że żadna kobieta nie wygląda zaraz po przebudzeniu tak pięknie, jak jej córka. To będzie jej wielki atut, pomyślała Bess. Niewiele dam może pochwalić się z rana tak czystym spojrzeniem i gładką cerą.

Z drugiej strony, uroda Anny była tego typu, że nie wymagała wielu dodatków ani wyszukanych fryzur. Hojny los obdarzył pannę Latimar jasną karnacją, wielkimi, uroczymi ciemnoniebieskimi oczami, przysłoniętymi firanką czarnych rzęs, i bujnymi, kręcącymi się czarnymi włosami. Także figurę Anna miała doskonałą, niezaprzeczalnie kobiecą, aczkolwiek była smukła i długonoga.

Córka czule objęła Bess i by zapobiec następnej reprimendzie, powiedziała szybko:

- Wiem, mam, że nie włożyłam gorsetu i nie uczesałam włosów, ale spieszyłam się, by ci pomóc. Jest jeszcze mnóstwo czasu, na pewno zdążę wbić się w tę zbroję. Powiedz mi teraz, co mam robić.

Bess wybuchnęła śmiechem.

— Doprawdy umierałabym z niepokoju, gdyby o tej porze było jeszcze coś do zrobienia. Za dwie godziny Jej Wysokość przybędzie do kaplicy, a przecież pod żadnym pozorem nie wolno dopuścić, by królowa musiała czekać. Oblubienica zresztą też.

Anna zrobiła zawiedzioną minę i rozejrzała się po wielkiej sali. Był środek lata, więc służba ogołociła ogród, by jak najpiękniej przybrać pomieszczenie kwiatami. Zdobiły one barwnymi plamami ciemne drewno boazerii, a ich aromat mieszał się ze smakowitymi zapachami dopływającymi z kuchni.

Na długim dębowym stole, przykrytym śnieżnobiałym obrusem, stało szkło i srebra. Światło wpadające przez lśniące okna skupiało się pośrodku stołu, gdzie umieszczono piękny bukiet z pąków białej róży, którego połyskliwe liście odbijały blask świec płonących w kinkietach rozmieszczonych wokół sali.

W miejscach, gdzie światło przenikało przez witraż, na wypolerowanych deskach starej podłogi pstrzyły się nieregularnie plamy fioletu, różu i bursztynowej żółci. Nie miały jednak dostatecznie ostrych zarysów, pozwalających zauważyć, że wzór przedstawia znak herbowy Latimarów, czyli białego gołębia z różowymi oczami, siedzącego na złotej rękojeści miecza inkrustowanej ametystami. Anna spostrzegła, że u szczytu stołu dostawiono pod kątem prostym drugi, przeznaczony dla królowej i jej świty.

Siedziba Latimarów, czyli Maiden Court, nie prezentowała się zbyt okazale, szczególnie gdy weźmie się pod uwagę, że mieszkał tu earl z żoną i trojgiem dzieci, lecz Harry Latimar, który był tu panem, ogromnie nie lubił wprowadzać jakichkolwiek zmian w domu. Chociaż wielu dżentelmenów rozbudowywało swoje siedziby, dodając do nich po dwa skrzydła i osiągając w ten sposób kształt litery E, schlebiający nowej królowej, to Harry nie poddał się tej modzie i nadal mieszkał w starym dworze, pięknie położonym wśród parku i otoczonym lasem i żyznymi polami.

Domostwo dzielnie opierało się wiatrom od czasów jego pierwszego właściciela, szalonego normańskiego szlachcica, który, porzuciwszy wojaczkę i założywszy rodzinę, ucywilizował tę dziką ziemię, co kiedyś miało przynieść niezaprzeczalną korzyść Harry'emu. Warto przy tym wiedzieć, że Latimarowie przez wiele pokoleń stanowili podporę angielskiego tronu, nie musieli więc dawać specjalnych dowodów swej wierności.

- Czy to znaczy, że w niczym nie mogę pomóc? - spytała Anna. - A gdzie jest Hal?

Hal, czyli Henry, nazwany tak na cześć ojca obecnej królowej, był najmłodszym członkiem rodziny. Od bliźniaczego rodzeństwa, George'a i Anny, dzieliło go osiemnaście lat, lecz mimo to mały tyran wyraźnie dawał już odczuć swoją obecność.

- Bess, chociaż zachwycona tak późnym macierzyństwem, wiedziała jednak, że każdy kij ma dwa końce. Anna i George posiadali już stosowne maniery, jednak Hal jeszcze nie, toteż każdego wieczora, gdy wreszcie pozwalał się ułożyć w łóżeczku i zasypiał, jego matka czuła się bardzo zmęczona. Młodość daje energię, myślała Bess.

- Walter wziął go do stajni - westchnęła. - Dzięki Bogu, bo na niczym nie mogłam się skupić. - Bess zmarszczyła swe gładkie czoło. - Zdaje mi się, że Hal jeszcze nie pogodził się z utratą Judith.

- Przecież wcale jej nie utracił, tak jak nikt z nas. - Głos córki brzmiał bardzo

zdecydowanie i matka obrzuciła ją szybkim spojrzeniem.

Anna też jeszcze nie pogodziła się z tym, że jej brat, który mógł zalecać się do najelegantszych dam z całego kraju, wybrał piastunkę swojego młodszego braciszka, Judith Springfield. Dziewczyna przyjechała do Maidea Court z biednego gospodarstwa na zachodzie i wnet oczarowała George'a. W domu dochodziło z tego powodu do scen, trzeba było rozwiązać niejedną trudną sytuację, a panna Latimar nigdy do końca nie uznała wyboru brata.

- O czym myślisz, kochanie? - spytała Bess.

- Ja? Och... o niczym specjalnym. - Dobrze znała liberalne poglądy swojej matki, która uszanowała miłość dwojga młodych, całkiem nią urzeczona. Anna powzięła jednak postanowienie, że może poślubić tylko człowieka równego sobie stanem i bogactwem. Już dawno zaplanowała, że będzie to, w miarę możliwości, wierna kopia jej ojca... - Skoro jesteś pewna, że w niczym nie mogę ci pomóc, to pójdę na górę się przebrać. Gdzie jest ojciec... i George?

- George jest u siebie z друзami. Dokazują tam co niemiara, ale mam nadzieję, że nie przeszkodzi mu to stanąć przed ołtarzem. A ojciec pojechał na farmę Apple Tree.

Anne uśmiechnęła się.

- Sprawdzę na górze, czy mój braciszek i jego kompani są jeszcze trzeźwi i mogą wziąć udział w ceremonii. - Odwróciła się i wbiegła na schody, a matka patrzyła za nią zamyślona, choć właściwie powinna niezwłocznie udać się do kuchni, by rozstrzygnąć kulinarne dylematy kucharek i podkuchennych.

Zapowiedź ślubu George'a Latimara wywołała duże poruszenie w sąsiedztwie nie tylko ze względu na wybór oblubienicy. Naturalnie był on trudny do przyjęcia dla zamkniętej społeczności właścicieli ziemskich, ale wiele okolicznych pań domów nie mogło również powstrzymać się od kwaśnych uwag na temat drugiego z rodzeństwa, bo choć brat bliźniak w końcu zdecydował się ustatkować, to siostra, będąca panną już nie pierwszej młodości, nadal nie miała nawet narzeczonego.

Mężczyźni winili za ten stan rzeczy Harry'ego i Bess, bo przecież taka godna rodzina, mająca związki z królewskim dworem, powinna była już dawno zatroszczyć się o młode pokolenie i znaleźć panience narzeczonego, gdy ta jeszcze leżała w kołysce. Tak uważali dżentelmeni. Natomiast matrony winiły samą Annę, o wiele piękniejszą i bardziej energiczną od ich córek, lecz zarazem dziwnie wybredną, gdy w grę wchodził bracia tychże córek, ich przyjaciele i w ogóle kawalerowie. Bóg świadkiem, że zalotników Annie nie brakowało.

Bess bardzo polubiła kilku adoratorów swej czarującej córki, lecz nie wywierała na nią nacisku, by przyjęła któregokolwiek z nich. Dobrze wiedziała, że Anny nie można do niczego zmusić, niezależność miała we krwi, nieodrodne dziecko Harry'ego.

Czasem tylko zastanawiała się, czy przypadkiem nie zawiodła Anny. Wszystkie córki jej przyjaciółek od dawna były mężatkami, większość miała dzieci i wiodła szczęśliwe życie. Wydawało się niesprawiedliwością, że Anna, najpiękniejsza i najbardziej oblegana z nich wszystkich, wciąż pozostaje panną i nawet nie jest zaręczona.

Bess westchnęła, ale ponieważ doleciały ją z kuchni odgłosy kłótni, odpędziła smutne myśli i szybko ruszyła sprawdzić, co to za zamieszanie.

Tymczasem Anna delikatnie zapukała do drzwi komnaty brata i natychmiast ze śmiechem zaproszono ją do środka. Najpierw uchyliła drzwi i ostrożnie wsunęła głowę w szparę, aby upewnić się, czy nie zastanie tam niczego nieprzystojnego, a potem już śmiało przestąpiła próg. George stał przy oknie z kielichem wina w dłoni, zaś jego przyjaciele spoczywali w swobodnych pozach na różnych meblach, lecz na jej widok natychmiast wstali.

- Witaj, siostrzyczko! - wykrzyknął George. - Pewnie przyszedłeś upewnić się, czy jesteśmy na miejscu i z godnością oczekujemy na zbliżające się męki?

- Właśnie. - Anna nawet nie musiała mu się specjalnie przyglądać, by stwierdzić, że nie wypił zbyt wiele. Brat zachowywał powściągliwość nawet w obliczu wyczerpującej ceremonii, której wkrótce miał się poddać w kamiennej kaplicy stojącej na terenie Maiden Court, lecz inni... Dziewczyna omiotła karcącym spojrzeniem poczerwieniałe twarze czterech dość niepewnie trzymających się na nogach młodych ludzi, podeszła do stołu i podniosła dzban. Wina prawie już nie było. - No, ładnie! Świętujecie, zanim jeszcze jest po temu okazja!

Czterej mężczyźni przybrali odpowiednio zawstydzone miny.

- Koniec z piciem wina aż do wyjścia z kaplicy - oznajmiła Anna. - Sami wiecie, że przybędą dostojni goście.

Każdy z czterech drużbów pomyślał to samo: „Nikt nie potrafi besztać tak, jak Anna Latimar. Nawet gdy gniewnie marszczy czoło i wypowiada karcące słowa, wygląda absolutnie uroczo! Ech, gdyby tylko chciała potraktować mnie poważnie”.

Zgodnie odstawili kielichy.

- Idźcie na dół, bo chciałam zamienić kilka słów z bratem. - Drużbowie natychmiast znaleźli się za drzwiami, a Anna usiadła obok George'a na ławie pod oknem. Byli zadziwiająco podobni. Oboje mieli czarne włosy, bardzo jasną karnację i zwinne ruchy, - Czy jesteś szczęśliwy? - spytała.

- Wiesz, że tak. A ty?

- Naturalnie też. Przecież masz to, czego chciałeś, prawda?

Cieszę się z twojego szczęścia. - Wsparła się na nim, a on otoczył ją ramieniem.

- To dobrze, w każdym razie dla mnie. Tylko co z tobą? Wielu gości, którzy będą dziś na weselnej uczcie, uważa, że kolejność jest jak najbardziej niewłaściwa i że to ty powinnaś pierwsza założyć obrączkę, zresztą już kilka lat temu.

Anna wzruszyła ramionami.

- Chyba nie będziemy się przejmować tym, co myślą inni. Mój czas przyjdzie wtedy, kiedy przyjdzie.

- Albo nie przyjdzie wcale, jeśli zyskasz na stałe reputację osoby, która jest głucha na wszystkie zaklęcia. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że przed chwilą byłem jedynym mężczyzną obecnym w tym pokoju, który nie próbował ci się oświadczyć?

Anna zaczęła ukręcać jeden z brylantowych guzików przy jego wamsie*.

- Wiem, ale...

- Ale za bardzo wybrzydzasz. Czego ty właściwie szukasz? Na co czekasz?

- Nie wydaje mi się, żebyś akurat ty miał prawo mnie pouczać. Sam kiedyś powiedziałeś mi o Judith: „To na nią czekałem całe życie”. Dlaczego nie chcesz pozwolić, bym kiedyś mogła powiedzieć podobnie?

George zdjął palce Anny z guzika. Kochał siostrę, choć mieli tak odmienne charaktery. Przed chwilą po prostu stwierdził prawdę. O rękę Anny ubiegali się wszyscy jego przyjaciele i jeszcze wielu innych mężczyzn, lecz co do jednego dostali nieodwołalnego kosza.

Znał powód. Anna chciała, by przyszły mąż dorównał najbardziej znaczącej postaci w jej życiu, czyli ojcu. Harry Latimar, przystojny i czarujący mężczyzna, który mimo średniego wieku wciąż zachwycał kobiety, wcześniej i na trwałe zdobył uznanie swojej córki.

George bardzo chciał, by również siostra odnalazła szczęście, które teraz stawało się jego udziałem, obawiał się jednak, że trudno jej będzie spotkać kogoś tak wyjątkowego, jak ich ojciec.

Zarówno Harry, jak i Anna sprawiali wrażenie osób pogodnych i nie przejmujących się zbyt codziennymi kłopotami, u obojgu były to jednak tylko maski, pod którymi kryły się wrażliwe i bardzo skomplikowane dusze. Podczas spotkań towarzyskich wyróżniali się niefrasobliwym wdziękiem i poczuciem humoru, toteż często dziwili się, że co poważniejsi członkowie elity odnoszą się do nich z rezerwą, nie umiając dostrzec, że oboje mają dla innych więcej życzliwości i wyrozumiałości, niżby to się zdawało na pierwszy rzut oka.

O ojca George nie musiał się troszczyć, bowiem dawno już z okowów dworskiego świata wyswobodziła go kochająca i mądra żona, lecz Anna.. - Brat wiedział, że jego siostra

*Wams - usztywniony i podwatowany kaftan męski (przyp. red.).

żyje w dziwnym rozdwojeniu między wyrażanymi pragnieniami, a faktycznymi potrzebami serca, duszy i umysłu. Deklarowała bowiem, że jej przyszły mąż musi być brylantem wśród arystokracji, znamienitym kawalerem i ozdobą królewskiego dworu, tymczasem, by jej niezwykła osobowość mogła w całej pełni rozkwitnąć, potrzebowała u swego boku mężczyzny zupełnie innego pokroju, to znaczy obdarzonego wybitnym intelektem i charakterem, nieczulego na próżny blichtr, z powagą traktującej swe obowiązki.

George bardzo się trapił tym, że siostra nie spotkała dotąd odpowiedniego dla siebie kandydata oraz że rozglądała się nie w tę, w którą w istocie powinna, stronę. Niby więc popędzał ją do małżeństwa, bo nie chciał, by wciąż siała rutkę, z drugiej jednak strony dobrze wiedział, że sprawa jest dużo bardziej skomplikowana, niż to na pozór wyglądało.

- W każdym razie to jest twój dzień, George. - Anna odsunęła się od brata i wyjrzała przez okno, za którym mienił się słońcem poranek. - Jeśli mamy rozmawiać, to o tobie. - Otworzyła okno. - Widzę jeźdźca na dziedzińcu. Jak na gościa, przybył wyjątkowo wcześnie.

George spojrział w tamtą stronę i zawołał:

- Ależ to Jack Hamilton! Nie sądziłem, że się zjawi, nie odpowiedział przecież na zaproszenie ojca.

- Kto to jest? - Anna wychyliła się przez okno, by lepiej zobaczyć przybysza. Zeskoczył z konia jak młody człowiek, lecz włosy miał srebrzystoszare. Koń też wydawał się niezwykły, nie był bowiem typowym wierzchowcem, lecz szybkim, mocnym rumakiem, jakie widywała w szrankach podczas turniejów.

- Może go sobie przypomnisz, bo kiedyś, przed Richardem de Vere, był paziem naszego ojca. Służył u nas trzy lata, a potem za sprawą ojca został pasowany na rycerza i wtedy poszedł swoją drogą. Pozostali jednak przyjaciółmi.

- Zdaje mi się, że nazwisko skądś znam, ale tego człowieka nigdy nie widziałam. Dlaczego miałby tu dzisiaj nie przyjechać? Przecież to zaszczyt brać udział w zgromadzeniu uświetnionym obecnością królowej.

- Musiałaś go widywać w Maiden Court, ale mieliśmy wtedy najwyżej po trzy lata. Potem już chyba nie, bo od piętnastu lat Jack jest komendantem jednego z garnizonów na północy Anglii. Rodzice i ja spotkaliśmy się z nim kilka razy, gdy przybywał na królewski dwór w sprawach służbowych, ale ciebie wtedy z nami nie było. A co do tego, że nie przyjął zaproszenia ojca... - George głęboko się zamyślił. - Dziesięć lat temu w jakimś strasznym wypadku Jack stracił żonę. Od tej pory, na znak żałoby, nie pokazuje się w towarzystwie.

- Naprawdę? - Anna patrzyła, jak siwowłosa mężczyzna przekazuje rumaka pod opiekę stajennego i wchodzi do wnętrza domu. - To dziwne...

George zerknął na klepsydrę. Piasek przesypał się już do połowy, więc należało energicznie zabrać się do przygotowań.

- Muszę się ubrać, Anno, za nic nie chciałbym przynieść wstydu Judith.

Anna była jedną z druhen Judith. Wraz z trzema innymi pannami miała towarzyszyć oblubienicy w drodze z domu do kaplicy i uczestniczyć w niesieniu kwiatów i tortu weselnego. George miał przejść tę samą drogę później, w towarzystwie czterech družbów. Wzdłuż alejki, łączącej dwór z kaplicą, z pozdrowieniami i kwiatami czekali na państwa młodych wieśniacy.

Wuj i ciotka mieli wkrótce przywieźć Judith ze Squirrels, jednej z farm w majątku, więc George, by przedwcześnie nie spojrzeć na wybrankę, przez co mógłby sprowadzić pecha, nie ruszał się z komnaty.

Anna właśnie kończyła toaletę, gdy do drzwi jej pokoju zapukała matka.

- Wyglądasz uroczo, kochanie —powiedziała, pomagając jej wpleść sznur pereł we włosy, które zgodnie z tradycją pozostały rozpuszczone, jak przystoi druhnii. - A ja przyszedłam cię poprosić o przysługę... Muszę się szybko wystroić; ojca, nie wiadomo dlaczego, nie ma; George jest skazany na pobyt w swojej komnacie, więc biedny Jack Hamilton samotnie siedzi w wielkiej sali. Czy nie mogłabyś zejść do niego i zabawić go rozmową do powrotu ojca?

- Och, mam, o czym mam z nim rozmawiać? Nie znam go, a George wspominał, że to dość dziwny człowiek.

- Dziwny? Co masz na myśli? I odkąd nie wiesz, o czym rozmawiać z nowo poznaną osobą? To uroczy chłopak, przez trzy lata służył jako paź u twojego ojca. Według Harry'ego zawsze był najlepszy z tej gromady, choć dość niesforny i skłonny do figli... Wielkie nieba, jak mam sobie z tym wszystkim poradzić, skoro nie znajduję ani odrobiny wsparcia... - Bess wyjrzała przez okno, by sprawdzić, czy nie dostrzeże gdzieś męża. Doprawdy, nie mógł sobie wybrać gorszego dnia na takie niezapowiedziane zniknięcie!

- Już dobrze - powiedziała zakłopotana Anna. Nie lubiła, kiedy matka, zwykle stanowiąca wzór opanowania, traciła głowę. Zresztą sama nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego konieczność zabawiania nieznanego budzi w niej taką niechęć. Może miało to związek z opowiadaniem George'a? Wprawdzie myśl o śmierci bliskiej osoby wydawała się Annie bardzo przykra, lecz rozdymanie żałoby do takich rozmiarów, jak to uczynił lord Hamilton, w jej przekonaniu było po prostu okropne.

Zapewniła więc Bess, że postara się przykładowo wypełnić obowiązki pani domu, i otworzyła drzwi, nalegając, by matka szybko poszła się przebrać.

Wyszedłszy na krużganek, zobaczyła gościa stojącego ze skrzyżowanymi ramionami przy oknie. Posępny wzrokiem wpatrywał się w rozsloneczniony krajobraz. Gdy schodziła po schodach, obrócił się w jej stronę. Stała w środku sali i dygnęła.

- Dzień dobry, sir. Jestem Anna Latimar. Witam w Maiden Court.

Wykonał sztywny ukłon, nie ruszył się jednak z miejsca, by pozdrowić ją uściskiem dłoni. Ponieważ Anna nie spodziewała się takiego zachowania i sama uniosła już ramię, zrobiła zapraszający gest w stronę ławy.

- Zechciej spocząć, panie. Czy polecić, żeby podano coś do picia?

- Dziękuję, ale twoja matka, pani, już się o to zatroszczyła. - Rzeczywiście, obok pękatego srebrnego wazonu, wypełnionego czerwonymi i białymi różami, na stoliku stał dzban wina i dwa kielichy.

- Wobec tego naleję ci, panie, wina.

- Nie pijam wina - odparł krótko.

- Więc poczęstuję się sama. - Jej również rzadko zdarzało się pić wino, wolała słabe piwo albo maślanek i zapewne dlatego miała tak piękną cerę. Napełniła swój kielich, podeszła do krzesła i usiadła. Jack zajął miejsce na ławie naprzeciwko. - Brat powiedział mi, panie, że nie gościłeś u nas od bardzo dawna. Podobno wyjechałeś, gdy miałam trzy lata.

- To prawda.

- Czyżbym w tym wieku potrafiła już tak skutecznie odstraszać? - spytała z uroczym uśmiechem.

- Rzadko dostaję pozwolenie na opuszczenie mojego majątku na północy - odrzekł, ale nie odwzajemnił uśmiechu.

- Gdzie to jest? Czy przy granicy?

- Na samej granicy, w Northumberlandzie.

Taki oficjalny początek nie wróży miłej rozmowy, pomyślała Anna.

- Byłeś kiedyś paziem mojego ojca, panie, prawda? - odezwała się znów, gdy wypila wino i wstała, by odstawić kielich na tacę. Mężczyzna natychmiast również wstał i pozostawał w pozycji stojącej, dopóki Anne znów nie usiadła.

- Owszem.

- A dziś przyjechałeś na ślub George'a?

- Nie, pani. Twoi rodzice byli tacy uprzejmi, że mnie zaprosili, ale w swoim czasie im podziękowałem. Po prostu przejeżdżałem tędy w drodze do stolicy i postanowiłem złożyć wizytę earlowi, by wyrazić mu swoje uszanowanie. Prawdę mówiąc, zupełnie zapomniałem o uroczystości. Dlatego, pani, gdy tylko porozmawiam z twoim ojcem, zaraz ruszę w dalszą w

drogę. Nie chcę narzucać swojej obecności w tym wyjątkowym dniu.

Doprawdy mało wymowny człowiek, pomyślała Anna, każde słowo trzeba z niego wyciągać. Przyjrzała mu się z zaciekawieniem. Jeśli przed piętnastoma laty był paziem jej ojca, to teraz musiał mieć nieco powyżej trzydziestu lat. Na tyle zresztą wyglądał, jeśli nie brać pod uwagę posiwiałych włosów.

W jego wyrazistej twarzy szeroko rozstawione szare oczy wydawały się dziwnie jasne przez kontrast z ogorzałą skórą na policzkach. Jack Hamilton był bardzo wysoki, szeroki w barkach i wąski w pasie, a do tego natura obdarzyła go niezwykle długimi nogami. Nosił bardzo skromny strój, bez koronek i jedwabnych ozdób, które upiększałyby dobre, ciemne sukno. Nie miał też modnej kryzy ani żadnej biżuterii, z wyjątkiem złotego kółka w jednym uchu i dużego złotego sygnetu.

Jej ogłędziny zniósł obojętnie, toteż Anna odczuła głęboką ulgę, gdy zauważyła cień przesuwany się po dziedzińcu i wyjrzawszy przez okno, zobaczyła ojca na narowistym, karym koniu. Po kilku minutach lord Latimar wszedł do wielkiej sali. Jack Hamilton natychmiast zerwał się z miejsca, zaś jego surowe rysy zmiękły, a twarz ozdobił uśmiech.

- Harry!

- Mój drogi Jack! Co za wspaniała niespodzianka... Nie miałem pojęcia, że zamierzasz tu dziś przyjechać. - Mężczyźni serdecznie się uściskali.

- Nie spodziewano się mnie tutaj. Przypadkiem znalazłem się w sąsiedztwie i pomyślałem, że koniecznie muszę złożyć wizytę tobie, sir, i Bess... Proszę o wybaczenie, że przyjechałem w tak nieodpowiedniej chwili.

- Wybaczać? Nieodpowiednia chwila? - Harry wybuchnął śmiechem, przyglądając się mężczyźnie na odległość wyciągniętego ramienia. - Takie słowa między nami to doprawdy obraza. Strasznie schudłeś, chłopcze. Czyżbyś ostatnio chorował?

- To nie choroba, Harry, chyba że tak nazwać Szkotów.

Wiosną trwały zacięte walki graniczne i chlubię się, że przyłożyłem rękę do powstrzymania zbuntowanych klanów przed wtargnięciem na nasze ziemie.

- A tak, słyszałem, naturalnie - przyznał Harry. - Również jednak słyszałem, że niepokoje już ucichły.

- O, tak. Nie znalazłbym się tak daleko od swego posterunku, gdyby było inaczej... Ostatnio królowa poleciła mi osobiście złożyć doniesienie o sile obronnej wojsk angielskich w moim rejonie, więc zdążam do Greenwich, a po drodze zawitałem na chwilę tutaj.

- To ty, Harry? - z góry dobiegł głos Bess. - Natychmiast chodź się przebrać. Jesteśmy bardzo spóźnieni.

Harry skrzywił się.

- Dopuszciliem się zaniedbania, Jack. Jeden z moich dzierżawców wezwał mnie w pilnej sprawie. Udało mi się rozwiązać jego problem, więc wypiliśmy za to, co nam się udało, no i sam rozumiesz...

Jack pokazał zęby w uśmiech u.

- Nigdy nie umiałeś się oprzeć wesołej kompanii, Harry. Lepiej idź szybko na górę i udobruchaj swoją uroczą żonę.

- Chyba nie mam innego wyjścia. Zostaniesz na uroczystości, Jack. Nie chcę słyszeć „nie”.

- Skoro tak mówisz. Wiesz jednak...

- Wiem, Jack, ale zrób wyjątek dla swojego starego przyjaciela. Potrzebuję wsparcia ze wszystkich stron. No, zgódź się.

- Niech ci będzie. Wobec tego muszę gdzieś się przebrać w bardziej stosowny strój.

- Naturalnie. Anna zaprowadzi cię we właściwe miejsce. - Harry podniósł córkę z krzesła i objął ją ramieniem. - Oddaję cię w jej zdolne ręce. Sam powiedz, czy moja córka nie jest prawdziwym klejnotem?

- Jest, jest - przyznał Jack, choć z jego tonu wcale to nie wynikało.

- Na razie was przepraszam, - Harry puścił córkę i przeskakując po dwa stopnie, wbiegł na górę.

Jack zwrócił się do Anny.

- Nie chcę ci się dłużej narzucać, pani.

- Nie ma mowy o narzucaniu się - odparła z wyćwiczoną grzecnością. Nie pamiętała, żeby jakkolwiek mężczyzna, mający oczy na swoim miejscu, tak chłodno ją potraktował.

Zaprowadziła go do jednej z gościnnych sypialni, którą matka kazała urządzać w labiryncie niewielkich komnat. Sprawdziła jeszcze, czy w środku jest wszystko, czego gość mógłby potrzebować, i powiedziała:

- Nie miałam pojęcia, że jesteś tak zaprzyjaźniony z moim ojcem, panie. Chyba nigdy nie wspominał przy, mnie twojego imienia.

- Nie? - chłodno zdziwił się Jack. - Cóż, Harry ma legion przyjaciół, więc zajęłoby mu bardzo dużo czasu, gdyby chciał o nich wszystkich opowiadać, pani.

- To prawda - przyznała Anna lodowatym tonem. Nie była przyzwyczajona do tego, by ktoś znajdował błyskawiczne riposty na jej słowa. Odsunęła się od futryny, aby Hamilton mógł wejść do komnaty, a potem wyszła na korytarz i głośno zamknęła za sobą drzwi.

Spotkawszy służącego, poleciła:

- Zanieś gościowi gorącą wodę do komnaty. - Potem obróciła się na pięcie i zbiegła na dół, by tam poczekać na przyjazd swej przyszłej szwagierki.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tego samego dnia, w promieniach upalnego sierpniowego słońca, kilka minut po nastaniu południa, George Latimar i Judith Springfield wzięli ślub. Stara kaplica widziała wiele podobnych uroczystości, lecz tak szczęśliwej pary chyba jeszcze nie gościła w swoich murach.

Oblubieńcy doskonale się dobrali zarówno pod względem urody, jak i intelektu, chociaż Judith nie dorównywała George'owi wychowaniem ani pozycją społeczną. Czyż jednak prawdziwie zakochani kiedykolwiek dbali o tak przyziemne sprawy?

Oboje byli młodzi, zdrowi i darzyli się szaleńczą miłością, toteż nikt z gości przybyłych na uroczystość nie miał najmniejszych zastrzeżeń do samego aktu. Rodzice George'a, Harry i Bess, wyrazili zgodę na ten niezwykle związek, podobnie jak ich suwerek, Elżbieta Tudor, która nawet osobiście zainteresowała się młodą parą. Nowożeńcom sprzyjał też faworyt królowej, Robert Dudley, który był pierwszym drużbą pana młodego. Nawet damy i dżentelmeni, którzy zjechali na ślub, uczestniczyli w ceremonii bez kręcenia nosem.

W towarzystwie traktowano zresztą Latimarów z pewnym pobłażaniem, znani oni byli bowiem z bardzo osobliwych poglądów na to, co wypada, a czego nie wypada robić.

Anna asystowała Judith w drodze do kaplicy, a przy progu ostrożnie udrapowała tren ślubnej sukni, wcisnęła w drżące ręce panny młodej bukiet z mirtu, róż i kapryfolium i cmoknąwszy ją w policzek, popchnęła nawą ku ołtarzowi przy trzeszczącym dźwięku regału*, na których grał staruszek przysłany z kapeli dworskiej.

Zgadzam się na to wszystko, napomniała się surowo, patrząc, jak Judith staje u boku pana młodego, a on ogarnia ją spojrzeniem pełnym bezgranicznego uwielbienia. Cieszę się szczęściem George'a, ale dla siebie chcę czego innego. Pragnę innej miłości. I kogoś, kto byłby podobnego stanu jak ja... kogoś... kogoś takiego jak.

Cicho przesunęła się nawą ku ołtarzowi i usiadła w ławce za rodzicami. Kątem oka zerknęła na ojca, który siedział zupełnie odprężony, trzymając matkę za rękę.

Kochany tato! - pomyślała. Jak pięknie wygląda w bieli. Ideał w każdym calu. Zaraz jednak przeniosła wzrok na ołtarz i przez chwilę słuchała sakramentalnych słów, a potem rozejrzała się po kaplicy. Iluż przyjaciół przyszło wesprzeć George'a w tym dniu! Nie tylko ci najbliżsi, lecz również dzierżawcy Latimarów i przedstawiciele wszystkich wsi. W kaplicy czuło się nastrój ogólnej życzliwości.

W chwili gdy przesuwiała wzrokiem po przeciwległej nawie, Jack Hamilton odwrócił

*Regał - rodzaj małych organów (przyp. red.).

głowę i ich spojrzenia się spotkały. Uśmiechnęła się doń nieznacznie, był wszak gościem w domu jej rodziców i dawnym przyjacielem rodziny, nie doczekała się jednak żadnej reakcji.

Jack ze smutkiem przypominał sobie własny ślub, który odbył się przed dwunastu laty. Marie Claire, czemu mnie opuściłaś? - pomyślał. Przeżyliśmy razem taki sam wspaniały dzień. Świeciło słońce, byliśmy zakochani i tak cudownie pasowaliśmy do siebie. A jednak mnie opuściłaś! Zrobiłaś to, choć wiedziałaś, że żyję tylko dla ciebie. Dlaczego? Zanim cię znalazłem, nie wyrzekałem na swój los, lecz odkąd cię straciłem, nie mam już nic.

Miał przed oczami nie to, co akurat działo się w kaplicy, lecz swoją zmarłą żonę. Oto dzień ślubu: Marie Claire z twarzą pałającą szczęściem, choć lekko zawstydzona i targana niepokojem. A oto Marie Claire dzielnie stojąca przed jego ludźmi w Ravensglass jako żona komendanta, co od tak skromnej i cichej osoby wymagało nie lada odwagi. Marie Claire biegnąca po śniegu z jego psem pierwszej mroźnej zimy. I wreszcie Marie Claire, gdy zobaczył ją po tragicznym wypadku. Leżała na chłodnym marmurze z nikłym uśmiechem na swej uroczej twarzy, pogodna jak za życia.

W pierwszej chwili pomyślał, że żona tylko śpi, lecz gdy lękliwie podszedł do niej i uniósł jej rękę, zawsze tak ciepłą i skłoną do pieszczot, przekonał się, że była tak samo zimna, jak nieczuły kamień, na którym spoczywała Marie Claire.

Zamknął oczy, a gdy znów podniósł powieki, napotkał wzrok Anny Latimar.

Nienawidził takich kobiet! Kapryśnych, zepsutych i przekonanych, że żaden mężczyzna nie może oprzeć się ich wdziękcom. Przypomniawszy sobie rozmowę o niczym, którą toczyli wcześniej w wielkiej sali. Panna Latimar poznała go zaledwie chwilę wcześniej, a już zerknęła na niego uwodzicielsko i stosowała znane kobiece sztuczki - trzepotała rzęsami i próbowała różnych prowokujących gestów.

Nie odwzajemnił jej uśmiechu, lecz ponownie odwrócił się do ołtarza. Córka całkiem niepodobna do matki, pomyślał. Droga Bess' nabierała z każdym rokiem coraz więcej uroku, za to arogancka postawa Anny natychmiast przywiodła mu na myśl jej ojca. Tyle że u mężczyzny można było taką cechę jakoś znieść.

Boże, jak wspaniale jest znów widzieć Harry'ego, tym bardziej, że od śmierci Marie Claire spotykali się bardzo rzadko.

Nie spodziewał się, że Latimar kiedykolwiek odbędzie długą podróż na północ, a jednak... Usiadł wygodniej na twardej, drewnianej ławie i zaczął wspominać Harry'ego z dawnych lat. Zawsze był dla niego taki dobry, najpierw jako pan, a potem przyjaciel. Nikt inny nie potrafił dodać mu otuchy tamtego dnia, gdy grzebano jego ukochaną, a Jack cierpiał tak strasznie, że był bliski postradania zmysłów.

To co powiedział mu Harry, pokazało miałość innych prób pocieszenia. Tragedia, powtarzali ludzie, taka wielka tragedia, ale cóż, życie toczy się dalej, przyjacielu, chłopcze, chłopie... I przez cały czas w powietrzu wisiało to, co nie zostało powiedziane wprost: jakie znaczenie ma życie jednej kobiety wobec wieczności?

Jeden Harry go zrozumiał.

- Pewnie myślisz teraz, że twoje życie się skończyło - powiedział zadumany. - Ja na twoim miejscu tak bym właśnie czuł. Daleko stąd, na innym kontynencie, wdowa rzuca się na stos, na którym płoną zwłoki męża. Szkoda, że tu, w Europie, jesteśmy już tak ucywilizowani...

Może i odbiegało to od uświęconych tradycją kondolencje ale Harry się tym nie przejmował, a Jacka odrobinę pocieszyła świadomość, że przynajmniej jeden człowiek na świecie rozumie jego uczucia.

Dwa lata później Harry znowu przyjechał do Ravensglass, ponurej fortecy na rubieżach, którą jej komendant traktował jak miejsce, gdzie pochowano go żywcem. Wtedy odbyli zupełnie inną rozmowę.

- Jak wiele ostatnio pijesz, Jack? - spytał go Harry.

- Zbyt wiele - odrzekł. - Właściwie nie mogę już nic zrobić, jeśli przedtem się nie napiję.

Harry wyjrzał na dwór. Naturalnie padał deszcz, bo wiosna w Northumberlandzie zawsze jest dżdżysta.

- Czy w takim stanie możesz wypełniać swoje obowiązki? - spytał Harry, przeszywając go spojrzeniem. - Gdyby Szkoci nagle przeszli granicę, to czy mógłbyś zorganizować obronę?

Jack trochę się zaperzył. Od tak dawna panował spokój...

- Jej bardzo by się to nie podobało, chłopcze - ciągnął Harry. - Marie Claire nie traciłaby czasu na mężczyznę, który nie jest w stanie podjąć swojego obowiązku. Gdybym miał napisać jej epitafium, wyryłbym na kamieniu słowa: „Miłość i obowiązek, pół na pół”.

Jack wpadł tego dnia w wielką złość, ale Latimar pozostał niewzruszony. Gdy już odjechał, Hamilton przemyślał to, co od niego usłyszał, i od tamtego dnia nie wziął żadnego mocnego trunku do ust.

Nie było to dlań łatwe, ponieważ przez dwa lata zdążył już popaść w nałóg, ale gdy wytrzewiał, zrozumiał, że nie ma innego wyjścia, i jakoś wytrwał w swoim postanowieniu. Jednocześnie otepienie i poczucie beznadziejności, władające nim od czasu pogrzebu,

ustąpiły miejsca rozzwierającej rozpacz. Szczerze wątpił, czy kiedykolwiek od niej się uwolni.

- Sir, ceremonia dobiegła końca. Wracamy do Maiden Court wznieść toast za nowożeńców. - Sąsiad Jacka z ławki trącił go łokciem i podniósł się z miejsca.

Uroczyste śniadanie okazało się wielkim sukcesem. Podano mnóstwo smacznego jedła i wyśmienite wino. Gospodarze równo traktowali wszystkich gości, bez względu na stan. Stół nakryto dla trzydziestu osób, ale witano z otwartymi ramionami każdego, kto przyszedł.

Szlachta i wieśniacy zasiedli ramię w ramię, gdy tylko królowa ze świtą zajęła swoje miejsce. Ci, dla których zabrakło krzesła przy stole, stali z kielichem wina lub kuflem piwa w jednej ręce i talerzem pełnym jedła w drugiej. Nikomu to nie przeszkadzało.

Naturalnie całą uwagę skupiała na sobie Elżbieta Tudor. Bess wiedziała, że tak będzie, dlatego przygotowała specjalne podwyższenie, z którego było widać całą wielką salę. Przez cały czas trwania posiłku każdy mógł podejść do dostojnego gościa i złożyć wyrazy uszanowania, królowa zaś uprzejmie odpowiadała każdemu, czy to właścicielowi wielkiego majątku, czy zwykłemu wieśniakowi.

George i Judith, zajmujący miejsca po obu stronach Elżbiety, patrzyli wyrozumiale na te przejawy czci, bo wprawdzie goście zebrali się dla nich, lecz królowa Anglii jako ich suweren była oczywiście najdostojniejszym uczestnikiem zgromadzenia.

Po zakończeniu posiłku sprzątnięto stoły i wszyscy goście przygotowali się do tańca przy muzyce wiejskiej kapeli.

- Zdaje się, że wszystko idzie jak najlepiej - szepnęła Bess, gdy Harry porwał ją do tańca.

- A czemu miałyby być inaczej?! Nawet gdyby nasza wspaniała kucharka przypaliła wszystkie mięsiwa, a Walter rozlał całe wino, i tak wszystko szłoby doskonale. Tylko popatrz, jaka szczęśliwa jest młoda para, którą tu fetujemy.

Bess zerknęła na syna i jego wybrankę. Tańczyli razem jak zaczarowani, a ich twarze wyrażały absolutny zachwyt.

- Aż miło na nich spojrzeć, prawda?

- Miło?! Co za niestosowne słowo. - Harry uśmiechnął się do żony i dodał: - Czy nie sądzisz, że jesteśmy już trochę za starzy na tańcowanie? Ja w każdym razie się zmęczyłem, więc może odpocznijmy. - Zaprowadził ją do krzesła ustawionych przy kominku.

- O, tak jest znacznie lepiej - powiedziała Bess, gdy usiadła. - Muszę przyznać, że ostatnio wolę patrzeć, jak inni dobrze się bawią. A kto tam rozmawia z Anną?

Harry odszukał wzrokiem córkę.

- Tom Monterey. Bardzo dobrze wychowany młodzieniec, ale rozumem nie grzeszy. Był u mnie jakiś rok temu prosić o jej rękę... Biedak, źle przyjął odmowę.

- Hm, rodzina Montereyów bardzo wiele znaczy, prawda? Zdaje się, że dobrze znasz earla.

- Owszem, John Monterey jest częścią mojej grzesznej młodości, chociaż nie obracaliśmy się w tych samych kręgach.

- Anna zapewne spotka tego Toma na dworze, prawda? - zainteresowała się Bess. Nie przypomniawszy sobie chłopaka od razu, gdyż odkąd George znalazł przyjaciół na dworze, zapraszał wielu młodych ludzi, żeby złożyli wizytę w Maiden Court i poznali jego rodzinę, a zwłaszcza siostrę.

- Bez wątpienia Zresztą spotka tam większość młodych ludzi z tej koterii. - Uwagę Harry'ego zwróciła samotna postać w kącie sali. - Nie jestem pewien, czy Jack Hamilton dobrze się bawi.

Bess spojrzała w tamtym kierunku.

- Och, on tak cały czas od śmierci Marie Claire. Bardzo ciężko to przeżył, nawet nie wiem, czy jeszcze się podźwignie, - I zaraz dodała: - To znaczy nie wiem, czy odzyska chęć do życia, bo co do jego służby w wojsku, to podobno królowa bardzo go chwali. Jest jednym z filarów obrony naszej północnej granicy.

- To pewne - przyznał Harry. - Taką karierę sobie wybrał i rad jestem, że się w niej wyróżnia, szkoda byłaby jednak wielka, gdyby tak młody i wybitny człowiek do śmierci nosił żałobę po żonie. Kiedyś wprost rozpierała go radość życia. Pamiętam, jak mi założył za skórę, póki był u mnie. Ciągle coś wymyślał i wciąż wpadał w tarapaty. W życiu nie widziałam drugiego takiego figlarza.

- Z niektórymi tak bywa - westchnęła Bess. - Tracąc ukochaną osobę, tracą też sens życia.

- Tak byłoby ze mną - oświadczył z przekonaniem Harry. - I z tobą też.

- To prawda - przyznała Bess. - Jednak lepiej nie myślmy o tak smutnych sprawach w dniu, gdy decyduje się całe życie George'a.

- Nie mogę o tym nie myśleć, bo naprawdę martwię się o Jacka.

Bess wyciągnęła rękę do męża.

- Pocziwy Harry! A niektórzy nazywają cię gruboskórnym. O, zobacz... Anna opuściła swojego towarzysza i próbuje namówić Jacka, żeby i on się poweselił.

Jack znalazł sobie miejsce, z którego mógł przyglądać się tańczącym, nie biorąc

udziału w zabawie. Bardzo nie spodobało mu się, że Anna Latimar idzie w jego stronę i niewątpliwie zamierza wciągnąć go do ogólnej radości. Nie znosił wyuczzonej gościnności. Gdy podeszła, wstał, ale zmierzył ją bardzo niechętnym spojrzeniem, które jednak Anna zignorowała.

- Zapraszam, panie, do udziału w zabawie. - Wyciągnęła do niego rękę, by włączyć go do weselącej się grupy.

- Nie tańczę, pani - odparł wrogo.

- Ani nie tańczysz, panie, ani nie pijesz! - Anna parsknęła śmiechem. - Chciałoby się wiedzieć, co robisz, by się zabawić.

- Wartość zabawy zależy od towarzystwa - odparł oschle. - Może jesteś, pani, pod tym względem mało wymagająca.

Dziewczyna spojrzała na niego wyzywająco.

- Doprawdy, musi to być bardzo wygodne, tak wbić się w poczucie, że jest się lepszym od innych ludzi!

- Nie lepszym - odparł, z ponurą miną prowadząc Annę wśród tancerzy. - Po prostu innym. Mam zresztą poważny powód, by nie brać udziału w tańcach. Po śmierci żony przysiągłem sobie nigdy więcej tego nie robić.—Po co jej to powiedział? Nie obnosił się przecież ze swoją żalobą, a na pewno o niej nie mówił.

Anna zatrzymała się, zmyliwszy krok.

- Och... bardzo przepraszam. Nie miałam pojęcia... Wobec tego natychmiast zwalniam cię, panie, z tego obowiązku.

- Dziękuję. - Skłonił się i odszedł. Przez chwilę nie mogła uwierzyć, że tak postąpił. Opuszczenie damy w połowie tańca, nawet w bardzo niezobowiązującej sytuacji, było takim grubiaństwem, które po prostu nie mieściło się w głowie. Popychana z prawa i lewa, stanęła bezradnie, czerwona na twarzy. To także było dla niej zupełnie nowe doświadczenie, bo zwykle nie brakowało jej pewności siebie.

George, który znajdował się w rzędzie tańczących nieco dalej, zauważył, co się stało, natychmiast przyszedł jej z pomocą i zaprowadził do stołu z napojami i przekąskami.

- Jak on śmiał! - wykrzyknęła ze złością Anna. - Cóż to za gbur!

- Czym go skłoniłaś do takiego zachowania? - spytał z zainteresowaniem brat.

- Niczym! Rozmawialiśmy o jego zmarłej żonie i nagle...

- Naprawdę? Opowiadał ci o Marie Claire? To dziwne, bo nigdy nie słyszałem, żeby w towarzystwie wymieniał jej imię.

- Co się z nią stało? - spytała Anna, próbując się uspokoić.

- Nie znasz tej historii? - George nalał wina do dwóch kielichów. - Mogę ci opowiedzieć to, co sam wiem. Czternaście lat temu Jacka wysłano z poselstwem na dwór francuski i tam poznał pewną damę, czyli Marie Claire. Zakochali się w sobie, ale jej ojciec nawet nie chciał słyszeć o młodym Angliku... Jack był dla niego żółtodziobem i cudzoziemcem, a na domiar złego protestantem. Oni jednak postanowili walczyć o swoją miłość. Jakoś znaleźli księdza, który udzielił im ślubu, i wyjechali do Anglii, gdzie spotkała ich jeszcze większa wrogość ze strony rodziny Jacka. Przede wszystkim Marie Claire była katoliczką, poza tym ojciec ją wydziedziczył, więc nie miała posagu. Naprawdę ciężko im się wiodło w Ravensglass, póki starzy Hamiltonowie nie umarli podczas zarazy. Wtedy Jack odziedziczył cały majątek, wraz z odpowiedzialnością za obronę tej części Anglii.

- A ona? Co się z nią stało? - dopytywała się Anna.

- W pewnym oddaleniu od zamku Ravensglass znajduje się wieś. Marie Claire często odwiedzała jej mieszkańców, uważała ich bowiem za swoich dzierżawców. Wieś jest mała, ale chłopcy hodują trochę zwierząt gospodarskich, żeby zapewnić zapasy mięsa dla Ravensglass. Tamtego dnia akurat doprowadzono byka do krów. Ktoś rozdrażnił zwierzę, byk się zerwał, a Marie Claire nieszczęśliwie stanęła na jego drodze. - George urwał. - To ponura historia, a dziś jest dzień mojego ślubu.

- Rzeczywiście, ponura - przyznała Anna. - Opowiadaj jednak dalej.

- Niewiele już tego. Biedaczka zginęła na miejscu, a gdy Jack następnego dnia wrócił z patrolu, dowiedział się, że jest wdowcem.

- To straszne!

- Owszem, tym bardziej że od pewnego czasu oboje z radością oczekiwali na dziedzica, więc Jack nosił podwójną żałobę. Ojciec wspominał mi, że gdy pojechał na pogrzeb, w pierwszej chwili nie poznał swojego młodego przyjaciela, bowiem ten osiwił niemal z dnia na dzień.

- Och, George! - Oczy dziewczyny zasły łzami, była bowiem do głębi wstrząśnięta historią Jacka Hamiltona. A ona czyniła temu człowiekowi wyrzuty, że nie chce tańczyć! Odstawiła kielich. - Bardzo mi go żal.

- Cóż...

- Chciałabym mu jakoś pomóc.

- Uważaj, Anno. - George znał impulsywność swojej siostry. - Lepiej daj temu spokój. Nie brakowało takich, co chcieli. Wypróbowani przyjaciele wielokrotnie starali się zainteresować go innymi damami, ale bez powodzenia. Jack wciąż jest pogrążony w rozpacz, dlatego lepiej zostawić sprawy po staremu. Przygnębienie łatwo się udziela.

- Oj, drogi bracie, nigdy nie sądziłam, że możesz być tak cyniczny!

- Nie wydaje mi się, abym był cyniczny, jedynie ufam opinii ojca, który dobrze zna swojego dawnego podopiecznego. Jack ma głęboką ranę w sercu, a tacy ludzie są zupełnie nieprzewidywalni. Poza tym wasze ścieżki już się nie skrzyżują, bo Jack prawdopodobnie odjedzie w dzicz Northumberlandu, a ty wybierasz się do Greenwich.

- Niezupełnie. Słyszałam dzisiaj, jak mówił do ojca, że teraz również uda się do Greenwich, a dopiero potem wróci do siebie w towarzystwie królowej, która chce dokonać inspekcji umocnień na północy.

- O czym tak szepczecie na stronie? - Obok nich pojawiła się Bess.

- O niczym ważnym, matko - odparł George. - Powtarzamy plotki.

- Koniec z tym, bo Elżbieta nie ma partnera do tańca. Powinieneś ją poprosić, George, choć osobiście sądzę, że Robert Dudley mógłby okazać nieco więcej taktu i zająć się Jej Wysokością, zamiast flirtować z wszystkimi urodziwymi młódkami.

- Już idę - uspokoił matkę George.

- Natomiast ja muszę iść do kuchni sprawdzić, czy wystarczy jadła na wieczór. Nie wydaje mi się, żeby to przyjęcie miało się szybko skończyć.

Anna miała własne plany, bowiem w głowie kłębiły jej się bardzo niepokojące obrazy. Jak bardzo romantyczna jest historia Jacka! Przeklęty w młodości, pomyślała ze wzruszeniem, jako że była namiętną miłośniczką sonetów. Nie dopuszczał nawet myśli, by inna kobieta zastąpiła miejsce jego ukochanej żony.

Przysiągł, że drugi raz się nie ożeni, a zewnętrznym znakiem jego rozpaczony stały się posiwiałe włosy!

Na chwilę zapomniała o tym, że jeszcze niedawno z niechęcią myślała o chorobliwej manii rozpamiętywania przeszłości, prezentowanej przez lorda Hamiltona, i bez zastrzeżeń oddała się współczuciu dla porażonego cierpieniem wdowca.

Ponieważ Anna zwykła szybko przekuwać zamiary w czyn, zatrzymała jednego z synów Waltera, który roznosił wino na tacy.

- Wat, czy widziałeś jednego z naszych gości? Lorda Jacka Hamiltona?

- Zdaje mi się, że poszedł do stajni, lady Anno. Ma niezwykłego konia, tylko w wojsku widuje się takie rumaki, i są z nim jakieś kłopoty.

Stajnie w Maiden Court znajdowały się niezbyt daleko od domu. Naturalnie nie tak blisko, by zapachy przeszkadzały mieszkańcom, ale zaraz po drugiej stronie ogrodu. Anna ruszyła szlakiem wyznaczonym przez latarnie, które Walter zawsze zapalał o zmroku, i niedługo potem otworzyła drzwi stajni. Sądząc po odgłosach, coś się działo.

Lord Hamilton był w środku.

- Nie wchodzić! - krzyknął stanowczo. Anna przywarła plecami do grubej, drewnianej ściany i z uznaniem zaczęła się przyglądać, jak Jack uspokaja wielkie, siwe zwierzę.

Rumak naprawdę był wspaniały, niewątpliwie bardzo szybki i wytrzymały. Ten ogier, potrzęsający łbem i gwałtownie pokazujący swój temperament, z pewnością rączo niósł swego pana w sam środek bitwy.

- Spokojnie, rycerzu - powiedział cicho Jack, głaszcząc bok konia. - Nie przynosi mi wstydu swoimi wyskokami. - Zwierzę poruszyło podkutymi kopytami, tak że zaszeleściła ściółka, i opuściło łeb, by trącić nim swego pana.

- Pamiętaj, Śmigły - mówił dalej Jack - koniec brykania, teraz będziesz spokojny aż do rana. - Okrył rumaka derką, sięgnął do latarni, by przykręcić knot, a potem zwrócił się do Anny.

- Co cię tu sprowadza, pani?

- Troska, że nie bawisz się dobrze, panie — odrzekła. Przyćmione światło wcale nie łagodziło ostrych rysów jego twarzy. Lord Hamilton z całą pewnością nie uchodził za mężczyznę przystojnego, lecz Anna uznała, że każdy, kto go mijał, musiał zatrzymać na nim spojrzenie.

Jej słowa, wypowiedziane kojącym tonem, zwróciły uwagę Jacka. Czyżby teraz stała przed nim zupełnie inna panna niż ta, która w domu była duszą całego towarzystwa i z wyniosłą miną rozdawała łaski otumanionym jej urodą kawalerom?

Jednak nie. Wprawdzie mówiła teraz ciszej i znacznie mniej natarczywie, nie wyzbyła się jednak irytujących manier damy. Kokietowała przymrużonymi powiekami i delikatnym uśmiechem, a on miał po uszy takich sztuczek.

- Czy nie dość ci, pani, tego, co masz w domu, i jeszcze musisz po nocy prześladować odszczepieńca?

Straciła kontenans zaledwie na sekundę.

- Przyszłam tutaj z troski, sir. Czy nie dość ci, panie, cierpienia, jakiego zaznałeś w swym w życiu, że tak bez namysłu odrzucasz każdą przyjazną dłoń?

- To niby twoja dłoń, pani, ma być przyjazna? Prawdziwy przyjaciel wie, kiedy trzeba kogoś zostawić w spokoju.

- Lecz ty, panie, nie możesz zabrać spokoju. Jesteś udręczony i...

- Wystarczy! - przerwał jej Jack. - Jeśli nie udało mi się wywiązać z obowiązków gościa w tym radosnym dniu, to proszę o wybaczenie, ale pouczeń nie zniosę. Wbrew mojemu pierwotnemu życzeniu namówiono mnie do pozostania, najwyraźniej jednak

odegrałem swoją rolę całkiem niestosownie.

Odwrócił się i zatrzasnął drzwi boksu. Rumak w środku natychmiast zareagował na podniesiony głos pana, bo niespokojnie się poruszył, i Jack znów musiał go uspokoić.

- Bardziej życzliwie rozmawiasz, panie, z tym zwierzęciem niż ze mną - stwierdziła Anna. Pogodziła się z tym, że jej gest dobrej woli został brutalnie odrzucony, ale tak samo jak Jack nie znosiła, gdy ktoś prawił jej kazania.

- To zwierzę wie, kiedy nie należy narzucać się innym.

- Jesteś, panie, wyjątkowo grubiański wobec córki przyjaciela - przypomniała mu.

- Widocznie zapomniałem, z kim rozmawiam - odparł Jack - A to dlatego, pani, że nie ma w tobie nic z Harry'ego.

Ależ to jawna obelga! Miałaby w niczym nie przypominać swego ojca, który był wcieleniem wszystkich podziwianych przez nią cech? Odwróciła się na pięcie i żwawym krokiem odeszła do przyjaznego, jasno oświetlonego domu. Gdy tylko znalazła się za progiem, natknęła się na George'a, który badawczo przyjrzał się jej gniewnej minie.

- Ostrzegałem cię, siostrze, żebyś się nie wtrącała - powiedział. - Jack Hamilton należy do zwierzyny absolutnie nieprzewidywalnej i nie zdołasz go upolować swym zwykłym orężem.

Anna wzrokiem spiorunowała brata.

- Jeśli cię to ma ucieszyć, George, to chętnie przyznam ci rację. Prędzej piekło wystygnie, niż ruszę śladem kogoś takiego jak ten cały Hamilton... chyba że z ostrym mieczem i sforą wygłodniałych psów!

Sześć tygodni później Anna opuściła Maiden Court, by wywiązać się z obowiązku służby na dworze swej pani. W ostatniej chwili plany rodziny Latimarów uległy zmianie, bowiem Bess zachorowała. Skarżyła się na ból gardła i wszystkich członków. Nabrawszy pewności, że to nie złowieszczą gorączka z potami.

Harry nieco się uspokoił, było jednak jasne, że matka nie może? towarzyszyć córce w podróży do Greenwich.

Pewnego wieczoru, gdy Bess miała się już ku lepszemu, Anna powiedziała do ojca:

- Matka wkrótce odzyska siły. Może wyjedziemy zgodnie z planem, a ona dołączy do nas później?

- Może uda mi się ją przekonać, żeby w tym roku całkiem zrezygnowała z pobytu w Greenwich - odparł po namyśle Harry. - Naturalnie zawiozę cię na miejsce i dopilnuję, by na niczym ci nie zbywało, ale gdy już się tam rozlokujesz, wrócę do domu.

- Nie chcesz opuszczać mamy, prawda? Nawet na tydzień. - Anna wiedziała, że jej

rodzice w niczym nie przypominają innych znajomych małżeństw, bowiem każdą godzinę spędzoną z dala od siebie uważali za straconą. A ponieważ Bess, choć już zdrowa, była jeszcze bardzo słaba, więc rzecz jasna, ojciec nie chciał jej odstąpić ani na krok.

- Dobrze wiem, córko, co jestem ci winien. - Harry uśmiechnął się. - Twoja matka pierwsza powiedziała: „Zawieź Annę do Greenwich i przedstaw ją tam jak należy”.

- Wiem, ale... - Anna, która przez ostatnie tygodnie starała się zastępować matkę w roli troskliwej pani domu, wstała i zaczęła również ustawiać ozdoby na gzymsie kominka, sprawdzając przy tym, czy nie ma na nich kurzu. - Wolałabym jednak, żebyś został w Maiden Court, a do Greenwich może zawieźć mnie Walter. To przecież jest niedaleko.

Harry zmarszczył czoło.

- Jakże to, córko? Na największy dwór świata, w służbę najpotężniejszej królowej, miałabyś przyjechać pod opieką masztalerza?

- Och, ojczy! - Anna wybuchnęła śmiechem. - Dobrze wiesz, że Walterowi możesz bez zastrzeżeń powierzyć swoje życie. .. I moje też.

- Naturalnie — przyznał Harry, - Musisz jednak zrozumieć, że tam, dokąd jedziesz, zwraca się wielką uwagę na formy.

Tydzień później Harry zjawił się na kolacji z bardzo zadowoloną miną.

- Rozwiązałem problem, kochanie - powiedział do córki. - Za dwa dni stawi się tutaj Jack Hamilton, i to on odwiezie cię w Greenwich. - Sięgnął po dzban wina, wyraźnie czekając na słowa uznania, jednak Anna wydawała się absolutnie przerażona tym pomysłem.

- Jack Hamilton?! Po co on tutaj?

- Ponieważ sam go o to poprosiłem - wyjaśnił Harry. - Po naszej rozmowie nagle przyszło mi do głowy, że jest najbardziej odpowiednią osobą. Znamy go z Bess od podszewki, piętnaście lat temu nieraz mieliśmy z nim urwanie głowy. Naturalnie jego pozycja społeczna jest teraz znacznie wyższa niż wówczas, a królowa osobiście bardzo sobie ceni jego służbę. Poza tym również ty miałaś okazję go poznać miesiąc temu na weselu George'a, czyż nie?

- Poznać tak, ale na pewno nie polubić - odburknęła Anna.

- Nie lubisz go? - Harry odstawił kielich. - A to z jakiego powodu?

- Ponieważ bardzo trudno jest z nim dojść do ładu - odparła stanowczo. - I nie opowiadaj mi, jakim uroczym chłopcem był piętnaście lat temu, bo te czasy dawno minęły.

Harry uniósł brwi.

- Może masz rację, kochanie. Gdy ktoś pamięta innych wyłącznie jako młodych ludzi, jest to niechybna oznaka starości.

Anna wstała i pocałowała ojca.

- Nedorzecznosc, ojczy, ty nigdy się nie zestarzejesz... ale czy nie moglibyśmy jeszcze raz rozważyć twojej prośby do lorda Hamiltona?

- Obawiam się, że nie. Po tym, jak się umówiliśmy, Jack wyjechał z Greenwich do Windsora, więc nawet nie mam pojęcia, gdzie go szukać, zanim się tutaj po ciebie zjawi.

- Nie chcę z nim jechać - uparła się Anna. - Musisz mu to wytłumaczyć, gdy do nas zawita.

- Nie mogę, uraziłbym go do żywego. Zresztą po co miałbym tak postępować? Spędzisz w jego towarzystwie jeden krótki dzień, a nie resztę życia.

Anna zadrżała.

- Dzięki Bogu choć za to! Uważam jednak, że najpierw powinienes się ze mną naradzić.

Harry wydawał się zaskoczony. Może część jego towarzyszy z lat młodości, z którymi kiedyś oddawał się hulankom i hazardowi, uważała, że jest stracony dla życia, skoro osiadł w Maiden Court z Bess, ale to był jego wybór, nie żony. Nie jest aż takim pantoflarzem, żeby pytać swoje kobiety o opinię w tak prostej sprawie.

Co też naszło Annę, jego słodką i grzeczną córeczkę? Nie mógł tego zrozumieć. Jeszcze nigdy nie widział w jej oczach tyle uporcu. Do tej pory zawsze ochoczo popierała jego plany, tymczasem w tej chwili wyglądała tak, jak niekiedy jej brat i matka...

Zresztą rozmawiał z nią całkiem szczerze. Na dworze pozory i formy są wszystkim. Anna niewiele wiedziała o towarzystwie, do którego wkrótce miała wejść, a życie damy dworu bez pięknych strojów, pieniędzy i opieki zapewnionej na wszystkie okazje, mogło stać się bardzo uciążliwe. Dwa pierwsze problemy satysfakcjonująco załatwił już wcześniej, trzeci rozwiązał właśnie teraz, i koniec. Wstał od stołu.

- Kochanie, nie chcę o tym dłużej dyskutować. Pozwól, że sam podejmę najlepszą decyzję. - Złagodził wymowę tych słów uśmiechem i wtedy naszła go wątpliwość. A może w grę wchodzi jakieś szczególne uczucie? Może Anna ma poważne powody, by unikać towarzystwa lorda Hamiltona? Bądź co bądź Jack jest nie tylko ciekawym człowiekiem, lecz również, wedle opinii wielu dam, uchodzi za, co prawda, nieprzystępnego i ponurego, ale wielce interesującego mężczyznę...

Na pewno jednak nie dla Anny! Doświadczona kobieta może umiałaby jakoś złagodzić tę rozpacz, która po śmierci Marie Claire zamieniła w odludka utalentowanego i wesołego mężczyznę, ale co mogła poradzić na to młoda panna?

Gdy jednak spojrział córce w oczy, zobaczył w nich tylko irytację, że nie udało jej się

postawić na swoim. Poklepał ją po ramieniu.

- Poczekaj, kochanie, aż dojedziesz do Greenwich. Tam znajdziesz mnóstwo rozrywek. Pomyśl tylko, ile masz szczęścia, że będziesz służyć najpotężniejszej pani w Anglii, która wybrała cię z ponad stu panien.

Na twarzy Anny wykwitł czuły uśmiech.

- Myślę, ojcze, że ona raczej wybrała ciebie, bo takie są obyczaje Tudorów.

- Hmm... - Harry odwrócił się do schodów. Anna ma w sobie mnóstwo wdzięku, jest wesoła i uwielbia się bawić, lecz oprócz tego jest także mądra i przewidująca, co bardzo go cieszyło, albowiem uważał, że zdrowy rozsądek wart był wszystkich pozostałych zalet córki. A na królewskim dworze przyda się on Annie bardziej niż wszystko inne razem wzięte.

ROZDZIAŁ TRZECI

Drugi rok z rzędu królowała złota jesień i Maiden Court żegnał pannę Latimar piękną pogodą. W dniu swego wyjazdu do Greenwich, zaraz po przebudzeniu, Anna uklękła na ławie pod oknem i zaczęła się przyglądać słońcu wstającemu nad okolicznymi łąkami.

Och, jakie to urocze i bliskie sercu miejsce, pomyślała z żalem, napawając się widokiem, wciąż jeszcze przesłoniętym delikatnym welonem mgły. Wiedziała, że będzie bardzo tęsknić za domem. Ten dzień był punktem zwrotnym w jej życiu. Przecież w Maiden Court urodziła się i dorastała z bratem bliźniakiem George'em.

George słyszał, choć może niezbyt świadomie, jak wypowiedziała swoje pierwsze słowo, pomagał jej pierwszy raz wsiąść na kuca, prowadził do pierwszego tańca. Nieraz pokrzykiwał dla dodania jej otuchy lub też pocieszał w strapieniu. Wreszcie jednak zdecydował się na samodzielne życie i w ten sposób ją opuścił. W dniu jego ślubu, wśród ogólnej radości i zamieszania, Anna nawet nie miała czasu pomyśleć, jak ta ceremonia wpłynie na jej życie.

Bliźnięta Latimarów zostały rozdzielone w najbardziej naturalny sposób. Anna nie mogła zaprzeczyć, że zazdrościła bratu. Odrzucił strój, z którego wyrósł, i wdział nowy, znacznie lepiej dopasowany. Nadszedł wreszcie dzień, gdy i ona miała zrobić to samo.

Spakowane kufry stały już w sieni. Gdy w granatowym kostiumie podróżnym zeszła na śniadanie, zobaczyła, że oboje rodzice siedzą już przy stole i czekają, by wziąć udział w pożegnalnym posiłku.

Matka wprawdzie uśmiechała się, lecz dość blado, bo niedawna choroba mocno nadwyrężyła jej siły. Ubierając się, Bess rozmyślała o tym, że im człowiek starszy, tym wolniej wraca do zdrowia. Musiała wiele razy odpoczywać, nim wreszcie włożyła suknię, nigdy by sobie jednak nie darowała, gdyby opuściła ostatnie śniadanie przed długim niewidzeniem się z Anną. Pragnęła również matczynym okiem jeszcze raz spojrzeć na stojącą u progu dorosłości córkę.

Mały Hal również był obecny. Siedział przy stole przywiązany do swojego krzesła i bez wątpienia wiedział, że ten dzień nie jest taki sam, jak inne. Kiwał się i pokrzykiwał, a gdy weszła siostra i cmoknęła go w rumiany policzek, dziarsko machnął rogową łyżką. Posiłek upłynął wśród śmiechów i ostatnich napomnień Bess.

- Pamiętaj, kochanie, że Elżbieta ma rację absolutnie we wszystkim. Nawet jeśli uważasz, że w jakiejś sytuacji buja w obłokach, i tak ma rację. Poza tym trzymaj się z dala od Roberta Dudleya - dodała tknięta nagłą myślą.

- Och, matko! Czemu miałabym zwracać uwagę na takiego szarego człowieka?

- Starego? - Harry kpiąco wykrzywił usta. - Jest o wiele młodszy ode mnie. Może raczej powinnaś wytłumaczyć jej co innego, Bess. Żaden mężczyzna mający choć odrobinę dumy nie lubi być określany w taki sposób.

- Nie mówimy o tobie, lecz o dżentelmenach, którzy mogą sprawiać kłopoty Annie - surowo skarciła go żona - a Robert ma pod tym względem wyjątkowo złą reputację.

Harry wzruszył ramionami.

- Jest naszym przyjacielem, a zwłaszcza George'a, i z pewnością nie będzie narzucał się Annie, tego możesz być pewna.

- Ua, ua! - zaprotestował Hal znużony tym, że od pół godziny nikt nie zwrócił na niego uwagi. Na ten okrzyk siostra obróciła się i pochyliła nad malcem.

- Czy będziesz mnie pamiętał, Hal, kiedy wrócę jako wielka dama?

Chłopczyk przestał krzyczeć i przyjrzał się rozpromienionej twarzy siostry. Był bardzo śmiałym dzieckiem i swoje pierwsze kroki zrobił znacznie wcześniej niż inne dzieci, ale jak dotąd nic nie mówił. Może po prostu jako trzecie dziecko, które przyszło na świat w bardzo gadatliwej rodzinie, nie czuł potrzeby wyrażenia swych myśli słowami. Teraz jednak znenacka powiedział:

- Ślicne!

Anna spojrzała z zachwytem na rodziców.

- No, proszę! Odezwał się w ostatni dzień mojego pobytu w domu, i od jakiego komplementu zaczął! Dziękuję, braciszku.

Energiczne pukanie do drzwi przerwało tę radosną wymianę zdań.

- To na pewno Jack - powiedział Harry. - Pójdę otworzyć. - Wstał, by po chwili wrócić z przybyszem. - Napijesz się piwa, Jack? Może również coś przekąsisz? Czeka cię długi dzień.

Lord Hamilton wszedł do wielkiej sali swym charakterystycznym, miękkim i czujnym krokiem. Zupełnie jakby się spodziewał, że w każdej chwili może na niego wyskoczyć zza ławy uzbrojony nieprzyjaciel, pomyślała Anna. I zaraz po wejściu omiółł spojrzeniem wszystkie zamknięte drzwi, jakby się zastanawiał, czy nie kryje się za nimi podstępny wróg. W odpowiedzi na jego pozdrowienia panna Latimar sztywno skłoniła głowę, ale się nie uśmiechnęła, za to Bess poklepała miejsce na ławie obok siebie i obdarzyła gościa ciepłym spojrzeniem.

- Usiądź, Jack. Piękny dzień będzie dzisiaj, nieprawdaż? Hamilton zdjął rękawice do konnej jazdy i skorzystał z zaproszenia. Anna pomyślała, że z tych rękawiczek można się

wiele dowiedzieć o ich właścicielu. Były bardzo zwyczajne, uszyte z trudno ścieralnej skóry, Mika razy przecięte i potem niezręcznie połatane. Bardzo różniły się od rękawic, jakie nosił jej ojciec, wykonanych z miękkiej jeleniej skóry, ozdobionych haftem i skropionych pachnidłem, krótko mówiąc: godnych prawdziwego dżentelmena. Skruszyła kawałek chleba na cynowym talerzu.

- Chyba nie odczuwasz niepokoju, pani - zwrócił się do Anny Jack, mierząc ją spojrzeniem. - Jestem przekonany, że w Greenwich wszystko ułoży się jak najlepiej.

- Naturalnie - kwaśno odparła Anna. - Poza tym nigdy nie odczuwam niepokoju.

- To doprawdy szczęście, tylko pozazdrościć takiej pewności siebie - powiedział uprzejmie lord Hamilton.

Bess zerknęła kątem oka na męża. Przez ostatnie lata, ilekroć tylko widziała Jacka, zawsze ostrożnie próbowała skłonić go do zwierzeń, za każdym razem ponosiła jednak klęskę. Wdowiec nie chciał rozmawiać o swej zmarłej żonie. Zresztą w ogóle trudno przychodziło wydobyć z niego słowo, odzywał się bowiem tylko wtedy, gdy było to naprawdę niezbędne.

Teraz jednak wyglądało na to, że Jack zrzucił swoją skorupę gotuje się do walki! Czyżby to Anna doprowadziła go do takiego stanu? Podobnie jak mąż, Bess miała szczerą nadzieję, że tak nie jest, zrozumiała bowiem nagle, że zupełnie nie zna Hamiltona, a czy dla kochającej matki może być coś gorszego, niż wyprawić w podróż swą niewinną córkę pod opieką nieznanego mężczyzny?

Harry przesiadł się do stołu, a Margery podała ciepłe jadlo. Jack z entuzjazmem nałożył sobie dużą porcję na talerz.

- Nasz mały właśnie powiedział pierwsze słowo - oznajmiła Bess.

Hamilton podniósł wzrok i spojrzał na nią swymi szarymi oczami. .

- Naprawdę? Wobec tego szczerze mu współczuję, bo już nigdy nie będzie mógł szukać wytchnienia w milczeniu.

- Powiedział mi przemiły komplement - wtrąciła lodowatym tonem Anna - a to zdaje się wróżyć, że jest na dobrej drodze.

- Na drodze do nieszczęścia - mruknął Jack, odcinając kawałki mięsa tak, jakby było szkockim buntownikiem.

- Czemuż to? - zainteresowała się panna Latimar. - To, panie, że jesteś wyższy ponad takie miłe obyczaje, nie oznacza, że innym ludziom nie sprawiają one przyjemności.

- Oj, Anno, Anno - powiedział pojednawczym tonem ojciec. - Nie ma sensu wszczynać wojny o dziecięce szczebioty.

- Mnie chodzi o zasadę, ojcze - odparła córka. Z jej oczu biła złość.. - Lord najwyraźniej uważa, że wszystkie uprzejmości są niewiele warte, a ja się z nim nie zgadzam.

- Wcale tak nie uważam - sprzeciwił się Jack. Jego oczy wydawały się teraz znacznie ciemniejsze niż przed chwilą. - Kwestionuję tylko wartość pustych słów dla człowieka żyjącego w rzeczywistym świecie.

- Czyli tam, gdzie ty, panie, tak? - spytała rozwścieczona Anna. - Proszę przyjąć do wiadomości, że choć my może nie rozumiemy tego świata tak dobrze, to robimy jednak co w naszej mocy, żeby od czasu do czasu go odwiedzać.

- Szkoda wobec tego, że nie mówicie w jego języku! Skrzyżowali spojrzenia. Ani jedno, ani drugie nie rozumiało, skąd to niespodziewane starcie.

Jack jechał do Maiden Court niezbyt szczęśliwy z obietnicy danej swemu dawnemu panu. Harry poprosił go o odwiezienie.

- Greenwich córki i Jack czuł się w obowiązku spełnić tę prośbę. pamiętał jednak, że gdy niedawno opuszczał Maiden Court, towarzysząc królowej, wywoził stamtąd bardzo złe wspomnienie o Annie Latimar.

Nie mógł więc zrozumieć, dlaczego nieustannie wraca do tej panny myślami. Z jakiej przyczyny w Greenwich, gdy składał królowej raport o stanie umocnień na północnej rubieży, zniecka przypominała mu się jej twarz? Dlaczego, gdy wieczorami przyglądał się tancerzom, nagle przestawał ich widzieć, a pojawiała się przed jego oczami panna Latimar?

Taki dziwaczny stan był dla niego całkowicie niewytłumaczalny. Gdy przed chwilą zeskoczył z konia na podwórzu przed stajniami, rażno ruszył do drzwi dworu, jakby czegoś oczekiwał. Nie rozumiał swoich uczuć, tym mocniej więc chciał się od nich odgradzić.

Anna bardzo obawiała się jego przyjazdu. Jeszcze nigdy nie spotkała mężczyzny tak bardzo pozbawionego wdzięku i niechętnego do prawienia komplementów, które jej się po prostu zależały. Jednak i ona, wbrew swej woli, wciąż o nim myślała, to doprawdy było bardzo irytujące.

Po ostatniej uwadze Jacka Bess wydała stłumiony okrzyk i przygryzła wargę, zaś winowajca natychmiast zwrócił się ku niej z zakłopotaną miną.

- Proszę o wybaczenie. Słyszałem, pani, że ostatnio niedomagasz. Powinno się mnie zastrzelić za niepotrzebne przysparzanie ci trosk.

- Chętnie podejmę się tego zadania - mruknęła Anna. - Ojciec ma u siebie w pokoju najnowszy model strzelby.

Na chwilę zapadło milczenie, potem Harry powiedział beztrąsko:

- Robi się późno. Bess, myślę, że musimy pożegnać Annę, niech już rusza w drogę.

Bess zdecydowanym ruchem otarła oczy i odwiązała synka od krzesła. Z Halem na rękach wyszła na stajenne podwórze popatrzeć, jak córka dosiada swojej pięknej klaczy. Jack wskoczył na siodło płochliwego siwego rumaka. Potem oboje przyjęli jeszcze pożegnalne życzenia, a tymczasem Walter wyprowadził ze stajni jucznego konia z bagażami Anny.

Harry uściskał dłoń córki.

- Do zobaczenia, Anno. Przekaż ode mnie wyrazy uszanowania królowej oraz powtórz, że wkrótce będę mógł przyjechać osobiście i odnowić hołd.

Bess wysoko podniosła Hala, by córka mogła go jeszcze raz ucałować.

- Pamiętaj wszystko, co ci powiedziałam, Anno, I przede wszystkim baw się dobrze, kochanie!

- Będę się dobrze bawić - obiecała panna Latimar, lecz nagle poczuła się dziwnie nieswojo. Dookoła podwórza stali stajenni z czapkami w dłoniach, również cała służba wyległa z domu, żeby pożegnać panienkę. Gruba Mary, kucharka, przyciskała chustkę do oczu. Walter, zgarbiony teraz tak mocno, że ledwie mógł ustać, pamiętał dobrze, jak jeszcze niedawno musiał pilnować małej panienki, by nie wdrapała się na dorosłego konia.

Za bramą stała grupka wieśniaków, którzy również znali panienkę. Przez lata Anna była częścią Maiden Court, pamiętano jej śmiech i zabawy, radość i łzy, i przelotne burze. Wszyscy ją pokochali, bo nie sposób było inaczej, a teraz ta słodka panienka wyjeżdżała.

Pocziwi ludzie, pomyślała Anna. Pochyliła się, by pocałować jeszcze matkę i Hala, ostatniego całusa przeznaczyła dla ojca, a potem ścisnęła boki Jenny i ruszyła.

- Niech cię Bóg prowadzi, chłopcze - powiedział Harry do Jacka. - Pamiętaj, że powierzyłem twojej opiece swoją córkę.

- Pamiętam, sir - odparł cicho Hamilton. Czubkami palców dotknął czoła i śladem Anny opuścił podwórze.

Bess i Harry stali i patrzyli za nimi.

- Mam nadzieję, że jakoś im się ułoży - westchnęła Bess.

- Jak to im? - zdziwił się Harry. - Przecież nie ma żadnych „ich”, kochanie. Jack ma ją odwieźć do Greenwich i koniec.

Bess postawiła Hala na ziemi, a maluch natychmiast odmaszerował, wprowadzie nieco chwiejnie, lecz zdecydowanie.

- Tak sądzisz? Od dawna nie widziałam Jacka tak ożywionego, a Anna... och, przecież ona zwykle jest tak czarująca dla mężczyzn.

- I co 'z tego twoim zdaniem wynika? - spytał Harry ze śmiechem. - Nie przypadli sobie do gustu i tyle!

Bess nie powiedziała już nic więcej na ten temat, pamiętała jednak nieustanne kłótnie, jakie wiodła z Harrym na początku znajomości, gdy nie chciała jeszcze przyznać nawet przed sobą, że jej przyszyły mąż nieodparcie ją pociąga.

Elżbieta Tudor leżała w szczelnie otoczonym zasłonami łożu i odpoczywała. Suknię miała zdjętą, gorset rozluźniony, powieki spuszczone, lecz mimo to nie spała.

Zza ciężkich draperii dolatywały ją przyciszone kobiece głosy. Pewnie znowu plotkują, pomyślała Elżbieta. Co jeszcze robią jej damy dworu oprócz uprzyjemniania sobie czasu? Czasem trochę posiedzą, haftując, pograją na lutni, pośpiewają. Przede wszystkim jednak rozmawiają o sobie i swoich strojach, o fryzurach, o cerze, o kandydatach na kochanków. I to wszystko jej kosztem.

Westchnęła. Naturalnie, potężna królowa musi mieć swoją świętę ze wszystkimi tego konsekwencjami. Poruszyła się niespokojnie i na chwilę szmery w komnacie ucichły. Dwórki zapewne spodziewały się, że ich pani rozchyli zasłony i wyda jakieś polecenie. Ponieważ jednak Elżbieta tylko wygodniej się ułożyła, głosy wkrótce znów się rozległy.

Dlaczego jest taka niezadowolona? Na dworze i w kraju wszystko układało się pomyślnie. Początki jej panowania okazały się znakomite, a spodziewała się, że przyszłość będzie jeszcze wspanialsza. Wiedziała, że jest niezwykle inteligentna i wykształcona, szybko się uczy i ma ogładę niezbędną władczyni. Była też świadoma jeszcze jednej swojej cechy, z którą po prostu trzeba się urodzić. Potrafiła wybierać do służby ludzi zarówno zdolnych, jak i lojalnych.

Pod tym względem bardzo różniła się od innej królowej, swojej kuzynki Marii Stuart, która niedawno wróciła z Francji, by zasiąść na tronie w swym ojczystym kraju, Szkocji. I już stało się wiadome, że Maria Stuart jest bardzo złą władczynią. Twarz Elżbiety spochmurniała. Za metody rządzenia pochwały się kuzynce nie należały, ale pod niebiosa wynoszono jej urodę i wdzięk.

Maria wróciła do kraju ogarniętego wieloma problemami. Lordowie sprawujący rządy, powodowani butą, skłaniali się do rozwiązań sitowych. Od śmierci ojca Marii w Szkocji toczyła się brutalna wojna domowa, dlatego panowie z dużą niechęcią patrzyli, jak pannica wychowana na zbyt kownym dworze zajmuje należne jej miejsce królowej.

Również Maria nie była wolna od buty, poślubiła bowiem francuskiego delfina, który zdążył jeszcze objąć tron, ale zmarł w pierwszym roku ich małżeństwa. Franciszek, już śmiertelnie chory, uwielbiał Marię, młodą i piękną królową, toteż obsypywał ją wszelkimi możliwymi darami.

Nie raz i nie dwa obiecywał jej tron Anglii. Gdy więc nagle Maria została wdową,

mając w otoczeniu wrogo nastawioną teściową i świeżo koronowanego szwagra, zdecydowanego nie dopuścić jej do udziału w rządach, postanowiła wrócić do ojczyzny i zasiąść na tronie, który bezdyskusyjnie jej się należał. Powoli jednak dochodziła do przekonania, że ma prawa również do korony angielskiej.

Elżbieta Tudor, która zapewne wiedziała o Szkocji więcej niż władająca tym krajem kuzynka, nie kryła zadowolenia z tego, że niemal natychmiast po powrocie Maria zraziła do siebie szkockich lordów i swego przyrodniego brata Jamesa, wzburzyła przeciwników papizmu starego typu, budzącego grozę Johna Knoxa, a także popełniła setki drobniejszych uchybień budzących sprzeciw drażliwych Szkotów.

Mniej zadowalające były ostatnie doniesienia, według których Maria, mimo braku doświadczenia i sprytu w rządzeniu, okazała się jednak dostatecznie rozumna, by dopasować się do nowej roli. Stopniowo opanowywała sytuację w kraju, posługując się w tym celu jedynym dostępnym sobie środkiem, to znaczy kobiecym wdziękiem. W ten sposób zaznaczył się bardzo wyraźny kontrast między nią a jej kuzynką z rodu Tudorów.

Elżbieta tyranizowała swoich ministerialnych doradców, natomiast Maria siedziała cicho z robótką w dłoniach, słuchała i polegała na autorytecie innych. Słumiła w sobie upodobanie do pięknych strojów i nosiła skromne aksamity zasłaniające jej alabastrowy dekolt, co także bardzo różniło ją od kuzynki Elżbiety, która nadawała ton modzie w Anglii i stopniowo odkrywała coraz więcej kobiecych wdzięków.

Cnotliwość Marii nie ulegała wątpliwości, a jej cztery damy dworu, same imienniczki, były statecznymi córkami szkockich lordów. Elżbieta wolała nawiązywać przyjaźnie z dworzanami niższymi statusem, lecz za to modnymi i lubiącymi zabawę, a na jej reputację raz po raz rzucała cień swoboda w kontaktach z poddanymi płci męskiej, a zwłaszcza cieszącym się złą sławą Robertem Dudleyem.

Krótko mówiąc, Maria była solą w oku Elżbiety, która również miała silną świadomość swojej kobiecości, natychmiast więc rozpoznała godną rywalkę na tym polu.

Elżbieta znów niespokojnie się poruszyła. Tym razem zasłony zostały ostrożnie rozsunięte i pojawiła się między nimi głowa lady Sidney.

- Czy można w czymś pomóc, Wasza Wysokość?

- Nie. Idź sobie. - Głowa szybko się cofnęła, a Elżbieta znów się zamyśliła.

Snula swoje rozważania jeszcze kilka minut, aż w końcu doszła do wniosku, że rozstroił ją tak ślub, na którym niedawno była. Ślub George'a Latimara z tym małym nic.

Sama przyczyniła się do zawarcia tego związku, a współdziałał z nią w tym Dudley, ale, o dziwo, gdy nadszedł decydujący dzień, wcale nie czuła satysfakcji z wyniku. Doszła do

wniosku, że jej obecność i wcześniejsza pomoc wcale nie były potrzebne, bowiem ta para i bez tego wydawała się szczęśliwa ponad miarę.

Szczęśliwa. Również nad tym słowem warto się zastanowić. Może to właśnie ono ją irytowało? Zmarszczyła czoło. Dlaczego miałoby ją drażnić? Przecież sama jest szczęśliwa, czyż nie? Jest królową Anglii, kobietą władającą najpotężniejszym narodem na świecie, której wystarczy skinąć palcem, by mieć dostęp do wszelkich bogactw i rozrywek, o jakich marzyła długie lata spędzone na zesłaniu, a w dodatku kochał ją najprzystojniejszy i najbardziej czarujący dworzanin w całym królestwie. Na wargach Elżbiety zaigrał uśmiech.

Drogi Robert, drogi Robin. Było jej z nim tak dobrze, gdy czuł się całkiem swobodnie. Ostatnio jednak zachowywał się tak, jakby chciał zasugerować, że odmawia mu czegoś, co mu się słusznie należy. Jeszcze podczas ich krótkiego pobytu w Maiden Court wydawał się zupełnie inny. Traktował ją z czułością i bez formalnego szacunku, jakby to on był panem, a nie Elżbieta królową, gdy jednak wrócili do Greenwich, to się zmieniło. Robert nie potrafił zrozumieć, że chociaż połączyła ich miłość, to ona, królowa Anglii i najpotężniejszy monarcha na świecie, nie zamierza u swego boku stawiać księcia małżonka, a zwłaszcza takiego, który chciałby do woli korzystać z tego, co należy wyłącznie do niej, czyli z władzy. „Świat traci głowę dla miłości” - powiedział.

Ha! Już to gdzieś słyszała... Naturalnie. George Latimar posłużył się tą maksymą, gdy strofowała go za to, że rezygnuje z dworskiej kariery, wybrawszy żonę niższą stanem. Zresztą ojciec George'a, Harry, musiał mieć podobne poglądy, w swoim czasie, gdy był dworzaninem i przyjacielem jej ojca, Henryka VIII poślubił kobietę, którą pokochał, nie bacząc, że jest córką zubożalego rycerza.

To dziwne, pomyślała Elżbieta, bo przecież z pewnością władza, uwielbienie, wielkie bogactwa i szacunek, gdyby położyć je na jednej szali, powinny ważyć więcej niż... miłość.

Przez szparę, którą zostawiła między zasłonami lady Sidney, Elżbieta zobaczyła, jak zachodzące słońce złoci szyby w oknach jej komnaty. Wkrótce miała nadejść pora kolacji, trzeba więc zostać, ubrać się i poczynić wszelkie przygotowania. Myśl o Latimarach zwróciła uwagę Elżbiety na coś jeszcze. Tego dnia Anna Latimar miała dołączyć do jej dworek.

Budziło to u Elżbiety mieszane uczucia. Poznała córkę Harry'ego w bardzo oficjalnej sytuacji, podczas ślubu jej brata, ale nie odniosła korzystnego wrażenia. O swej przyszłej damie dworu pomyślała, że jest za ładna, zbyt wymowna i zupełnie nieskora do uległości.

Z pewnością tej pannie nie brakowało ambicji, co wyraźnie było widać po jej manierach. Nawet gdyby Annę Latimar porwała miłość i tak nie przestałaby stąpać po ziemi. Markiz by ją zadowolił, ale nikt mniej dostojny, to pewnie!

Jednakże Elżbieta uważała, że są powody, dla których Latimarom należą się względy z jej strony. Postanowiła więc przywitać tę pannę życzliwie. Jeszcze raz westchnęła, usiadła na łożu i rozsunęła aksamitne zasłony.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Anna opuszczała Maiden Court zdenerwowana i rozzalona, bowiem nie tak to sobie wyobrażała. Powinna jechać do Greenwich w towarzystwie swoich rodziców i przez całą podróż świetnie by się bawili. Matka z entuzjazmem komentowałaby widoki, a ojciec, ze swym niepowtarzalnym urokiem, przekornie by jej sekundował, a także, niby żartem, udzielał córce ostatnich porad. Tymczasem musiała jechać wiele kilometrów pod eskortą mężczyzny, którego ani nie lubiła, ani nie rozumiała. Zerknęła na niego kątem oka.

Jack Hamilton trzymał się w siodle siwosza z wielką swobodą, ale widać było, że zachowuje czujność. Nieustannie omiatał wzrokiem drogę, toteż Anna ani na chwilę nie zapomniała, że jadą przez bezludną i niebezpieczną okolicę, bo mimo rosnącego dostatku za panowania nowej władczyni bezprawie w Anglii wciąż się zdarzało. Co gorsza, Jack Hamilton nie powiedział do niej ani jednego słowa.

Gdy dotarli do rozstajnych dróg i skręcili na południe, ku stolicy, Anna postanowiła przerwać milczenie.

- Czy w ogóle nie będziemy rozmawiać?

Jack, skupiony na obserwacji gęstego lasu, mogącego stanowić dobrą kryjówkę dla zbójców, odwrócił głowę do panny Latimor.

- Bardzo przepraszam. Czy życzyłaś sobie, pani, prowadzić rozmowę?

- Tak się utarło, gdy dwoje ludzi jest razem.

- Aha... proszę mi wybaczyć. Niezbyt dobrze znam się na konwenansach. Zwraçałaś mi już na to uwagę, pani.

- Z pewnością pamiętasz jednak podstawowe zasady dobrego wychowania, panie - odparła sucho.

Nagle uświadomiła sobie, że ona, która z takim podnieceniem czekała na wyjazd, już tęskni za domem oraz że ogarniają ją złe przecucia związane z pobytem w Greenwich.

Łatwo być pewnym siebie, gdy przyjmuje się w domu gości, pomyślała ponuro, albo gdy odwiedza się sąsiadów, którzy znają i szanują twoją rodzinę. Czy jednak kiedykolwiek gdzieś była lub coś robiła zupełnie samodzielnie, bez wsparcia rodziny?

Nigdy, zawsze bowiem miała w odwodzie ojca, brata lub matkę, którzy pomagali jej uporać się z każdą nową sytuacją. Tymczasem w najważniejszym dniu swojego życia miała przy sobie jedynie Jacka Hamiltona! Złościło ją to, a ponieważ nie zwykła ukrywać takich nastrojów, zmarszczyła czoło.

Lord Hamilton zwolnił bieg konia i pochylił się ku młodej damie.

- Lady Anno, przecież już cię prosiłem, abyś wybaczyła mi moje niedoskonałe maniere. Poza tym twój ojciec powierzył cię mojej opiece, a ja traktuję swoje obowiązki poważnie.

Musiała przyznać, że Jack mówi rozsądnie. Gdyby przydzielono jej do towarzystwa starego Waltera, na pewno byłby tak samo czujny, ale przez całą drogę gawędziliby ze sobą. Zwierzyłyby mu się ze swoich obaw, a wierny sługa natychmiast by je rozwiązał, uważał bowiem panienkę za wcielenie doskonałości.

Natomiast Jack Hamilton wręcz przeciwnie. Była pewna, że jej nie lubił i nie cenił, co więcej, po prostu go nie obchodziła. Nawet nie chciał na nią spojrzeć, bo gdy zwrócił się do niej, wzrok miał wbity w jakiś punkt nad jej ramieniem.

On przypomina ducha, pomyślała, chociaż może ruszać się i oddychać, ale w środku jest martwy. Przebiegł ją dreszcz. Ten mężczyzna działał na nią wręcz odpychająco. Ktoś taki nie nadawał się do tego, by towarzyszyć jej w świecie, gdzie królują ciepło i radość, a w takich właśnie krainach Anna zwykła przebywać.

Oba konie szły teraz ślimaczym tempem. Po lewej stronie płynęła rzeka, jechali bowiem wzdłuż Tamizy, a przed sobą ujrzeli przydrożną gospodę.

- Czy nie moglibyśmy zrobić krótkiego przystanku? - spytała. — Chciałabym napić się czegoś zimnego, a myślę, że Jenny również. - Czule poklepała klacz.

- Wobec tego istotnie powinniśmy się zatrzymać - stwierdził Jack i spojrzał w niebo. Pogoda była ładna, a przejechali już kawał drogi. Z zadowoleniem stwierdził, że jego towarzyska jest dobrą amazonką. Świetnie trzymała się w siodle i zręcznie kierowała koniem nawet wtedy, gdy pokonywali nierówności terenu. Wprawdzie Jack bardzo chciał dojechać do Greenwich przed zapadnięciem zmroku, ale na krótki postój mogli sobie pozwolić.

W gospodzie nie było osobnego salonu dla dam, w którym mogłyby odpocząć i czegoś się napić, jednak karczmarz wskazał im miejsca na dworze z widokiem na rzekę. Anna usiadła i wbiła wzrok w wyjątkowo leniwy nurt, a Jack zajął się końmi. Po chwili karczmarz przyniósł piwo.

Hamilton wkrótce dołączył do swej podopiecznej. Gdy upił łyk, na jego wardze została biała smuga. Otarł ją rękawem i zaczął prowadzić dość niezręczną rozmowę o otaczającym ich krajobrazie, wskazując przy tym na rząd chłopców łowiących ryby nad rzeką.

Anna spojrzała na niego zdziwiona, bo Hamilton najwyraźniej starał się teraz ją zabawić. Doceniła ten wysiłek, widać było bowiem, że zupełnie nie potrafił rozmawiać o niczym. Gdy karczmarz dolał im piwa do kufli i przyniósł na drewnianym półmisku chleb

oraz ser, powiedziała:

- Przypuszczam, panie, że tam, gdzie jest twój dom, świat wygląda zupełnie inaczej.

Opowiedz mi o tym, proszę.

Na chwilę zamyślił się.

- Słusznie przypuszczasz, pani. Południe Anglii jest łagodne, natomiast pogranicze Szkocji to kraina surowa i bezlitosna.

Czekała, co powie dalej.

- Wiem, że wszędzie bywają trudne warunki, ale tam życie jest szczególnie ciężkie. To nie kończąca się walka z żywiołami, z biedą, i z ziemią, którą trzeba nieustannie przebłagiwać, by chciała ofiarować dość żywności. - Urwał i kwaśno się uśmiechnął. - Pewnie nie to chciałaś usłyszeć, pani.

- To bardzo interesujące - zapewniła go uprzejmie. - Mów dalej, panie.

- Tam, gdzie mieszkam, w zamku Ravensglass, będącym od dawien dawna siedzibą mojej rodziny, nie ma wyraźnego podziału na tak zwaną szlachtę i chłopów. Owszem, mam złoto i oszczędności, mam solidne meble i wygodne komnaty, ale nie sposób najeść się francuskimi jedwabiami, a noc spędzona z pustym brzuchem na puchowych piernatach jest podobna do nocy na słomie. - Przerwał na moment. - Prędzej czy później nawet w najrozważniej prowadzonych domostwach trzeba uzupełnić spiżarnię, a zdarza się, że jesteśmy przez dużą część roku dosłownie odcięci od reszty świata. Zwierzęta, nawet zadbane, giną od chorób, podobnie jak ludzie. I zimno! Mam nadzieję, pani, że nigdy podobnego nie doświadczyłaś. Ciepło odziany człowiek wychodzi z domu tylko po to, by sprawdzić, jak się ma jego stado, i wraca z odmrożonymi palcami u rąk i nóg...

Zamilkł, by przyjrzeć się jej minie.

- No, nie co roku jest tak strasznie, ale pamiętam kilka niezwykle ostrych zim. Na któreś Boże Narodzenie matka przemyciła do zamku prosiaka i tuczyła go w wielkiej sali przy kominku, żebyśmy mieli co jeść na święta. Ojciec, gdy to zauważył, wpadł we wściekłość. Kłócili się przez całe dwa świąteczne tygodnie.

- Twój ojciec, panie, był Szkotem, prawda?

- Z urodzenia tak, ale jego rodzina mieszkała od wielu lat po angielskiej stronie granicy, więc uważał się za Anglika. Był lennikiem króla Henryka, a ja jestem lennikiem jego dzieci.

Jack zapatrzył się w jednego z małych wędkarzy, który miał na żyłce srebrzystą rybę i usiłował wyciągnąć ją z wody. Podczas gdy chłopiec mozolił się ze zdobyczą, Hamilton wstał, zdjął czapkę, pochylił się nad wodą i zręcznie podebrał trofeum.

Mały blondynek, zdziwiony i zaskoczony, spojrzał na niego z uśmiechem i obaj pochylili się nad złowioną rybą. Chłopcy wędkowali nie dla sportu, lecz po to, by było w domu co jeść, a ten piękny okaz zapewniał całej rodzinie posiłki na dwa dni.

Gdy Jack wrócił do Anny, ta powiedziała zadumany tonem:

- Musiałeś, panie, bardzo zagniewać ojca, kiedy, wybrałeś na żonę francuską damę. O ile wiem, Szkoci i Francuzi zawsze nawiązują sojusz, gdy przychodzi do walki przeciwko Anglikom.

Jack stężał, ale odpowiedział uprzejmie:

- To prawda. Jeśli już odpoczęłaś, pani, powinniśmy wyruszyć dalej. Chciałbym zobaczyć Greenwich jeszcze przed zachodem słońca.

Resztę drogi przebyli niemal w milczeniu. Jeśli Anna się odrywała, Jack odpowiadał, ale wyłącznie półsłówkami i prawie niegrzecznie. Dziewczyna znowu poczuła się jak natręt. Była pewna, że nowy przyływ niechęci wywołała u Jacka tym, iż poruszyła zakazany temat.

Wielkie nieba! - pomyślała z irytacją. Mogłoby się zdawać, że to jedyny człowiek na świecie, który stracił bliską osobę, a na przykład ona przed pięcioma laty też była bardzo zasmucona, gdy zmarła jej babka ze strony matki.

Joan de Cheyne, matka Bess, dożyła niezwykle podeszłego wieku. Miała niespożyte siły. Przez wiele lat mieszkała razem z córką i zięciem, dbała o Latimarów i mieszała się do wszystkich ich spraw. Gdy cicho odeszła pewnej letniej nocy, po hucznej dożynkowej kolacji, w której brała żywy udział, Anna szlochała trzy dni bez przerwy. Wreszcie ojciec przyszedł do jej komnaty i surowo oznajmił, że takie opłakiwanie wyroków losu to brak szacunku dla sił wyższych.

- Sprzeciwiasz się Bogu - powiedział - więc proszę, przestań.

Mądre słowa, uznała wówczas Anna, a teraz je sobie przypomniała. Zerknąwszy na chmurną twarz swojego towarzysza, nabrała jednak przekonania, że dla niego nie będą stanowiły pociechy. Naturalnie rozumiała, że utraty babki nie można porównywać ze śmiercią żony i towarzyszki życia, lecz mimo wszystko... Tak czy owak, żałowała, iż niebaczenie zadała kłopotliwe pytanie.

Do Greenwich dotarli akurat wtedy, gdy błękitne niebo zaczęło nabierać jabłkowozielonego odcienia, który sygnalizował, że oto kończy się jeszcze jeden pogodny, jesienny dzień i wkrótce nastanie noc. Wjeżdżali na główny dziedziniec skąpani w karmazynowym świetle zachodzącego słońca. Jack zeskoczył na ziemię i pomógł Annie zsiąść z klaczy. Dopilnował, by stajenny zajął się wierzchowcami i polecił mu szybko znaleźć pazia, który odprowadziłby lady Annę Latimar do jej komnaty.

Mimo swych braków Jack bez wątpienia był skuteczny, bo po kwadransie Anna znalazła się pod opieką lady Allison Monterey w jednej z komnat, do których wchodziło się z labiryntu korytarzy przecinających kwatery dam dworu. Anna wraz z rodzicami i George'em była już w Greenwich, więc z radością oglądała znane miejsca, przede wszystkim jednak zależało jej a tym, by jak najszybciej spotkać damy, z którymi miała spędzić najbliższe dwa lata życia, i wywrzeć na nich możliwie korzystne wrażenie.

W komnacie zastała cztery dwórki. Wszystkie były równe jej wiekiem i stanem, czyli że były bardzo starannie wychowane, lecz nie pochodziły z najznamienitszych rodzin. Służyły królowej, nie należały jednak do jej najbliższego otoczenia, bo taki zaszczyt został zarezerwowany, na przykład, dla lady Warwick i lady Dacre. Dziewczęta powitały ją życzliwie, bo każda nowa twarz była bardzo pożądana, jako że zbliżały się długie, zimowe miesiące. Zaraz potem Anna przekonała się, jak rozważnie ojciec zaplanował jej przyjazd na królewski dwór. Gdy zaczęła rozpakowywać kufer, a pozostałe panny wydawały głośne okrzyki nad jej kolejnymi sukniami, bez wyjątku uszytymi zgodnie z wymogami najnowszej mody, lady Allison powiedziała:

- Przywiózł cię tutaj Jack Hamilton, prawda? Och, on wydaje mi się wprost fascynujący!

- Naprawdę? - Anna spojrzała zaskoczona, szybko jednak się opanowała i przybrała wyraz życzliwego zainteresowania.

- Wszystkie tak uważamy - wtrąciła lady Frances. - Czy on jest przyjacielem rodziny, czy... ? - Na wszelki wypadek zawiesiła głos.

- Owszem, przyjacielem rodziny - odrzekła stanowczo Anna. - Dawniej był paziem mojego ojca, a i teraz utrzymują bliskie stosunki. Moi rodzice spotykali się z nim co pewien czas, gdy przyjeżdżali na dwór złożyć pokłon królowej, ja natomiast widziałam go ostatni raz, kiedy byłam małą dziewczynką. Niestety, moja matka zachorowała i nie mogła mi towarzyszyć do Greenwich, więc ojciec poprosił o to Jacka.

Odwróciła się do kufra i wyjęła z niego aksamitną pelerynkę, podbijaną futrem, którą zaledwie tydzień wcześniej dostała w prezencie od rodziców. Trzymając w rękach ten luksusowy przyodziewek, znów poczuła tęsknotę za domem.

- Będziesz miała osobistą służącą, która zrobi to za ciebie - zwróciła jej uwagę lady Jane.

- Wiem - odparła Anna, świadoma, że została zganiona - ale pomyślałam, że sama to zrobię i każę wynieść kufer. - Wdzięcznie uśmiechnęła się do Jane. - Wydaje mi się tutaj dosyć ciasno. Jestem pewna, że wszystkim brakuje przestrzeni, do której przywykłyśmy w

naszych domach.

Trzy pozostałe dwórki wymieniły aprobowane spojrzenia. I tak zaczęła się nieustająca gra towarzyska w zdobywanie punktów. Nikt nie zostawał w niej zwycięzcą, ale przynajmniej dawała trochę urozmaicenia.

Dwórki uznały, że Anna ma już całkiem sporo tych punktów. Przyjechała do Greenwich pod opieką Jacka Hamiltona, który był tematem licznych domysłów, ponieważ wiele panien bezskutecznie próbowało go zdobyć; miała elegancką garderobę i pochodziła z szacownej rodziny, a w dodatku niemal natychmiast utarła nosa Jane. Należało się więc spodziewać, że szybko znajdzie swoje miejsce na dworze.

Panny wróciły do tematu Jacka Hamiltona.

- Podobno nigdy nie otrząsnął się z żałoby po śmierci żony - powiedziała z żywym zainteresowaniem Clare — a minęło od tamtej pory już ponad dziesięć lat!

- Mój brat, Tom, powiedział mi, że w Ravensglass Jack zbudował jej okazały pomnik - szepnęła Allison. - Krypty rodowe Hamiltonów wydawały mu się nie dość dostojnym i wspaniałym miejscem dla jej szczątków, więc postawił nową, a materiały sprowadził aż z Florencji. I budowla, i pomnik są z włoskiego marmuru.

- Wyobraźcie sobie tylko, ile to kosztowało! - wykrzyknęła zazdrośnie Frances. - I wszystko dla zmarłej osoby.

Anna nadał składała swoje stroje we wskazanej skrzyni, nieco zde gustowana tą rozmową. Cokolwiek sądziła o Jacku Hamiltonie, wrodzone poczucie lojalności nie pozwalało jej słuchać, jak w tym siedlisku zawiści panny dyskutują o jego najbardziej osobistym cierpieniu.

- Z pewnością znasz różne niezwykle szczegóły tej historii - zwróciła się do niej Jane. - Oświeć nas, proszę.

Złożywszy równo ostatnią suknię, Anna zamknęła skrzynię.

- Niestety, nie znam żadnych szczegółów - odparła chłodno. - Wiem tylko, że Jack uwielbiał swoją żonę i bardzo głęboko przeżył jej śmierć.

Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia, aż wreszcie Clare powiedziała:

- Naturalnie jest tak, jak mówisz... wszystkie mu współczujemy, ale czy nie uważasz, że żałoba też ma swoje granice?

Anna również była tego zdania, nie do niej jednak należał sąd w tej sprawie, ponieważ, jako że nigdy jeszcze nie była zakochana, nie miała stosownych doświadczeń. Wiedziała natomiast, że nie wolno jej brać udziału w bezsensownych plotkach, dotyczących uczuć posępnego i zgorzkniałego człowieka, z którym spędziła ostatni dzień. To byłaby po

prostu nielojalność.

- Myślę, że z czasem i on opuści swoją wieżę z kości słoniowej. Cieszyłabym się, gdybym to ja mogła go do tego skłonić - westchnęła Jane.

Wszystkie się roześmiały, a ponieważ były młode i szukały rozrywki, wkrótce zaczęły eksperymentować z różnymi miksturami upiększającymi, które miały na toaletce, i rozmawiać o innych sprawach. Tymczasem przesywał się piasek w klepsydrze i nastąpiła pora wieczornego posiłku.

Wielka sala w Greenwich była olbrzymim pomieszczeniem z wygładzonych kamieni. W obu jej końcach znajdowały się wielkie kominki, z których buchały złotoszkarłatne płomienie.

W żelaznych kinkietach ze srebrnymi zwierciadłami o sześćdziesięciocentymetrowej średnicy paliły się setki świec. Gra światła, barw i cieni wprawiała wszystkich w szczerzy zachwyt.

Anna siedziała przy swoich towarzyszkach z komnaty, ale nie miała czasu, by cokolwiek przełknąć, bo bez przerwy rozglądała się dookoła. Mimo że przed rokiem spędziła kilka miesięcy na dworze, nigdy nie widziała takich sukni i strojów, tak wspaniałej biżuterii i ozdobnych fryzur.

Królowa siedziała na drewnianym podwyższeniu z Dudleyem, Williamem Cecilem i innymi ludźmi, których Anna nie знаła. Nie ulegało wątpliwości, kto jest pierwszą damą tego zgromadzenia. Elżbieta nosiła suknię z jedwabiu o miodowej barwie, zdobioną haftowanym wzorem, przedstawiającym pszczoły. Szerszych spódnic już wprost niepodobna mieć. Szyję królowej otaczała nieskazitelnie biała kryza zdobiona perłami, która na karku wznosiła się i w ten sposób tworzyła tło dla twarzy. Anna wyteżyła wzrok, by dociec, jak taki kołnierz jest podtrzymywany, musiał bowiem być dość ciężki.

Szepnęła do Jane:

- Koronki Jej Wysokości są piękne, ale zastanawia mnie, jak to możliwe, że delikatny materiał jest taki sztywny.

Jane lubiła sobie dobrze pojeść. W przyszłości na pewno odbije się to na jej kształtach, tymczasem jednak, w wieku dwudziestu lat, miała jedynie bardzo kobiece krągłości. Ponieważ akurat chciwie pochłaniała pieczonego pawia, otarła krople tłuszczu z bielutkiego podbródka i powiedziała:

- Och, to jest flamandzka specjalność. Robi się to czymś, co nazywa się... krochmal. Jak dotąd tylko Francuzi nabrali biegłości w tej sztuce, więc Jej Wysokość specjalnie sprowadziła stamtąd służącą, która zajmuje się jej koronkami. Nie jesteś głodna?

- Jestem, jestem. - Anna rozejrzała się po oszłamiająco wystawnym stole. Wybrawszy pieczonego łabądka, zaczęła skubać mięso po małym kasku. Maniery przy stole w Maiden Court były przestrzegane z wielką skrupulatnością, bo jej ojciec utrzymywał, że nawet najbardziej urocza dama traci urok, jeśli podczas posiłku zachowuje się jak wygłodzone zwierzę. Niestety, większość biesiadników w Greenwich właśnie tak się zachowywała, co Anna odnotowała z dezaprobatą. Wróciła spojrzeniem do Elżbiety. Ojciec dał jej list do królowej, w którym wyjaśniał, dlaczego nie może towarzyszyć córce osobiście. Zaraz po przyjeździe przekazała go jednej z dam dworu, a teraz zastanawiała się, czy królowa udzieli jej posłuchania.

Tymczasem Jane najadła się do syta i popiwszy mięsiwo dwoma kielichami wina, próbowała zwrócić na siebie uwagę pania z wielką tacą słodczy.

- Mniam! Tylko skosztuj, Anno, któregoś z tych ciasteczek. Jej Wysokość sprowadziła prawdziwego mistrza w cukierniczym fachu, który przygotowuje właśnie takie pyszności. - Podsunęła jej kwadratowe ciasteczko marcepanowe z suszonym owocem, zdobionym śródkowym ciemnym klejnotem.

- Dziękuję. - Anna machinalnie ugryzła ten specjał, ale zaraz go odłożyła. W odróżnieniu od pani tego dworu, nie była łasuchem.

- Lady Anno? - Podniosła wzrok i stwierdziła, że pochyla się nad nią Jack Hamilton. - Czy pozwolisz, pani, że zaprowadzę cię do sali tanecznej? Jej Wysokość wkrótce tam się uda.

Świadoma czterech par oczu śledzących ją z wielką uwagą, odrzekła spokojnie:

- Dziękuję, Jack. - Wstała i przyjąwszy jego ramię, opuściła wielką salę.

- Jak minął ci, pani, pierwszy posiłek w Greenwich? - spytał w korytarzu.

- Całkiem dobrze. Czy wejdziemy do sali?

- Stanęli przy drzwiach obszernej komnaty, pełnej tańczących par.

- To mi się wydaje dość skomplikowane - powiedział Jack. - Czy znasz, pani, kroki?

- Mój ojciec zatrudniał włoskiego nauczyciela tańca, nie widzę tu nic trudnego.

- Poczekaj więc chwilę, a znajdę ci kawalera do pary. - Jack rozejrzał się po opustoszałym korytarzu.

- Nic z tego - odparta, wciąż trzymając rękę na jego ramieniu. Był w tym miejscu jedynym znanym jej człowiekiem, więc wcale nie miała ochoty go tracić. - Poradzimy sobie. - Weszła do środka i Hamilton, chcąc nie chcąc, musiał zrobić to samo.

Kroki nie dość że nieznanne, wydały się Jackowi zupełnie nienaturalne. Nie tańczył od lat, lecz mimo to z ponurą determinacją starał się podołać trudnemu zadaniu, polegając na swoim instynktownym poczuciu rytmu i gibkości znamienitego wojownika, jakim przecież

jest.

Zerknąwszy na partnerkę, stwierdził, że radzi sobie znacznie lepiej. Mimo woli zatrzymał na niej wzrok, zawsze znajdujący upodobanie w pięknie. Co mu przypominały te kołyszące się ruchy? Ależ tak, mistrzowski fechtunek jej ojca. Minęło już wiele lat, ale Jack wciąż dobrze pamiętał, jak Harry Latimar robił błyskawiczne zwroty i parował sztychy srebrzystym rapierem. Pamiętał również siebie, skromnego pazia, który trzymał aksamitną pelerynę swego pana i podziwiał jego biegłość. To działo się jednak tak dawno temu. Wtedy jeszcze nie znałem Marie Claire, pomyślał i poczuł w sercu bolesne ukłucie.

Nagle znalazł się naprzeciwko Anny, która uśmiechnęła się do niego.

- Bardzo dobrze sobie radzisz, panie - powiedziała radośnie. - Czy nadal uważasz, że to nie jest ani trochę zabawne?

- Zabawne? - powtórzył z goryczą Jack. - Nie wydaje mi się. - Odwrócił się i zostawił ją wśród tańczących, a sam zaczął się przeciskać przez tłum do wyjścia.

Znowu! Znowu ten niewdzięcznik zostawił ją na środku sali! Dygnęła przed dżentelmenem, który pospiesznie zajął miejsce Hamiltona, i przesłała mu olśniewający uśmiech, a gdy rytm się zmienił, również opuściła tańczących i podążyła śladem postawnego, siwowłosego mężczyzny. Wkrótce znalazła się na dworze. Szedł szybko, ale dogoniła go na schodach prowadzących nad rzekę.

- Jack!

Odwrócił się do niej z kamienną twarzą.

- Przepraszam, lady Anno. Nagle poczułem, że potrzebuję świeżego powietrza.

- Jesteś, panie, niegrzeczny! - burknęła rozzłoszczona dziewczyna. - W przeszłości na pewno musiano cię uczyć, że gdy się damę zaprasza, to wycofywanie się w połowie jest niewybaczalnym grubiaństwem. Zostawiłeś mnie już po raz drugi.

- Lecz ja, pani, ani razu cię nie zaprosiłem - przypomniał z powagą. - Przyznaję jednak, że nie zachowałem się właściwie.

To konkretne stwierdzenie trochę ją udobruchało. Poczula się głupio, że wybiegła za nim na dwór, by wyładować swoją złość.

Przysiadła na omszałym murku. Wieczór był ciepły, lecz mimo to przez spódnice czuła wilgoć. Znów ogarnęła ją nostalgia. Powiedziała smutno:

- Pewnie nie przyszło ci, panie, do głowy, że mogę dzisiaj trochę tęsknić za domem.

- Rzeczywiście, nie.

- Albo że taki tłum ludzi może we mnie wzbudzić pewien lęk.

- Też nie - zapewnił ją. - O ile jednak dobrze pamiętam, pani, zapewniałaś mnie, że

nigdy nie odczuwasz niepokoju. - Powiedział to całkiem obojętnym tonem.

Anna roztarta ramiona, bo od rzeki wiał chłodny wiatr. Ten spontaniczny, dziecięcy gest zupełnie nie pasował do jej nowej bardzo eleganckiej sukni i starannie zakręconych i ułożonych włosów.

Jack usiadł przy Annie. Przyzwyczajona do tego, że ma w rodzinie dwóch mężczyzn, którzy w razie potrzeby ją pocieszają, pochyliła się ku niemu i położyła głowę na jego ramieniu. Pozostał nieruchomy, nie próbował jej objąć. Po chwili Anna wyprostowała się.

- Przepraszam, panie. Wiem, że nie wolno mi nadużywać twojej życzliwości, ale dziś wieczorem naprawdę czuję się trochę zagubiona.

Jest blada, pomyślał, i jaka drobna w porównaniu ze mną. Wiedział jednak, że zagubienie Anny nie potrwa długo, zauważył przecież dziesiątki zachwyconych spojrzeń, które śledziły ją na sali tanecznej.

- Co cię, pani, dręczy? - spytał niezręcznie.

- Nic - odrzekła po chwili - ale wszystkie panny z mojej komnaty są bardzo pewne siebie, ślicznie wystrojone i piękne. Nagle przyszło mi do głowy, że jestem tylko zwykłą Anną Latimar z Kew. Nikim szczególnie wspaniałym ani pięknym.

Wypowiedziała te słowa, spoglądając mu prosto w twarz. Nie zamierzała flirtować, taka po prostu była. Wychowano ją w przekonaniu, że dopóki mężczyzna nie okaże wrogości, jest przyjacielem i sojusznikiem i należy traktować go w sposób całkiem naturalny.

W gruncie rzeczy niewiele wiedziała o kobiecych grach, choć natura wyposażyła ją w niezbędny oręż. W tej chwili Anna widziała jednak w Jacku jedynie ogniwo łączące ją z domem, przyjaciela rodziny i znajomą twarz.

Z pewnością nie powiedziałyby, iż go lubi, i nie tylko dlatego, że Hamilton najwyraźniej nie żywił do niej przyjaznych uczuć. Jeszcze bardziej irytowało ją to, że izolował się od ludzi.

Do tej pory nie zgłębiła istoty tej postawy, z jej doświadczeń wynikało bowiem, że każdy chce być lubiany i całą swą energię temu właśnie poświęca. Natomiast Jack wydawał się absolutnie obojętny na to, co kto o nim sądzi.

Wiedziała też, że ludzie mają o nim bardzo różne zdania.

Matka nazwała go „uroczym chłopakiem”, a ojciec wspominał o dobrym przyjacielem i najweselszym chłopcu, jaki mu kiedykolwiek służył”. „Jest fascynujący!” - twierdziły jej współmieszkanki. „Dziwny i nieszczęśliwy”, uważał George. Do tej ostatniej opinii Anna przychyliła się całkowicie.

Jack ostrożnie się od niej odsunął, wstał i powiedział zadumany tonem:

- Sądzę, pani, że masz wszystkie zalety innych panien, a te określenia, którymi je obdarzyłaś, pasują również do ciebie.

Wielkie nieba! - pomyślała zaskoczona. Zdaje się, że powiedział mi komplement! Dość banalny, to prawda, lecz jednak, Została pocieszona i uśmiechnęła się.

- Dziękuję jeszcze raz, Jack. Myślę, że mogę już wrócić do pałacu i nie przejmować się aż tak bardzo.

- Jak sobie życzysz, pani - odrzekł uprzejmie.

Miało upłynąć trochę czasu, nim ponownie nadarzy się im okazja do rozmowy.

Następnego ranka Anna została wezwana do królowej i poinstruowana w sprawie swoich obowiązków. Elżbieta była życzliwa, ale wyraźnie dała swojej nowej damie do zrozumienia, że znalazła się na dworze tylko dzięki rodzicom, którym należą się szczególne względy monarchini.

- Bardzo żałujemy, że Harry nie może być z nami - powiedziała królowa - ani twoja przemiła matka, Bess, dla której mamy wiele ciepłych uczuć. Prawda, Robin?

Anna została przyjęta na audiencji w czasie, gdy królowa przygotowywała się do polowania z sokołem w towarzystwie Roberta Dudleya.

- Tak właśnie jest, najjaśniejsza pani - przyznał faworyt bawiąc się grabą rękawicą, którą Elżbieta miała wkrótce włożyć. Zwrócił swoje niebieskie oczy na Annę. - Jak się miewał twój brat, pani, gdy opuszczałaś Maiden Court? Przypuszczam że dobrze.

- George? Myślę, że całkiem dobrze - odrzekła Anna. - Wyruszył w podróż z nowo poślubioną żoną i wnoszę, że ma się jak najlepiej.

- Oczekujemy, że i on zaszczyci nas wkrótce swoją obecnością - powiedziała Elżbieta. - Wiesz chyba, że zaniedbał swój obowiązek w tym względzie.

Przeszyła Annę ostrym spojrzeniem. Była gotowa pokazać przystojnemu dziedzicowi Maiden Court, jaką wartość mają łaski królowej, ale George stanowczo odciął się od dworskiego życia. Chociaż Latimarowie byli zwykłymi posiadaczami ziemskimi, mieszkającymi na wsi, to jednak zdołali wycisnąć swoje piętno na innych, wyżej stojących rodzinach, mimo że nie sprawowali żadnych wysokich urzędów ani nie odznaczyli się niczym szczególnym w służbie Koronie.

Jej ojciec, Henryk, uwielbiał Harry'ego, którego znał trzydzieści lat, zaś ona była więcej niż zauroczona George'em Również Anna mogła się podobać, ale podczas audiencji Elżbieta nie zmieniła swej pierwotnej opinii. Owszem, dziewczyna miała niezaprzeczalną i oryginalną urodę, była dobrze ubrana i elegancka, ale co wydawało się tak pożądane u mężczyzny, a więc u Harry'ego i George'a, to u kobiety - nie wiadomo dlaczego - raziło.

Za wiele tych ciemnych włosów, pomyślała nagle Elżbieta. W słońcu, którego promienie wpadały do komnaty, lśniły jak zmarszczony, czarny jedwab, a ten kolor u kobiety Elżbietę drażnił. Dlaczego? Ponieważ jej matka, Anna Boleyn, miała podobnie bujne hebanowe włosy i ciemne oczy, bo gdy panna Latimar popadała w zakłopotanie tak jak teraz, również jej niebieskie oczy stawały się prawie czarne. Obie kobiety łączył też podobny, acz trudny do opisanego, wdzięk.

W dodatku panna Latimar nosiła imię drugiej żony Henryka, która w końcu wypadła z łask i została ścięta. Elżbieta zdrżała na to wspomnienie. Jednakże... Królowa wyprostowała plecy i wzięła z krzesła swój podbity futrem płaszcz.

- Możesz już iść - powiedziała do Anny. - Robin, ruszamy na polowanie. - Dudley otworzył drzwi i Elżbieta znikła.

Anna opuściła królewską komnatę z poczuciem, że ma najwyżej dziesięć centymetrów wzrostu. W Maiden Court Elżbieta wcale nie była taka oficjalna! - pomyślała z niechęcią. Miała pogodną minę, dobry nastrój, niemal flirtowała z gospodarzem zatańczyła z George'em prawie policzek przy policzku.

Anna, stojąc na korytarzu, niespokojnie się rozglądała. Jeszcze nie przywykła do pałacowego rozkładu zajęć, nie wiedziała więc, gdzie powinna udać się o tej porze. Gdy rozważała ten problem, w korytarzu pojawił się wracający szybkim krokiem Robert Dudley.

- Lady Anna? Mam wziąć dokumenty, które królowa zostawiła w swojej komnacie. Pomóż mi, pani, ich poszukać.

Anna weszła za nim do środka.

- Zdawało mi się, że w planach jest polowanie - powiedziała gdy Robert przeglądał stertę dokumentów na jednym ze stosów..

- Co? Tak, oczywiście, ale po powrocie mamy znowu zająć się sprawami wagi państwowej. - Rozbawiony, spojrzał na dziewczynę. - Królowa nigdy nie przestaje pracować. O, chyba znalazłem to, czego szukam... Nie, to jeszcze nie to. Chodź, pani, pomóż mi, proszę.

- Czego właściwie szukasz, panie?

- Projektu kontraktu małżeńskiego między młodym Fanshawe'em a jego kuzynką Lizzie Butler - odparł machinalnie. - Stawką jest poważny dochód dla Korony... Och, doprawdy, nie jestem sekretarzem! - Rzucił ze złością papiery na barwny dywan.

Na stoliku przy oknie Anna znalazła osobno leżący zwój pergaminów przewiązany cienką wstążką. Rozwinęła je i przesunęła wzrokiem po tekście.

- Chyba znalazłam - oznajmiła, rozpościerając jedną ze stron.

Robert podszedł do niej, najpierw przyjrzał się dokumentowi, a potem wyczarował dla

swej pomocnicy piękny uśmiech.

- Rzeczywiście, znalazłaś co trzeba, pani. Gratuluję!

Byli tak blisko siebie, że Anna wyraźnie widziała, jak błękitne są jego tęczęwki i jak bardzo kontrastują z białkiem oczu. Skóra na policzkach Dudleya miała lekko złocisty odcień. Jest całkiem przystojny, pomyślała, ale nie na tym polega jego siła. Sir Robert roztaczał wokół siebie aurę władczości i właśnie dzięki temu był atrakcyjny.

Jack Hamilton roztacza podobną aurę, pomyślała nagle, chociaż trudno sobie wyobrazić dwóch bardziej różniących się mężczyzn. Widząc, że Anna mu się przygląda, Robert znów się uśmiechnął.

- Może przyłączysz się dzisiaj do naszej kompanii, pani - zaproponował, zwinawszy pergamin, by ukryć go w rękawie. - Mamy polować na gruntach Montereyów i korzystać do wieczora z gościny właścicieli dworu.

- Nie mogę - odparła zasadniczym tonem. - Nie jestem odpowiednio ubrana do konnej jazdy, a poza tym Jej Wysokość mnie nie zaprosiła.

- Ach, zaprosiła, nie zaprosiła... - Robert skwitował te skrupuły machnięciem ręki. - Elżbieta nie ma dziś w swoim moczeniu żadnej damy dworu. Wszystkim dała wolne, żeby mogły przygotować się do maskarady, która odbędzie się jutro wieczorem. Myślę, że przynajmniej jedna dama powinna ją wspierać. A co do jeździeckiego stroju, to ile czasu potrzeba ci, pani, żeby się przebrać? - Przybrał żartobliwy i dość poufały ton. - Chciałbym, żebyś z nami pojechała... Anno.

- Jeśli uważasz, panie, że narażę się na niezadowolenie królowej, jeśli odmówię, to zaraz się przebiorę i przyłączę do was na stajennym dziedzińcu.

W swojej komnacie Anna szybko zrzuciła suknię i wzięła kostium do konnej jazdy, nagle jednak naszły ją wątpliwości. Królowa spoglądała na nią z taką niechęcią, że mogła unieważnić zaproszenie Dudleya, ostro skarcić swoją nową damę i odesłać do komnat.

No, i co z tego? - pomyślała buntowniczo Anna. Przecież zaprosił mnie jej... Jak to się mówi? Zaczęła się zastanawiać, przyszczypując policzki przed lustrem, żeby dodać im koloru. Potem włożyła kapelusz i opuściła komnatę. O, już wiem: księżę małżonek. Przecież tym chce zostać Dudley. Tym, a przy okazji władcą całej Anglii. Tymczasem Elżbieta twierdzi, że go kocha, ale traktuje jak lokaja. Który mężczyzna byłby zadowolony z takiego stanu rzeczy?

Zbiegła na dziedziniec, gdzie zebrała się cała świta, i dygnęła przed królową. Elżbieta zmarszczyła czoło.

- Lady Anna? Co ty tu robisz?

- To ja ją zaprosiłem - wtrącił ze swobodą Leicester. - Martwiło mnie, Wasza Wysokość, że nie ma dzisiaj żadnej damy w twoim otoczeniu.

- Rozumiem... - Królowa zmierzyła go wzrokiem. Tak Robin miał słabość do jej dam, a niektóre z nich traciły dla niego głowę ze szkodą dla obu stron, jednak ta panna ograniczyła się tylko do przyjmowania wyrazów podziwu, pomyślała Elżbieta. Jeśli to go zadowoli... Wzruszyła ramionami. - Zgoda, jedźmy już. Dopilnuj, żeby lady Latimar dostała odpowiedniego wierzchowca. - Tę ostatnią uwagę skierowała do jednego z kręcących się tam masztalerzy.

Ognista, jasna klacz w istocie okazała się jak najbardziej „odpowiednia”, mogła bowiem sprawić kłopot nawet doświadczonej amazonce. Anna skupiła się więc na tłumieniu energii tego stworzenia, które nieustannie próbowało podrywać przednie kopyta. Mimo to nie umknęła jej uwagi ani uroda dnia, ani mijane widoki.

Anna najbardziej ze wszystkich pór roku lubiła jesień, gdy z drzew spadały barwne liście, a w czystym, ostrym powietrzu unosił się zapach torfu i dymu.

Inni, na przykład jej matka, woleli wiosnę, bujną zieleń, pąki i kojarzącą się z nimi nadzieję, lecz Anna również bez tego żyła nadzieją. Zawsze miała poczucie, że już wkrótce czeka na nią coś zupełnie nowego i bardzo dobrego.

Do majątku Montereyów droga była niedługa. Gospodarz. John Monterey, przystojny mężczyzna w wieku sześćdziesięciu kilku lat, spiesźnie wyszedł im na powitanie. Zaraz za nim postępowali dwaj synowie, starszy Ralph i młodszy Thomas, który natychmiast wyłowił wzrokiem Annę i podszedł, by pomóc jej zsiąść z konia.

- Anno! - zawołał z zachwytem. - Nie miałem pojęcia, że będę miał przyjemność gościć cię dziś w naszym domu!

- Dziękuję, Tom - odrzekła, niespokojnie zerkając w stronę królowej. Czy wstąpią do dworu, żeby się nieco odświeżyć? Czy powinna wtedy wziąć płaszcz królowej i towarzyszyć jej do osobnej komnaty?

Jednak nie. Służba w liberii wyniosła na dwór rogowe dzbany z grzanyim winem, którym raczono się na dziedzińcu. Potem cała kompania przeszła przez pobliską brzezinę na otwarte pole.

Ze wszystkich sposobów polowania sokolnictwo podobało się Annie najmniej. Nie znosiła tych okrutnych ptaszydeł, które trzymano przykryte kapturami, póki polowanie się nie zaczęło, a potem nagle odsłaniano, by mogły wzbić się w niebo i wnet swymi przenikliwymi, złowrogimi oczami wyszukać młodą kuropatkę lub dziką kaczkę, na chwilę zawisnąć w powietrzu, a potem runąć na zdobycz i pochwyć ją w szpony.

Tresuje się je po to, by zabijały, pomyślała Anna z niesmakiem. Nie służą niczemu innemu, tylko śmierci. Z napięciem na twarzy i ściśniętym sercem stała w wilgotnej trawie, gdy tymczasem cała reszta towarzystwa znakomicie się bawiła.

Był to wyjątkowo udany dzień. Ptak Elżbiety, Kardynał, schwytał kilka dzikich kaczek, bażantów, a co najważniejsze - czapłę, zapewne lecącą ze swego gniazda nad Tamizą w poszukiwaniu żywności.

Królowej z zachwytu aż odmienił się głos. Wszyscy Tudorowie są okrutni, tak przynajmniej twierdził ojciec Anny. Ona sama miała teraz okazję obejrzeć pokaz okrucieństwa na małą, dopuszczalną skalę, ale wcale nie czuła podziwu.

Wreszcie towarzystwo ze swymi krwawymi łupami udało się z powrotem do dworu. Stało się to w bardzo odpowiedniej chwili. Wkrótce niebo zasnuło się chmurami, zerwał się wiatr i zaczął padać deszcz, a w oddali zagrzmiało.

- Zdaje mi się, że nie podobało ci się na polowaniu - odezwał się Tom do Anny, gdy usiedli przy winie i ciastkach niedaleko kominka w wielkiej sali.

— Masz rację - przyznała.

Gdy znaleźli się w domu, okazało się, że nie spoczywa na niej żaden obowiązek wobec królowej, bo bardzo sprawna służba Montereyów natychmiast zajęła się Elżbietą, w okamgnieniu spełniając jej życzenia. Królowa zajmowała honorowe miejsce i raczyła się teraz winem i słodkościami, otoczona przez dworzan. Gdyby wcześniej postawiła na swoim, nie byłoby w jej świecie ani jednej kobiety.

- Wiem jednak, że pod tym względem musi mi czegoś brakować - ciągnęła Anna - bo wszyscy inni uważają, że nie ma dobrej zabawy, jeśli czegoś nie zabito. Najbardziej złością mnie nierówne szanse - dodała ze smutnym uśmiechem. - Niedźwiedź przeciwko sforze psów, dzikie, leśne stworzenie przeciwko gończakom i uzbrojonym ludziom, ptak nie mający szans obrony przez ostrymi szponami... No cóż, chyba jestem przesadnie wrażliwa, prawda?

Przesadnie wrażliwa, pomyślał ciepło Tom. Nie, ty jesteś delikatna i tak urocza, że nie możesz ani na chwilę zapomnieć o swojej kobiecości.

Tom kochał się w Annie już od roku. Jej brat, George, należał do jego najbliższych przyjaciół i nie dalej jak przed sześcioma tygodniami Monterey podczas ślubu w Maiden Court kroczył w orszaku pana młodego. Harry i Bess zdawali się sprzyjać jego zalotom, lecz to wcale nie zwiększyło jego szans. Anna była jak błędny ogień widywany przez wieśniaków w mroźne noce: zawsze odrobinę poza zasięgiem. Nie ma sposobu, by nadać tej znajomości ziemskiego wymiaru i wydobyć od dziewczyny coś tak prozaicznego, jak obietnica małżeństwa. Tak uważał Tom. który oświadczał jej się cztery razy w ciągu ostatnich

dwunastu miesięcy. Teraz wreszcie miał ją na chwilę w swoim domu i był pewien następnych spotkań, jako że panna Latimar zamieszkała na dworze, liczył więc, że wreszcie uleczy się z tęsknoty, która dręczyła go od dłuższego czasu.

Anne niemal czytała w myślach Toma. Niby powinno jej schlebiać, że zarówno on, jak i wielu innych kawalerów, którzy się do niej zalecali, tak długo okazywało jej wierność, a jednak wcale nie czuła z tego powodu próżnej dumy. Żyła w przeświadczeniu, że jeśli do tej pory nie zawiązała się między nimi nic porozumienia, to nic już z tego nie będzie, i wszyscy inni zalotnicy również powinni to rozumieć.

Rozejrzała się po sali i dostrzegła eleganckie meble, mnóstwo sreber i wiele innych oznak dostatku. Powszechnie wiadano, że Tom Monterey ma bogatego ojca, a earl dawno już dał do zrozumienia, że jego syn w przyszłości odziedziczy znaczną część tego majątku.

„To jest doskonała partia” - oświadczył Harry, gdy Tom pierwszy raz wystąpił z oświadczyniami. Grzeczna córka natychmiast przyznała ojcu rację, po chwili jednak dodała, że nie na takiego kawalera czeka.

Teraz oczy jej zajaśniały na widok starszego z braci, Ralpha, prawowitego dziedzica tytułu i dworu, w którym obecnie się znajdowali. Przyjrzała mu się z dużym zaciekawieniem.

Twierdzono, że Ralph zawiódł rodzinę, jej jednak wydał się młodzieńcem, z którego można być dumnym. Z wyglądu bardzo przypominał swego przystojnego ojca, a ponieważ ostatnio królowa okazywała Ralphowi wiele łaskowości, nie mogło mu zbywać również na uroku.

- Jeszcze nie miałam okazji poznać twojego starszego brata - zwróciła się do Toma. - Może później przedstawiś nas sobie?

- Och... naturalnie. Chociaż w tej chwili Ralph jest w niełasce i dziwi mnie, że ojciec pozwolił mu dzisiaj pokazać się wśród gości. Widocznie wstawiła się za nim królowa, bo zawsze miała do niego słabość.

- Dlaczego jest w niełasce? - Anna przyzwalająco skinęła głową w odpowiedzi na gest Toma i ten natychmiast nalał jej do kielicha wyborne wino, chociaż wiedziała, że go nie wypije.

- Jest niepoprawnym graczem - wyjaśnił ze smutkiem Tom.

- Rodzina wysłała go, by załatwił ważną sprawę, między innymi miał przekazać dużą sumę kupcowi reprezentującemu mojego ojca. Po drodze jednak wdał się w kartograjstwo i pyk! pieniądze znikły przez jedną noc. - Tom skwitował tę opowieść pełną potępienia miną i przez moment wyglądał, jakby miał o dwadzieścia lat więcej.

- Jejku! - Anna uniosła brwi, ale pod nosem się uśmiechnęła. Miała słabość do

uroczych graczy, bo jej czarujący ojciec też był wyjątkowo niefrasobliwym hazardzistą, zanim znalazł szczęście w małżeństwie i dom, który pomógł mu się ustatkować.

Spojrzała na Ralpa z jeszcze większą uwagą, a ten, jakby to wyczuwając, odwrócił się i ich spojrzenia się skrzyżowały. Przeprosiwszy królową, Ralph podszedł do ognia, a Tom wstał, by przedstawić go Annie.

- Lady Anna Latimar! Jakże się cieszę, że w końcu mam okazję cię poznać, pani. Wiele o tobie słyszałem od mojego brata. - Tom ponownie usiadł, natomiast on nadal stał, opierając się ręką o gzyms kominka. - Dwa lata temu w Richmond poznałem twojego brata George'a, pani. Muszę powiedzieć, że wasze podobieństwo jest wprost uderzające.

- Bo jesteśmy bliźniakami, sir. Wprawdzie bliźnięta różnych płci rzadko są do siebie podobne, ale nas to nie dotyczy. - Anna uśmiechnęła się. - Obawiam się jednak, że na wyglądzie zewnętrznym się to kończy, bowiem to George jest mądrą częścią naszego rodzeństwa.

Dzięki Bogu, pomyślał Ralph. Bardzo nie lubił George'a Latimara, zarozumialca, który wiódł w Richmond nieprzyzwoicie moralne życie i w ten sposób niechlubnie wyróżniał się spośród dworzan.

Na płycie nad kominkiem w Abbey Hall wyryto znak herbowy Montereyów, czyli lisa i różę. Pierwszy z Henryków w rodzie Tudorów przyznał pradziadkowi Ralpa tytuł earla w dowód wdzięczności za darowaną chatę myśliwską. Ralph machinalnie przesunął palcami po spiczastych uszach zwierzęcia i płatkach róży, przyglądając się pannie skąpanej w migotliwym blasku ognia.

Urocza, pomyślał. Co za kształty, a jaki piękny uśmiech! Doprawdy szkoda, że Tom wypatrzył ją pierwszy.

Anna myślała równie pochlebnie. Tom był wysoki, miał jasną karnację i niebieskie oczy, ale przy bracie wydawał się wyblakłą kopia, Ralph bowiem zwracał uwagę świetlistymi włosami jasnoblond, ponadto przewyższał Toma, a jego niebieskie oczy miały odcień lodu, być może z powodu wyjątkowo jasnej skóry na policzkach.

Elżbieta przerwała tę chwilę wzajemnego oczarowania, podeszła bowiem do młodych. Tom powstał, a Ralph z szacunkiem się wyprostował.

- Lady Anno - powiedziała królowa surowo - earl łaskawie zaprosił mnie na nocleg. Może nie zauważyłaś, ale na dworze szaleje burza, więc nasz gospodarz nie chce, żebym naraziła się na przemoknięcie. Zechciej natychmiast wysłać wiadomość do Greenwich i polecić, żeby dostarczono mi wszystko, co może być potrzebne podczas tej nieoczekiwanej wizyty. Żadnej z dam dwora nie musisz wzywać. Jestem pewna, że twoja służba mnie

zadowolili.

To powiedziawszy, Elżbieta, która nienawidziła, gdy inna kobieta w jej obecności zwracała uwagę jakiegoś mężczyzny, a co dopiero dwóch, odwróciła się do niej plecami.

Dziewczyna wstała z niepewną miną.

- Nie martw się, Anno - powiedział życzliwym tonem Tom. - Jej Wysokość często tutaj nocuje. Załatwię przesłanie wiadomości do Greenwich, a tam służba dokładnie wie, co jest potrzebne. O co mam poprosić dla ciebie?

- Myślę, że twoja siostra będzie to wiedzieć najlepiej.

- To znaczy, że sprawa jest załatwiona. - Tom leciutko się uśmiechnął.

- Pójdę na górę i dopilnuję, by Jej Wysokości było wygodnie w sypialni. Gdzie.

Tom przywołał lokaja.

- Seton pokaże ci ten pokój, pani.

Anna ruszyła po schodach za sztywno wyprostowanym lokajem i bracia zostali sami przy kominku.

- Muszę przyznać, że podziwiam twój gust - odezwał się Ralph. - Czy udało ci się coś osiągnąć od czasu, gdy ostatnio o tym rozmawialiśmy?

- Nie. Annę tak samo trudno doprowadzić na linię startu, jak każdego z twoich koni wyścigowych, nie tracę jednak nadziei.

Ralph wbił wzrok w wino w kielichu. Lubił Toma. Bawili się razem w dzieciństwie i czasem kłócili, jak to malcy. Każdy z nich, jako szlachecki syn, w swoim czasie przeszedł drogę do rycerskiego stanu. Gdy zostali pasowani, zeszli się znowu i wtedy okazało się, że mają ze sobą niewiele wspólnego.

Obaj byli bardzo przystojni i mieli dużo pieniędzy, jednak Ralph, jak to ujął jego ojciec, zszedł na złą drogę, odkrył bowiem magię gry w karty i uroki kobiecych wdzięków. Tom oparł się tym pułapkom i pozostał przykładnym, angielskim młodzieńcem.

Ralph pamiętał jednak wspólnie spędzone dzieciństwo, dlatego żałował, że nie potrafi przekazać bratu choć ułamka nowo zdobytych doświadczeń. Wtedy mógłby powiedzieć wprost: zapomnij o niej, Tom, bo ona nie jest dla ciebie. Dobrze poznałem kobiety i z całą pewnością wiem, że lady Anna nie ma romantycznej natury.

A szkoda, pomyślał, bo uroda idzie u niej w parze z bogactwem. Ale stało się, Tom dokonał już wyboru, choć naturalnie jego uczucie jeszcze nie zostało odwzajemnione. Ralph był tego pewien, bowiem żadna dama nie przesłałaby mu w przeciwnym razie równie wymownego spojrzenia, jak uczyniła to panna Latimar.

Zdecydował się na kompromis.

- Jest jeszcze czas, Tom. Jak cię widzą jej rodzice? Słyszałem, że Harry i Bess Latimarowie mają niezwykle poglądy na wychowanie swoich dzieci.

- To prawda - przyznał. - Nigdy nie spotkałem rodziców dających dzieciom tyle swobody. George'owi pozwolono wybrać żonę z gminu i dlatego Judith zostanie kiedyś hrabiną, chociaż była piastunką jego młodszego brata.

Ralph zrobił zdziwioną minę.

- Naprawdę? W takim razie na ciebie powinni patrzeć z ulgą. - Roześmiał się i otoczył brata ramieniem. - Tak czy owak, dzisiejszy wieczór powinien być wesoły. Królowa jest poza pałacem i szuka rozrywki, więc postaramy się, żeby tu, w Abbey Hall, ją znalazła. Go ty na to, Tom? Nie przejmuj się już, musimy stworzyć wspólny front Montereyów.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tego wieczoru Anna położyła się do łóża odurzona miłością. Kochała jak szalona, nieodwołalnie i na zawsze. Dostała niewielką komnatę przylegającą do komnaty królowej. Gdy Elżbieta wreszcie dała jej wolne, dziewczyna wślizgnęła się pod kołdrę, zaciągnęła zasłony i zaczęła rozkoszować się ciemnością.

Ralph! Magiczne imię, magiczna osoba. „To na nią czekałem całe życie”, powiedział George o Judith, a teraz wreszcie i Anna mogła powiedzieć podobnie.

To jest miłość od pierwszego wejrzenia, zrozumiała to w chwili, gdy Ralph do niej podchodził, a za oknem siekł deszcz i szalała burza. W każdym razie podczas długiego posiłku, który rozpoczął się po zapadnięciu zmroku i trwał trzy godziny, wiedziała to już na pewno.

Królowa siedziała, naturalnie, u szczytu stołu, mając earla po prawej stronie i jego żonę po lewej. Annę posadzono w połowie stołu, a Tom dopilnował, żeby znaleźć się obok niej, ale Ralph siedział naprzeciwko, więc blask świecy odbijał się w jego włosach i sprawił, że niebieskie oczy lśniły.

Anna nie mogła oderwać od niego wzroku. Co dziwne, wydawał jej się jednocześnie znajomy i podniecająco nieznanym. Wiele zachowań Ralpha przywodziło jej na myśl ojca - choćby to, że obaj, słuchając z uwagą rozmowy, bawili się kolczykiem w uchu.

Za pierwszym razem, gdy Anna zauważyła ten gest, mimowolnie uśmiechnęła się do Ralpha, a on odpowiedział jej porozumiewawczym mrugnięciem. To też go łączy z moim ojcem, pomyślała z zachwytem i zaczęła doszukiwać się następnych podobieństw.

Znalazła ich sporo. Ralph nie nosił zarostu, chociaż niemal wszyscy jego rówieśnicy mieli brody. Anna nieraz słyszała, jak matka droczyła się z ojcem i namawiała go do rozwodu z brzytwą.

Podczas posiłku królowa często kierowała do Ralpha żartobliwe uwagi, ten jednak zachowywał się godnie i nie sprawiał wrażenia, jakby uważał to za powód do wynoszenia się nad innych. Harry Latimar również umiał okazywać szacunek, zachowując godność. Gdy posiłek dobiegł końca i biesiadnicy stanęli przy kominku, Anna znalazła się u boku Ralpha, przyciągał ją bowiem jak magnes.

Jej obecność przyjął bez komentarza, tylko zrobił dla niej miejsce w kręgu i dopilnował, by podano jej wino i włączono do rozmowy.

- Jak długo będziesz, pani, na dworze? - spytał później, gdy królowej wręczono lutnię, nakłaniając do śpiewu, a słuchacze wygodnie się rozsiedli.

- Tak długo, jak będzie sobie tego życzyła Jej Wysokość - odpowiedziała Anna. - Ma talent, prawda? - Elżbieta śpiewała popularne pieśni, a jej ciepły, nieco ochrypły głos zdominował całą salę. Była doprawdy zręczną wykonawczynią. - I nie waha się zabawiać swoich poddanych.

- Wszystkie kobiety uwielbiają się popisywać - powiedział bagatelizująco Ralph. - A ona jest tylko kobietą.

- To bardzo dziwna uwaga! - obruszyła się Anna. - Większość kobiet nie podołałaby takiej drodze, jaką ona przebyła w swym życiu. W każdym razie ja na pewno nie umiałabym tego zrobić.

- I dzięki Bogu, pani - stwierdził rozleniwionym tonem Ralph. - Gdyby wszystkie kobiety zapragnęły rządzić Anglią, to jak skończyłoby się to dla mężczyzn?

Anna zmarszczyła czoło, zaraz jednak wybuchnęła śmiechem.

- Och, naśmiewasz się ze mnie, panie! Jestem pewna, że podziwiasz ją tak samo jak ja.

- A ty ją podziwiasz, pani? Dlaczego? Założę się, że ona chętnie zamieniłaby się z tobą na miejsca, moja droga Anno. Bo co ona ma za życie? Wciąż toczy nużące debaty o sytuacji w Anglii i ma tłustych, nudnych doradców, którzy nieustannie ciągną ją za rękawy: Najjaśniejsza Pani musi to, musi tamto! A ona nigdy nie wie, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem, jak również nigdy nie wie, czy mężczyzna szuka jej towarzystwa dlatego, że jest kobietą, która ma na imię Elżbieta, czy też dlatego, że jest władczynią Anglii. Tymczasem ty, pani...

- Tymczasem ja...

Ralph pochylił się nad nią tak, że dziewczyna obawiała się, czy nie usłyszy bicia jej serca.

- Ty, pani, zawsze będziesz wiedziała, że mężczyźni, który ci towarzyszy, grozi wielkie niebezpieczeństwo zakochania się w nieprzeniknionej głębi tych ciemnych oczu, w czarnych jedwabistych włosach i w tym uroczym dołeczku... o, tutaj - dotknął jej twarzy palcem - gdy zaszczybisz go swoim uśmiechem.

Annie nagle zabrakło tchu, uciekła wzrokiem przed oczami Ralpha i zauważyła skupione na sobie spojrzenie Toma zajmującego miejsce po drugiej stronie kominka. Spłonęła rumieńcem. Ralph również zerknął na brata, a potem obojętnym tonem spytał:

- Powiedz mi, Anno, czy wiąże cię jakaś umowa z Tomem? Wiem, że cię kocha. Jeśli można, to chciałbym wiedzieć, czy odwzajemniasz jego uczucie.

- Nie odwzajemniam. - Zaczepnęła tchu. - Tom jest moim przyjacielem, ale nikim więcej. Dlaczego pytasz, panie?

To doprawdy urocza istota, pomyślał Ralph. Jak spontanicznie zareagowała na mój dotyk...

- Nie wiesz, Anno, dlaczego? Nie żartuj. To chyba łatwo zgadnąć.

Rozpromieniła się. On czuje podobnie jak ja! - pomyślała w uniesieniu. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Biedny, poczciwy Tom. Biedna Elżbieta, którą czekają długie lata pustki, przecież nawet nie może publicznie przyznać się do miłości. A ja jestem zakochana. Nareszcie!

Po występie Elżbiety przygotowano stoliki do gry w karty. Lord Monterey z niepokojem zerknął na starszego syna, ale tego wieczoru Ralph nie zamierzał grać o duże stawki, bowiem wszystkie jego myśli pochłaniała Anna Latimar. Podobnie jak ona miał wrażenie, że układ gwiazd w dniu ich spotkania jest absolutnie wyjątkowy.

Wybranka Tommy'ego - przypomniał mu głos sumienia. No, nie. Przecież Tom sam powiedział, że Anna nie znajduje w nim upodobania. A czyż panna Latimar nie powiedziała, że Tom jest jej przyjacielem i nikim więcej? To bardzo odpowiednia kobieta pod każdym względem, uznał Ralph. Nie dość, że urocza, to jeszcze bogata.

Ta ostatnia kwestia miała dla Ralpha Monterey a niesłychane znaczenie. Pieniądze, naturalnie, miał, ale tylko wtedy, gdy wydzierał mu je ojciec. Był starszym synem, więc po śmierci earla majątek przejdzie na jego własność, ale tymczasem ojciec mocno ścisnął sakwę i coraz trudniej było go skłonić do wydatków.

Ralphowi nie zbywało na niczym; za jego konie, stroje i klejnoty ojciec płacił bez zastrzeżeń, ale nie dawał mu już dużej gotówki. Za często pieniądze ulatniały się przy karcianym stoliku, znikwały w sali, gdzie walczyły koguty lub odpływały razem z kośćmi.

Ralph westchnął, bowiem życie bez hazardu wydawało mu się niewyobrażalnie nudne. Wiele czasu już minęło, odkąd ostatnio siedział przy stoliku i czuł dreszczyk emocji, uważał się bowiem za honorowego człowieka i nie chciał zaczynać gry, nie mając pieniędzy.

Jego ostatnia przygoda, z której ledwie ocalił skórę po tym, jak ojciec o wszystkim się dowiedział, była wyjątkowo niefortunna. Siadał do stolika pewien, że wygra. Miał za przeciwników sześciu bogatych kupców z Dover, samych amatorów w dyscyplinie, w której sam uważał się za mistrza. A jednak go ograli!

„Ostatni raz!” - grzmiał potem ojciec. „Posiedź teraz w domu, synu, naucz się trochę odpowiedzialności”. To wieczorne przyjęcie było pierwszą rozrywką, na jaką w tym roku pozwolono Ralphowi.

Przeniósł wzrok na ojca, który siedział z czujną miną i bacznie obserwował Elżbietę. Twardy z niego człowiek, pomyślał Ralph. Wszyscy Montereyowie są tacy, nawet młody

Tom - mimo swej prostolinijności; i wszyscy też chętni do wojaczki.

Lecz ja się wyłamałem, pomyślał znowu, na nic zdały się ich wysiłki.

Przed ośmioma laty earl wysłał swego starszego syna, by służył w wojsku na północy kraju pod komendą najbardziej flegmatycznego z dowódców Jej Wysokości, Hamiltona. Był to najgorszy okres w życiu Ralpa.

W garnizonie sławnym z tego, że szkolono tu wspaniałych oficerów, wysoki i sprawny chłopak powinien zabłysnąć, tymczasem okazał się wielkim rozczarowaniem. Po roku Jack Hamilton i Ralph zgodnie ustalili, że powinien wrócić do domu i spróbować innej kariery. Była to jedyna kwestia, w której się zgadzali. Ralph przysiągł sobie zresztą, że nie wybaczy Hamiltonowi raportu do earla, w którym wymienione zostały wszystkie słabe strony dziedzica.

- O czym myślisz z taką powagą, panie? - spytała Anna przekonana, że każda chwila, w której Ralph nie zwraca na nią wagi, jest stracona.

- Może uda mi się przekonać ojca, żeby zgodził się na mój powrót do służby w Greenwich - odrzekł bez wahania.

W duchu przekonywał się, że nie ma innego wyjścia. Dumął nad tą kwestią przez cały wieczór: oto pojawiła się odpowiednia kandydatka na żonę, która spełniałaby nawet wysokie wymagania ojca, chciał więc bez zwłoki wprawić w ruch matrymonialną maszynę. Postanowił porozmawiać z earlem jeszcze tego wieczoru. Wspomnieć o wzajemnym upodobaniu i wytłumaczyć mu, że w tej sytuacji głupio byłoby, gdyby Anna wróciła bez niego do królewskiego pałacu, gdzie wkrótce mógłby jej się oświadczyć inny, jeszcze bardziej zdecydowany dżentelmen.

W przeszłości John Monterey powtarzał kilka razy, że starszy syn powinien postarać się o żonę, która pomogłaby mu spoważnieć i byłaby dlań jak kotwica, a teraz Ralph chętnie zgodził się z ojcem. Zbliżały się jego dwudzieste szóste urodziny, najwyższy czas na stabilizację.

- Może ojciec pozwoli, żebym ci, pani, towarzyszył - dodał i przesłał Annie swój piękny uśmiech.

- Och, byłoby wspaniale. - Annie zapało dech w piersiach. i po co zamartwiała się przez ostatnią godzinę, że musi opuścić Ralpa?! - Czy i ja powinnam z nim porozmawiać?

- Po co? - zdziwił się, rozbawiony.

- Nie żartuj, Ralph - odrzekła przekornie. - Na pewno masz powód.

Roześmiał się, ale zaraz spoważniał i zatrzymał wzrok na Elżbiecie.

- Wszystko zależy teraz od Jej Wysokości. Rok temu mój ojciec zwrócił się do niej z

prośbą, by zwolniła mnie ze służby, i wtedy wyraziła zgodę. Skłonienie jej do podjęcia odwrotnej decyzji może okazać się teraz trudne.

- Nie sędzę. Królowa, jak zauważyłam, ma do ciebie wyraźną słabość, panie.

- Zauważyłaś to, pani? - powtórzył przekornie. - To wydaje mi się nieco zaborcze z twojej strony, najmilsza.

Anna spojrzała na niego karcąco.

- W mojej rodzinie - oznajmiła surowo - nie ma zwyczaju szafowania czułościami, jeśli nie płyną z serca.

- Zapewniam cię, pani, że ta płynęła z serca - odparł. W duchu jednak nie mógł się nadziwić. Córka Harry'ego Latimara zarzuciła mu nieszczerłość? Znawcy dwora Tudorów mieliby powody do śmiechu, jako że ojciec Anny przeszedł tam do legendy jako uwodziciel. Ralph był pewien, że w swoim czasie Harry prawił damom jeden pusty komplement za drugim.

Wiedział również, że żona Latimara, Bess, jest osobą niezwykle zasadniczą, może więc córka odziedziczyła tę cechę po niej? Zresztą nie miał nic przeciwko temu. Chciał, żeby jego narzeczona była skromna i czysta, jak przystoi przyszłej hrabinie. Póki co musiał jednak porozmawiać najpierw ze swoim bratem, a potem z ojcem.

Gdy damy wstały, by udać się na spoczynek, a dżentelmeni przeszli do salonu wypić jeszcze coś przed snem, Ralph położył rękę na ramieniu brata.

- Pozwól na chwilę, Tom. Wyjdźmy na dwór. Deszcz przestał padać, a ja muszę z tobą porozmawiać.

Wokoło Abbey Hall znajdowały się wypielęgnowane ogrody, bowiem rozebrane obecnie zabudowania klasztorne stały na olbrzymim terenie, który potem otoczono potężnym murem i wytyczono liczne alejki, żeby spożytkować cały budulec.

- Przyjemny wieczór - stwierdził Ralph, dotykając szmaragdowego kolczyka w uchu i z napięciem rozmyślając, jak najlepiej podejść do sprawy.

- Co chciałeś mi powiedzieć? - spytał Tom, opierając się o pień jednego z posępnych cedrów, stojących na straży dworu.

- Porozmawiajmy o Armie Latimar - odrzekł Ralph i zamilkł.

Po chwili milczenia Tom powiedział niepewnie:

- Dziś wieczorem widziałem, jak na siebie patrzycie. Bardzo mi się nie podoba, że nie potrafisz oprzeć się upodobaniom do podbojów i chcesz dodać do swojej długiej listy pannę, która nie jest mi obojętna.

- Źle to odczytujesz - powiedział uspokajająco Ralph. - Sam jednak wspomniałeś, że

Anna nic do ciebie nie czuje, a ona to potwierdziła, gdy z nią rozmawiałem. Przykro mi Tom, ale między sobą nie musimy niczego owijać w bawełnę.

Tom potarł gładką korę drzewa. Cedry są symbolem Libanu, a ten został stamtąd przywieziony do Anglii przez krzyżowca, przodka rodu. Tom wiedział, że brat ma rację, wolałby jednak nie usłyszeć tego, czego należało się spodziewać.

- Masz rację, ale na twoim miejscu nie osłabiałbym mojej pozycji jeszcze bardziej. Tego się nie robi przyjacielowi, a bratu tym bardziej. Skoro jednak już poruszyłeś ten temat, to określ jasno swoje zamiary. Wiesz, że ona nie jest panną lekkich obyczajów.

- Naturalnie, że o tym wiem! Tym razem mam jak najuczciwsze zamiary. Jestem jednak przekonany, że najpierw muszę rozmówić się z tobą.

W milczeniu rozważał słowa brata. Może rzeczywiście... Ralph nie jest kłamcą, ale za to jest absolutnie nieodpowiednim kandydatem na męża Anny. Tom, wbrew swej pozornej prostolinijności, odznaczał się dużą intuicją. Panna Latimar go nie kochała, no cóż, trudno, lecz mimo to uważał, że popełniłaby duży błąd, gdyby wybrała Ralpha.

- W jakim stopniu jej niewątpliwie dobre warunki materialne wpłynęły na twoje nagłe zainteresowanie? - spytał.

Ralph roześmiał się, aby ukryć zakłopotanie.

- Lubisz nazywać szpadel przyrządem do kopania w ziemi, co, Tom? No cóż, rozumiem cię. Z pewnością nie widziałbym w Annie kandydatki na żonę, gdyby nie była bogata i nie miała szans wzbogacić się jeszcze bardziej. Jej ojciec ma duży majątek, a Anna i jej brat są powiązani z obecną władczynią i z przyszłym władcą...

- Skąd to przekonanie? - Tom powątpiewał w słowa brata.

- Po prostu wiem - odrzekł Ralph nieco zawstydzony. - Pamiętasz, co się działo, gdy wróciłem do domu skompromitowany służbą w wojsku na północy? Przez dłuższy czas trzymałem się dworu Williama Cecila. Cecil był w tym czasie doradcą królowej Marii, a teraz pełni tę samą funkcję na dworze Elżbiety. Jako człowiek wprawny w pisaniu i mający swój rozum, zostałem przez Cecila zatrudniony przy sporządzaniu katalogu zobowiązań Korony. W dokumentach dołączonych do ostatniej woli króla Henryka, których postanowienia mieli uszanować wszyscy jego następcy, znalazł się również taki, który ustanawiał dożywocie dla dzieci Latimara, a przynajmniej dla tych dwojga, które były wówczas na świecie. - Zamyślił się na chwilę. - Henryk obdarzył je naprawdę wyjątkowym przywilejem! W razie gdyby zaciągnęły jakieś długi, Koroną miała je niezwłocznie spłacić, miano również okazać im wszelką pomoc w razie kłopotów. ... Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy to czytałem, Tom! Tak uprzywilejowane istoty nigdy dotąd nie chodziły po angielskiej ziemi!

- Nie wolno ci tego rozpowiadać! - krzyknął Tom. - Wprawdzie George, jak sądzę, nie miałby kłopotów, bo ma już swojego anioła stróża, lecz jego siostra... cóż, Anna zapewne nie opędziłaby się od zalotników, a wszyscy mieliby jak najniższe pobudki.

- Nigdy nikomu o tym nie powiem - obiecał Ralph - ale mnie wiedza o tym zapisie nie przeszkadza.

- Wierzę... - stwierdził ironicznie Tom.

- I jak, bracie? Uczciwie ci wszystko wyznałem. Co ty na to?

Tom spojrział w dał. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się skąpane w księżycowej poświacie żyzne pola. Gdyby obrócił głowę, zobaczyłby dom, w którym się urodził, cichy i spokojny... ale to wszystko miało w przyszłości należeć do Ralpha. Tak samo jak panna, która jemu, Tomowi, była droga.

- A co mam powiedzieć? Mogę tylko życzyć ci powodzenia.

Anna wróciła do pałacu Greenwich w towarzystwie Ralpha Montereya. Była to zupełnie inna podróż niż ta, którą odbywała niedawno pod opieką Jacka Hamiltona. Po drodze z Abbey Hall nie zdarzały się chwile niezręcznego milczenia ani utarczki słowne, bo przez cały czas panowała niezmacona harmonia. Anna wiedziała, że tę krótką jazdę zapamięta na całe życie.

Przy wejściu na wewnętrzny dziedziniec pałacu Ralph zeskoczył z konia i podał ramię Elżbiecie. Mimo irytacji Dudleya władczyni przyjęła pomoc Ralpha, a potem majestatycznym krokiem weszła do pałacu. Wtedy Ralph zwrócił się ku Annie i razem przekroczyli próg. W niewielkiej sieni przystanęli, patrząc sobie w oczy.

- Teraz długo będziemy razem pod tym dachem, najmilsza - szepnął.

- Wiem - odszepnęła Anna. - Jestem taka szczęśliwa, Ralph. Jeszcze żadna kobieta nie była taka szczęśliwa, jak ja w tej chwili.

- Najmilsza - powtórzył Ralph. - Och, czy wolno mi tak się do ciebie zwracać?

- Wolno. I teraz, i zawsze.

Ralph zawahał się. Poprzedniego wieczoru rozmawiał z ojcem o Annie i wprawdzie spotkał się z entuzjastyczną reakcją, jednak earl wolał zachować ostrożność. Dlatego napomniiał syna, by nie podejmował dalszych kroków, póki nie porozmawia z ojcem Anny.

Kiedyś John Monterey służył razem z Harrym Latimarem na dworze Henryka VIII. Potem Latimar przestał się obracać w kręgach dworskich, ostatnio jednak obecna władczyni uhonorowała go tytułem earla.

John Monterey uważał, że droga do tego małżeństwa powinna odpowiadać wszelkim wymogom etykiety. Zgodził się, by Ralph udał się do Greenwich i spędził pewien czas na

dworze w pobliżu panny, pouczył jednak syna, by spokojnie czekał, aż obie rodziny ustalą wszystkie szczegóły. Ponieważ należało się liczyć z osobistym zainteresowaniem królowej, nie wolno niepotrzebnie się spieszyć.

Ralph rozważał jeszcze ojcowskie nakazy, gdy na wąskich, stromych schodach biegnących spiralnie za kwaterami dla służby, rozległ się odgłos energicznych kroków. Przy kuchennym wejściu ukazał się Jack Hamilton, skłonił głowę.

- Lady Anno, witam znowu w Greenwich.

- Och... dziękuję, Jack. Czy znasz, panie, Ralpha Monterey'a?

- Znam. Jak się masz, Ralph.

- Całkiem dobrze, Jack. Nieczęsto widzimy cię na dworze.

- Jestem tutaj tylko przejazdem. Mam eskortować Jej Wysokość do Ravensglass.

- Słyszałem o tej wyprawie. Co ostatnio słyhać na pograniczu? Wciąż trzymasz w szachu zbuntowanych Szkotów? - Powiedział to tonem człowieka zaprawionego w bojach, przy okazji, niestety, przypomniały mu się jednak miesiące spędzone w Ravensglass, tej zatęchłej dziurze! Przebywał tam w dość niespokojnych czasach, gdy zamek nieustannie ostrzeliwano...

Jack uśmiechnął się posępnie. Pamiętał dobrze Ralpha z tamtych trudnych dni. Miły chłopak, ale na pewno nie wojownik. Jackowi ulżyło, gdy się go pozbył.

- Słyszałem, że na szkockim tronie zasiadła kuzynka Jej Wysokości - odezwał się Ralph. - Ciekawe, na jak długo?

- Mnie to nie ciekawi - odparł z powagą Jack - bo politykę zostawiam politykom. Miłego wieczoru i do zobaczenia. - Skłonił się i sprężystym krokiem wyszedł na dwór, gdzie zapadał już zmierzch.

Ralph parsknął śmiechem.

- Cóż za krępujący człowiek. I pomyśleć, pani, że musiałaś znosić jego towarzystwo przez całą drogę z Kew. Współczuję. - Ten człowiek jest naprawdę nie do zniesienia, dodał w myślach, i przypomniały mu się wszystkie reprimendy, które usłyszał od Jacka w Ravensglass.

Anna nieznacznie zmarszczyła czoło.

- Wcale nie było źle... Zapewne wiesz, że on i mój ojciec żyją w wielkiej przyjaźni.

- Wiem. - Ralph strzepnął wyimaginowany pyłek z rękawa. - Chociaż zupełnie nie rozumiem, co mają ze sobą wspólnego. Jack jest marnym kompanem, a o ile wiem, z twoim ojcem, pani, jest wręcz przeciwnie.

Znów odzyskała pogodę ducha. Nic dziwnego, że zakochała się w tym mężczyźnie,

który stoi u jej boku. Ralph ma tyle taktu, że komplementuje nawet drugiego kochanego przez nią mężczyznę.

Przez następne dziesięć dni Anna śniła na jawie. Królowa, jak zwykle przed dłuższą podróżą, w której oczywiście będą jej towarzyszyć tylko wybrani dworzanie i dwórki, spędzała ze swą świtą dużo czasu i wesoła się na wszelkie możliwe sposoby. Północne regiony kraju, które zamierzała objąć inspekcją, zawsze były zacofane, panowały tam skrupulatnie przestrzegane surowe zasady moralne, a tamtejsi ludzie mieli zupełnie inną mentalność niż jej otoczenie w stolicy. Dlatego więc w Greenwich co wieczór weselono się: a to maskarada, a to sztuka teatralna, przedstawienie mimów albo kuglarzy. Anna oglądała to wszystko z dużym upodobaniem.

Ralph nieustannie otaczał ją uwagą, toteż z każdym dniem kochała go coraz bardziej. Towarzyszki z komnaty zazdrościły jej: Ralph Monterey, którego niejedna panna próbowała usidlić bez skutku, nagle okazał względy damie, która spędziła na dworze zaledwie dwa tygodnie! Anna bardzo zyskała w oczach dworek i stała się pożądaną uczestniczką najrozmaitszych towarzyskich przedsięwzięć.

Jednakże audiencja u królowej w ostatnim dniu września położyła raptowny kres tej idylli.

Panna Latimar sądziła, że została wezwana na rozmowę o ostatnim balu maskowym przed wyjazdem Elżbiety, najbardziej wyrafinowanym z dotychczasowych. Weszła więc pewnym krokiem do komnaty i dygnęła. W tych sprawach były z królową niemal na przyjaznej stopie, jako że Anna miała bujną wyobraźnię i mnóstwo pomysłów, a Elżbieta zawsze musiała przyćmiewać wszystkich zebranych.

Królowa odłożyła książkę.

- Łady Anno, usiądź, proszę.

Anna rozpostarła swe jedwabne spódnice, uśmiechając się przy tym niepewnie, bo choć w rozmowach o strojach i przebraniach królowa traktowała ją prawie jak równą sobie, to jednak dworka przez cały czas pozostawała dworką. Rada, jaką w swoim czasie udzieliła córce Bess, okazała się uzasadniona i jak najbardziej słuszna. Królowa rzeczywiście zawsze miała rację i nikt nie ważył jej się przeciwstawić w żadnej sprawie.

Elżbieta przeszła wzrokiem swoją damę. Przez ostatni miesiąc Anna się zmieniała, nabrała ogłady i lśniła coraz jaśniejszym blaskiem. To Elżbiecie nie przeszkadzało, nawet chciała, by jej damy były pięknie wystrojone i nadały za modą.

Mimo to Anna wybijała się spośród wszystkich dworek. Elżbieta, słusznie odgadując powód tego stanu, uznała, że panna jest zakochana w Ralphie Montereyu. Jednak nawet to nie

wzbudziło jej sprzeciwu. Uważała, że każda dworka powinna czasem mieć w swoim życiu jakiegoś Ralpa. W tym wypadku zresztą niczym to nie groziło, bowiem Bess Latimar bez wątpienia odpowiednio wychowała córkę.

Lecz ta para postępowała zbyt ostentacyjnie! Niczego jeszcze nie ustalono, a było nie do pomyślenia, by dwie rodziny, które cieszyły się królewskimi łaskami, połączyły swoje dzieci bez zgody władczyni. Mimo to Elżbieta potraktowała Annę łagodnie.

- Od dłuższego czasu zastanawiam się, które damy wziąć z sobą do Ravensglass - odezwała się. - To niełatwa decyzja.

Panna Latimar przybrała zatroskaną minę, tak jak należało. Sprawa istotnie była kłopotliwa. Służba w najbliższym otoczeniu Jej Wysokości zawsze stanowiła kość niezgody wśród dam. Najdostojniejsze z nich już od dawna rozprawiały o zbliżającej się podróży królowej. Rozmowy te nie dotyczyły w zasadzie kręgu Anny, żadna z jej towarzyszek nie liczyła bowiem na taki zaszczyt, lecz i one zastanawiały się, na kogo padnie wybór, a nawet czyniły zakłady. Anna czekała z niepokojem na następne słowa królowej.

- Jak powiedziałam - ciągnęła Elżbieta - decyzja była niełatwa, ale w końcu ją podjęłam. Lord Hamilton wyraził życzenie, by ze względów bezpieczeństwa ograniczyć liczebność świty, a ja nie zamierzam podważać opinii człowieka tak kompetentnego w swoim rzemiośle. Wezmę więc z sobą jedynie cztery damy: lady Warwick, lady Dacre, lady Fitzroy i... ciebie.

Anna przeżyła wielkie zaskoczenie. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że coś takiego może się stać! Przecież pozostawała w służbie królowej zaledwie kilka tygodni. Nie miała aż takich ambicji. Poza tym wcale nie chciała tam jechać! Miałaby opuścić Greenwich i swoje szczęście?! Opuścić Ralpa?! Nie, niemożliwe!

- Wasza Wysokość - odparła cicho. - Obawiam się, że nie mam prawa do takiego wyróżnienia. Są inne damy, bardziej związane z Waszą Wysokością... bardziej zasłużone.

- Nie masz prawa? - Elżbieta uniosła swe wypielęgnowane brwi. - To ja decyduję, moja panno, kto ma jakie prawa w tym miejscu i w każdym innym należącym do mojego królestwa. Czy mam rozumieć, że nie chcesz towarzyszyć swojej królowej?

Anna splonęła rumieńcem.

- Nie, Wasza Wysokość - powiedziała cicho. - Wasza Wysokość wie, że tak nie jest. Tak samo jak każda z nas, poszłabym za Waszą Wysokością na koniec świata, gdyby taki był rozkaz. - Popatrzyła na królową swymi ciemnoniebieskimi oczami.

Wielkie nieba! - pomyślała rozbawiona Elżbieta - spojrzenie Latimarów! Było ono wspólne „dla wszystkich dzieci Harry'ego, nie wyłączając małego Hala, który patrzył w taki

właśnie sposób, gdy odbierał burę za niegrzeczne zachowanie podczas wesela George'a. Do urodziwej twarzy Anny to spojrzenie jakoś jednak nie pasowało. Elżbieta poczuła zakłopotanie, ale to ona była tutaj królową, więc powiedziała:

- Odejdź już i pozwól nam się spokojnie przygotować.

Anna wstała, dygnęła i z godnością wyszła z komnaty. Poczucie godności opuściło ją jednak już na korytarzu, gdzie tupnęła nogą ze złości, gdy zaś przekroczyła próg swojej sypialni, zdarła z głowy czepek i cisnęła go na łóżko ze słowami:

- Mam jechać z Jej Wysokością na północ! - Na to dramatyczne oświadczenie pozostałe panny, przygotowujące się do maskarady, zareagowały chórem.

- Ty? - spytała niedowierzająco Jane. - Ale masz szczęście!

- Dlaczego właśnie ty? - wtórowała jej Frances.

- To jest wsadzanie kija w mrowisko - oświadczyła Clare. - Słyszałam, że właśnie z tego powodu lady Wilson i lady Simons omal sobie oczu nie wydrapały. - Wszystkie spojrzały na Annę z nieukrywanym zdumieniem.

Schyliła się po swój czepek. Jej matka uszyła go z marszczonego jedwabiu i ozdobiła granatami. Oczami wyobraźni Anna zobaczyła Bess przy pracy. To ją otrzeźwiło. Nie mogła zawieść matki.

- Nie mam pojęcia, dlaczego Jej Wysokość tak mnie wyróżniła, i muszę przyznać, że śmiertelnie się boję tego wyjazdu.

To wyznanie poruszyło czułą strunę w duszach jej towarzyszek. Droga Anna, pomyślały, ona naprawdę nie zdaje sobie sprawy z tego, jaki zaszczyt ją spotkał.

Przez następną godzinę wszystkie zgodnie doglądały pakowania kufra Anny, która dostała wiele szcudrych ofert pożyczenia pięknych rzeczy i jeszcze więcej dobrych rad, lecz ona cały czas myślała jednak tylko o jednym: co z Ralphem?

Ich znajomość rozwijała się wręcz cudownie, więc jednak wciąż jeszcze nie została dość mocno zadzierzgnięta. Ralph ani razu nie wspomniał, choćby nawet pośrednio, że myśli o małżeństwie, a teraz nagle zdarzył się ten wyjazd i musiała zostawić go w Greenwich, gdzie tyle rzeczy... i tyle kobiet... mogło zająć jego uwagę. Anna bowiem, nie wiedząc dlaczego, ani trochę nie była pewna swojego ukochanego.

Dlaczego jeszcze jej się nie oświadczył? Jego ojciec, earl, patrzył na nią w Abbey Hall z wielką przychylnością, a matka nawet z entuzjazmem. Prawdę mówiąc, hrabina tak bardzo bała się, że Ralph skupi swoją uwagę na jakiejś niewłaściwej pannie, do takich bowiem czuł pociąg, że Anna Latimar wydała jej się odpowiedzią na jej żarliwe modlitwy.

To jest wymarzony związek dla wszystkich zainteresowanych, dlatego więc Ralph

mi się nie oświadcza? - smutno pomyślała Anna. Tego wieczoru zeszła do wielkiej sali jako Ondyna, zdecydowana skłonić Ralpa do wyraźnej deklaracji.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bal maskowy był wyjątkowo wspaniały, nawet jak na wymogi królewskiego otoczenia. Anna rozejrzała się dookoła z wielkim ukontentowaniem. Tyle pięknych i bogatych kostiumów, taka obfitość egzotycznych potraw i wina. Dworzanie, wiedząc, że królowa wkrótce ich opuszcza, starali się pokazać, na co ich stać.

Anna natychmiast wypatrzyła Ralpa, pochwyciła jego spojrzenie i poczekała przy drzwiach, aż do niej podejdzie. Jack Hamilton zjawił się jednak pierwszy i skłonił przed nią głowę. Jako jedyny nie założył żadnego przebrania, przyszedł w swym zwyczajnym, czarnym ubraniu.

- Lady Anno, słyszałem, że masz z nami jechać jutro rano.

- To prawda - potwierdziła, nie spuszczając oczu z Ralpa, który kończył tańczyć.

- Będzie dla mnie wielką przyjemnością podjąć cię, pani, w moim domu - powiedział oschle Jack.

Panna Latimar odwróciła się zniecierpliwiona.

- To królowa nalegała, żebym jej towarzyszyła, Jack. Muszę jednak powiedzieć, że dla mnie to żadna przyjemność.

Twarz Hamiltona ani trochę się nie zmieniła.

- Czyżby? Mimo wszystko jestem zaszczycony, że córka przyjaciela wstąpi w moje progi. - Jego śmiertelna powaga wywarła na niej duże wrażenie i zrobiło jej się wstyd, że wygłosiła niestosowny komentarz.

- Dziękuję - powiedziała zaczerwieniona. - Wysoko sobie cenię te słowa, panie. Czy chciałbyś się czegoś napić?

- Może nawet chciałbym, ale widzę, pani, że zbliża się inny dżentelmen, który rości sobie do ciebie prawa. - Ralph był wystrojony w karmazyn, a rękawy wamsu miał rozcięte i podszyte szkarłatem. Jack zmierzył go wzrokiem. - Co przedstawiasz, milordzie?

- Ogień - odrzekł Ralph z uśmiechem. - Widzę, że jesteś wodą, moja droga Anno, obawiam się więc, że nie stanowimy dobrze dobranej pary. Mimo to możemy spróbować zatańczyć.

Jack popatrzył za nimi. Od samego początku ich znajomości nie lubił Anny, i wciąż się w tym utwierdzał. No cóż, swoim zachowaniem w ostatnich tygodniach dziewczyna tylko potwierdziła opinię, że jest płytką istotą, jakich wiele w tej sali, jednak związki z rodziną Latimarów kazały mu, choćby z daleka, czuwać nad Anną. I oto miał problem, bowiem Ralph Monterey jest mężczyzną, przed którym należałoby przestrzec wszystkie damy, choćby nawet

tak puste i płache, jak córka Harry'ego.

Ralph nie podobał mu się ani w Ravensglass, ani teraz. Nie wydawało się, by od tamtej pory dojrzał. Hamilton nie myślał tu nawet o niechęci Montereya do wojskowego życia, które nie każdemu musi odpowiadać, ale podczas swego krótkiego pobytu w Ravensglass ten młody arystokrata postawił wszystko na głowie. Ciągłe stwarzał kłopoty, o wszystko się wyklócał, a gdy było mu tak wygodnie, kłamał jak z nut.

Zhańbił się też uwiedzeniem jednej z niewinnych wieśniaczek. To naturalnie często się zdarzało, ale panna nie należała do takich, jakie zwykle wybierają młodzi i bogaci panicze, żeby się zabawić. To była naprawdę przyzwoita dziewczyna, którą do hańby doprowadziły zaloty zepsutego młodzieńca.

Jack słyszał, że Ralph polował teraz na panny dużo wyżej postawione i bogate. Obawiał się jednak, że Anna Latimar nie byłaby uczciwie zdobytym łupem.

W każdym razie Jack poważnie się zastanawiał, jak przysłużyć się swemu dawnemu panu i doszedł do wniosku, że mogłaby w tym pomóc królowa, gdyby przynajmniej na miesiąc zabrała pannę Latimar sprzed nosa Ralpha, bo należało się spodziewać, że po powrocie Anny do Greenwich ten niepoprawny uwodziciel okaże się zajęty już zupełnie inną panną.

Mimo to, przyglądając się Ralphowi i Annie w tańcu, Jack musiał przyznać, że fizycznie para jest dobrze dobrana. Oboje wyróżniali się w tłumie, mieli bowiem wiele wdzięku i lekkości, choć u Ralpha cechy te wydawały się owocem żmudnej nauki. Jack przez dłuższy czas przyglądał się, jak ze śmiechem dopasowują swoje kroki, i nawet nie przyszło mu do głowy, że pierwszy raz od dziesięciu lat zwrócił uwagę na kobietę.

Następnego ranka Anna jak zwykle miała kłopoty ze wstaniem. Na szczęście towarzyszki z komnaty pilnowały jej interesów i wyciągnęły z łoża dostatecznie wcześnie, by zdążyła się odziać, coś przekąsić i dołączyć do królewskiej świty ruszającej do Northumberlandu. Dziewczyna wykonywała wszystkie polecenia towarzyszek jak zaczarowana. Jej ostatnia myśl przed zaśnięciem dotyczyła Ralpha, a pierwsza myśl po przebudzeniu była identyczna!

Wieczorem Ralph najpierw bardzo się zdziwił, gdy dowiedział się o jej wyjeździe, a potem wpadł w prawdziwą złość, co Annę bardzo zadowoliło.

- Nie chcę tam jechać - powiedziała mu po jakimś czasie. - Jak będę mogła żyć cały miesiąc z dala od ciebie?

- Czas szybko minie - odrzekł machinalnie.

Jego nieuwaga zatroskała Annę, widziała przecież, w jaki sposób przyglądają się

Ralphowi inne kobiety. Ile czasu minie, nim jedna z nich spróbuje go pocieszyć? Bardzo potrzebowała od Ralpa jakiejś deklaracji, która dodałaby jej pewności.

- Czy naprawdę będziesz za mną tęsknił? - spytała, starając się, by zabrzmiało to beztrasko, lecz oczy i tak ją zdradziły.

Późnym wieczorem wyszli na dwór. Było zimno i Ralpa przeniknął dotkliwy chłód. Nie lubił przebywać na świeżym powietrzu, nie należał też do ludzi czynu. Ćwiczenia w sztuce walki i hartowanie ciała, którym musiał się poddawać w czasie, gdy aspirował do stanu rycerskiego, nużyły go i irytowały. Przetrwał to wszystko jedynie dzięki wrodzonej gibkości.

Po pasowaniu na rycerza prawie całkowicie zerwał z tak zwanymi męskimi zajęciami i ograniczył je do polowań, zwłaszcza z sokołami, jak przystało dżentelmenowi jego stanu; znacznie atrakcyjniejsza i mniej niebezpieczna wydawała mu się jednak gra w karty.

- Wiesz, że tak będzie, Anno - odrzekł. - Chcę powiedzieć ci coś, do czego nie mam prawa, ale...

- Mów, mów — przynagliła go i spojrzała nań szeroko otwartymi oczami.

Ujął ją za rękę i skłonił głowę. Przez chwilę upajał się gładkością i bielą jej skóry. Na palcu wskazującym Anna miała pierścionek z wielkim akwamarynem otoczonym brylancikami.

- Zdaje mi się - zaczął wolno - że oboje myślimy podobnie o uczuciu, które nas łączy. Przed wyjazdem z domu rozmawiałem z ojcem. Nie ma on nic przeciwko temu, żebyśmy związali się na zawsze, ale w takich sprawach muszą porozumieć się obie rodziny. Nie mogę więc zrobić teraz tego, co chciałbym, to znaczy poprosić cię, byś została moją żoną, ponieważ najpierw muszę zwrócić się do twojego ojca.

- Och, on się zgodzi! - zapewniła go Anna. - Jak mógłby odmówić?

- Bardzo mnie cieszy, że tak uważasz, ale mimo wszystko...

Puścił jej rękę i objął Annę. Do tej pory nie wykorzystał jej oczywistego zauroczenia, by spróbować jakichkolwiek poufałości i teraz pieszcząc ją i całując, z pewnym zdziwieniem stwierdził, że jest zupełną nowicjuską. Po chwili przerwał pocałunki.

- Och, Ralph! - Annie kręciło się w głowie. - Czy musimy czekać na taką formalność ze ślubowaniem sobie wierności? Zrobiłabym wszystko, o co mnie poprosisz, absolutnie wszystko.

Formalność? Ralph był za młody, by znać lorda Harry'ego jako dworzanina, stare plotki jednak czasem ożywały, wiedział więc, że Latimara znano z napadów wściekłości, zgubnych dla tego, na kim przyszło mu je wyładować.

W dobrze więc pojętym własnym interesie powiedział:

- Trzeba to zrobić tak jak należy, najmilsza. W tajemnicy powiem ci jednak, że

kocham cię i chcę, żebyś została moją żoną, lecz do niczego nie dojdzie, póki nie porozmawiam z twoim ojcem.

- Tyle wystarczy! - odparła Anna. Zdjęła pierścień i wcisnęła go w dłoń Ralphowi. - To jedyny klejnot, jaki mam przy sobie dziś wieczorem, wydawał mi się odpowiedni do tej sukni, ale tobie dałabym wszystko, kochany. Niech więc będzie twój.

- Wymiana pierścieni? - Ralph uśmiechnął się. - Zgoda. Zamyślił się nad swoimi, z rubinami i granatami, i zsunął z palca dość pośledni granat otoczony perełkami. Chciał się popisać szerszym gestem, ale rubiny można korzystnie sprzedać. Kto wie, kiedy fortuna przy stoliku się odwróci i trzeba będzie szukać szybko dostępnej gotówki?

Lecz Annę i to zachwycało. Włożyła pierścień na palec wskazujący prawej ręki i przykryła go drugą dłonią. Nie posiadała się ze szczęścia. Mogła nazajutrz wyjechać ze świadomością, że ten czarujący, wprost idealny pod każdym względem mężczyzna, będzie w końcu jej.

To, co powiedział o jej ojcu, również było jak najbardziej stosowne, a Anna nie spodziewała się trudności z tej strony. Nie widziała żadnego powodu. Ralph mógł mieć wątpliwości, ale tylko dlatego że wychował się w sferze, gdzie małżeństwa zwyczajowo układały rodziny.

Ona nie czuła się skrępowana tym obyczajem i pokochałaby Ralpa bez względu na jego pozycję. Zresztą jej ojciec miał takie same poglądy, bo przecież wybrał sobie pannę, którą kochał, a nie bogatą dziedziczkę. Poza tym nie pozwoliliby synowi poślubić piastunki do dzieci, skoro ten mógł mieć każdą szlachecką córkę.

Anna święcie wierzyła, że jej ojciec tylko spojrzy na Ralpa i będzie wiedział, dlaczego go wybrała. I naturalnie zaaprobuje jej wybór. Następnym słowem Ralpa słuchała już w stanie rozmarzonego oszołomienia.

- W czasie gdy cię tu nie będzie - ciągnął Ralph z namysłem - pojedę do Maiden Court i przedstawię naszą sprawę earlowi. Jeśli zyskam przychylną odpowiedź...

- To przyjedziesz do Ravensglass! - Anna spojrzała na niego lśniącymi oczami.

Zaskoczyła tym Ralpa. Jazda do Kew o tej porze roku nie stanowiła problemu, ale wyprawa w dżicz północy, gdy rok się ma ku końcowi? Co gorsza, akurat do Ravensglass, w to straszne miejsce! Dawno już przysiągł sobie, że nigdy tam nie wróci, cóż jednak teraz mógł powiedzieć? Ucałował obie ręce Anny i decyzja zapadła.

Gdy królewska świta zmierzająca na północ znajdowała się już blisko celu, nagle bardzo się ochłodziło. Do tej pory podróż była bardzo wygodna, wrota wszystkich szlacheckich dworów stały przed Elżbietą Tudor otworem, a gdy czasem zdarzał się nocleg w

zajeździe, też nikt z tego powodu nie cierpiał.

Mimo wszystko był już jednak październik, w Anglii miesiąc zupełnie nieprzewidywalny. Anna, w pelerynie podbitej futrem, grubo ubrana pod spodem, nie narzekała na zimno, lecz z niepokojem spoglądała w niebo. Od rana, mimo słonecznych interludiów, napływało coraz więcej chmur, które wyglądały coraz groźniej i w końcu przybrały purpurowy odcień, jaki rzadko widywało się przed grudniem.

Chyba nie zacznie padać śnieg? - zaniepokoiła się. Przypomniała sobie słowa Jacka Hamiltona, który opowiadał jej, że niekiedy podczas zimy jego dom odcięty jest od świata. Pamiętała jednak i takie październiki, gdy można było jeszcze wylegiwać się na zalanych słońcem trawnikach w Maiden Court! Poza tym znawcy tematu twierdzili, że tego roku jesień zapowiada się wyjątkowo pogodna, inaczej Elżbieta nie zaplanowałyby tej inspekcji.

Los nie może okazać się tak okrutny, by akurat teraz zsyłać na mnie wybryk natury... Anna, wzorem wszystkich zakochanych, myślała bardzo egoistycznie.

Od początku podróży pochłaniały ją wyłącznie osobiste sprawy. Wyobrażała sobie, jak Ralph na złamanie karku pędzi do Maiden Court, i jak rodzice będą zachwyceni powodem jego wizyty: ich niezdecydowana córka nareszcie wybrała sobie kandydata na męża! A potem jej narzeczony zawróci konia i pocałuje prosto do Ravensglass, by stawić się tam wkrótce po przybyciu królowej.

Miło jest tak myśleć, lecz jeśli pogoda sprzysięgnie się przeciwko nim, to w jaki sposób Ralph dotrze galopem do zamku Ravensglass ze swoją wspaniałą nowiną?

Naturalnie Anna wiedziała, że nawet najgłębszy śnieg nie zmieni tego, co miało nastąpić, ale chciała jak najszybciej usłyszeć relację i dowiedzieć się, że jej przyszłość jest zabezpieczona.

Ludzie muszą znosić wiele trudnych sytuacji i przeciwności losu, a oczekiwanie w niepewności jest spośród nich zdecydowanie najgorsze, a panna Latimar była zupełnie nieprzygotowana do radzenia sobie z taką sytuacją. W miarę jak królewski orszak majestatycznie posuwał się ku północnej granicy, kulila ramiona w obronie przed zimnem i rozmyślała o tym, że jest najniezwyklejszą istotą na świecie.

Późnym popołudniem przemierzyli ponury, mroczny las. Przez ponad kilometr posuwali się wąską dróżką, na której mieścił się tylko jeden jeździec, aż wreszcie znowu wyjechali na otwartą przestrzeń, po której hulał przenikliwy wiatr. Przemknęli przez nieurodzajne pustkowia i po godzinie ujrzeli szarą piramidę stworzoną z kamieni, czyli zamek Ravensglass.

Anna powściągnęła klacz i mocniej zawiązała troki kaptura peleryny. Jeszcze nigdy

nie widziała tak jałowej ziemi. Nie rosły tu drzewa, które łagodziłyby surowość krajobrazu, i na tle ciemnoszarego nieba wznosiła się jedynie ponura twierdza.

W dość dużym oddaleniu, na lewo od twierdzy, stało na równinie kilka chat, ale poza tym nic nie zakłócało wrażenia beznadziejnej monotonii. To jest najbardziej opuszczony zakątek świata, pomyślała Anna.

Jack Hamilton, przewodzący wraz z królową ich małej kawalkadzie, obejrzał się za siebie. Instynkt żołnierza podpowiedział mu, że ktoś odstał od grupy. Wykonał niecierpliwy gest i czterech dzentelmenów jadących dotąd z tyłu, otoczyło królową pierścieniem. Jack zawrócił konia, i podjechał kłusem do Anny.

- Co się stało? - spytał groźnie.

- Nic. Poprawiałam kaptur i przyglądałam się zamkowi. To bardzo odludne miejsce.

- Dlatego Szkoci zawsze uważali, że wygodnie jest się tędy wdzierać na angielską ziemię. - Powściągnął konia i stanął w strzemionach. W zamku opuszczono most zwodzony i grupa jeźdźców pędziła im na spotkanie. Jechali na lekkich wierzchowcach, hodowanych specjalnie tak, by były szybkie. Błyskawicznie pokonali spadzisty stok, wymachując ramionami nad głową i głośno pokrzykując. Wreszcie rozciągnęli się w długą linię i zsiadli z koni, trzymając czapki w dłoniach.

- Moi ludzie - powiedział Jack. - Dołączmy do reszty. - Podjechał do królowej, by przyrzeć się, jak żołnierze w zielono - złotych barwach Hamiltonów tworzą dwa półkola i przyklękają z gołymi głowami przed władczynią, która właśnie przekraczała most w Ravensglass. Anna, która jechała nieco dalej, zwróciła uwagę, że mężczyźni są młodzi i wyglądają na twarde wojowników, jednak, gdy ich mijała, surowy wzrok żołnierzy nabierał łagodniejszego i pełnego ciekawości wyrazu.

Zamek Ravensglass powstał za czasów Edwarda I.*

Budowniczy zrezygnował z donżonu** w centralnym punkcie, natomiast wykorzystali ukształtowanie terenu, do którego dostosowali bieg murów i usytuowanie baszt. Mury tworzyły dwa pierścienie. Zewnętrzny był nieco niższy i wzmocniony sześcioma wieżami, natomiast wewnętrzny, gdzie grubość muru sięgała czterech i pół metra, opatrzony został czterema basztami na rogach i dwiema strażnicami przy bramach.

W obu strażnicach znajdowały się wolne komnaty, dostatecznie luksusowe, by odpowiadały królewskim potrzebom. Na obszernym dziedzińcu wybudowano koszary, stajnie oraz inne potrzebne budynki. Nad główną bramą znajdował się zniszczony wiatrami

**Edward I Plantagenet (1239 - 1307) panował w Anglii od 1272 roku (przyp. red.).

***Donżon - baszta zamkowa zawierająca skarbiec i stanowiąca ostatni punkt oporu (przyp. red.).

kamienny gzyms, na którym wryto dewizę Hamiltonów. Przejeżdżając tamtędy, Anna podniosła głowę i przeczytała: „Czyste myśli, szczerzy język, wiara w Chrystusa Króla”.

W oczekiwaniu na królową wylegli na dziedziniec wszyscy mieszkańcy. Elżbieta, która na życzenie Hamiltona po drodze unikała bratania się z wieśniakami, wykorzystwała tę chwilę najlepiej, jak tylko mogła. Podobnie jak jej ojciec, świetnie umiała się porozumieć z Anglikami wszystkich stanów i do każdego umiała przemówić.

Panna Latimar siedziała na koniu i czekała, a tymczasem Jej Wysokość odpowiadała na wszystkie nieśmiało pozdrowienia. Jak zawsze przy takich okazjach Robert Dudley został odsunięty na bok, przekazał więc swego konia pod opiekę stajennego, podszedł do Anny i pomógł jej stanąć na ziemi.

- Ponura forteca - stwierdził, przyglądając się obsadzonym murom i broni zgromadzonej między wieżami.

- Tak. - Anna jeszcze nigdy nie była w takim zamczysku. Po reformacji większość zamków na południu popadła w ruinę lub została przebudowana na dwory. W Anglii cieszyła się teraz uznaniem lżejsza architektura, mniej podkreślająca obronną funkcję budowli. - Lord Jack jest bardzo młody jak na dowódcę takiej fortecy.

- Młody, ale bardzo sprawny. Muszę powiedzieć, że na wszystkich postojach, które mieliśmy po drodze, osobiście pełnił straż przy królowej. - Niespodziewanie spytał: - Co sądzisz, pani, o Hamiltonie?

Anna wzruszyła ramionami.

- Prawie go nie znam, ale wydaje mi się dość... poważny. Dudley roześmiał się.

- A ty, pani, wolisz mniej zafrasowanych dżentelmenów, na przykład Monterey, prawda? Oj, szybko się na tym sparzysz, moja droga.

- Po co to mówisz, panie? - spytała, czując, jak na twarzy wykwita jej rumieniec.

- Ot tak, bez specjalnego powodu. - Spojrzał z zainteresowaniem na swoją rozmówczynię. Podobała mu się, ale nie próbował się do niej zalecać, bo uznał, że jest tak cnotliwa, jak jej matka, ale ta znajomość z Montereyem poddawała to w wątpliwość.

- Ralph i ja... dobrze się rozumiemy - powiedziała z wahaniem. Naturalnie nie powinna czynić takiego wyznania, lecz z miny Roberta wyczytała, że i tak jej nie uwierzył. To doprawdy przykre, iż nie może powiedzieć po prostu: ten mężczyzna jest mój, a ja jestem jego!

- Skoro tak utrzymujesz, pani. - Dudley ofiarował jej ramię. Tymczasem Elżbieta dokończyła inspekcji i właśnie przechodziła przez masywne, dębowe wrota budynku wzniesionego nad bramą.

- Kocham go! - wypaliła Anna zniecierpliwiona. - I on mnie kocha.

- Czy to możliwe? - Dudley znów spojrzał na nią z politowaniem.

- Wymieniliśmy pierścienie i jesteśmy po słowie - ciągnęła naiwnie dziewczyna. - Ralph ma porozmawiać z moim ojcem, może nawet już to zrobił. Ojciec na pewno odniesie się do naszego związku przychylnie, nie sądzisz, panie? Polubi Ralpa. Czasem zdaje mi się, że zakochałam się w nim dlatego, że jest bardzo podobny do mojego ojca. Jak myślisz, panie?

Robert wprowadził ją do zamku. Stan, który zazwyczaj panował we wszystkich miejscach wizytowanych przez królową, można by nazwać zorganizowanym chaosem, i Ravensglass nie stanowiło w tym względzie wyjątku. Dudley zerknął na kręcone kamienne schody, po których szła Elżbieta w otoczeniu dam i służby. W tłoku wszyscy się potracali.

- Miło jest tak myśleć, Anno - odrzekł.

- Tak myślę, bo tak jest! - Również ona spojrzała w górę. Uznała, że wszystko w tym zamczysku jest szare, twarde i nie do skruszenia. Powinna dołączyć do orszaku towarzyszącego Elżbiecie do komnaty, lecz jeszcze przez chwilę z tym zwlekała.

- A ty tak nie sądzisz, panie?

Robert popadł w zadumę. Gzy uważał, że Ralph Monterey jest podobny do Harry'ego Latimara? Nie - brzmiała natychmiastowa odpowiedź. Obaj byli hazardzistami i mieli słabość do kobiet, co oczywiście ich łączyło, ale charakterami różnili się bardzo.

Przed wszystkim Harry miał za sobą trudną, niepewną młodość, czego oznaki Robert natychmiast rozpoznawał, bo sam je w sobie nosił, natomiast Ralphowi na niczym nigdy nie zbywało, można by nawet powiedzieć, że go rozpieszczono. Poza tym Ralph jest ambitnym oportunistą, co Robert mógł powiedzieć również o sobie, natomiast Harry Latimar to człowiek ulepiony z zupełnie innej gliny.

- Nie odpowiesz mi, panie? - przynagliła go Anna. Robert się uśmiechnął.

- Nie jestem znawcą mężczyzn, tylko kobiet. — Pochylił się i szepnął: - Spytaj mnie, pani, o siebie, a wyrażę swoje zdanie.

- Żartujesz ze mnie, mój lordzie - odparła nadęsaną - a ja mówię bardzo poważnie! - Odwróciła się i ruszyła śladem Elżbiety.

Jeśli ktokolwiek z dworzan spodziewał się nudzić w Ravensglass, to w ciągu następnych kilku dni przeżył miłe zaskoczenie. Zamek był garnizonem wojskowym, ale stacjonowało w nim mnóstwo młodych ludzi, którzy zawsze byli chętni do zabawy, jeśli tylko im się na to pozwoliło.

Naturalnie wieczorne rozrywki nie odznaczały się szczególnym wyrafinowaniem, bo wytrawni gracze rzadko zaglądali w tak odległe od cywilizacji rejony, co zaś do kobiet, to

nawet mężatkom nie pozwalano na towarzyszenie mężom - żołnierzom, za wyjątkiem żon starszych oficerów, którzy byli w służbie już od dawna.

Jednak żołnierze organizowali dla królowej wspaniałe pokazy walki konnej, zapasów oraz szermierki, i bardzo się cieszyli, jeśli na życzenie Jej Wysokości mogli się popisać. Brak młodych kobiet nie był okolicznością, która martwiłaby Elżbietę.

Oprócz Anny przyjechały z nią wyłącznie matrony, które wchodziły już w wiek średni. Choć poczciwe i oddane swojej młodej pani, jednak nie stanowiły atrakcyjnego towarzystwa dla młodych mężczyzn i z pewnością nie pobudzały męskiej wyobraźni. Co innego Anna, lecz zachowywała ona taki dystans i tak bardzo żyła własnymi myślami, że nawet Elżbieta zwróciła na to uwagę. Któregoś ranka, w tydzień po przyjeździe do Ravensglass, królowa wezwała pannę Latimar na rozmowę.

- Czy wolno mi spytać, co cię trapi, lady Anno? Dziewczyna drgnęła zaskoczona.

- Słucham, Wasza Wysokość?

Elżbieta właśnie się ubrała i wyprosiła służbę z pokoju.

- Doprawdy, moja panno, oczekuję z twojej strony trochę uwagi.

Anna spłonęła rumieńcem.

- Jeśli nie wywiązałam się z jakiegoś obowiązku, Wasza Wysokość, to proszę o wybaczenie, chciałabym jednak wiedzieć, w czym zawiniłam.

- Phi! Nie mówię o obowiązku wobec mnie, tylko o twoim postępowaniu wobec naszych gospodarzy. Skromność i powściągliwość mnie cieszy, ale ty zachowujesz się prawie obraźliwie.

- Obrażliwie? - Anna była oburzona. Jeszcze nigdy nikt jej nie wytknął złych manier, a co dopiero obraźliwego zachowania, W jaki sposób mogła wobec kogoś zachować się grubiańsko? W czym okazała się gorsza od lady Fitzroy i lady Dacre, które bardzo wyniośle traktowały wszystkich mężczyzn, próbujących nawiązać z nimi rozmowę.

- No, może „obraźliwie” to zbyt mocne słowo - ustąpiła Elżbieta - ale zrozum, moja droga: ci mężczyźni są z dała od swoich domów i dzielnie strzegą naszej granicy, żebyśmy mogli spokojnie spać. Widok urodziwej panny jest w ich życiu dużym wydarzeniem, mogłabyś więc, jak sądzę, być dla nich odrobinę bardziej życzliwa.

- Nie myślałam o tym w taki sposób - powiedziała Anna, marszcząc czoło - ale naturalnie Wasza Wysokość ma rację, tak jak zwykle. - Nie było to pochlebstwo, a uśmiech przesłany Elżbiecie przez skarconą młodą damę wyglądał na całkiem szczerzy.

- No, dobrze. - Elżbieta stała przy wąskim oknie z widokiem na zamkowy teren otoczony potężnymi murami i gestem przyzywała swą dworkę. - Widziałas to, lady Anno?

Dziewczyna uchyliła okno i spojrzała za wskazującym palcem królowej.

- Co takiego? Ach, krypty Hamiltonów. - Owszem, widziała budowlę z szarego piaskowca, a w sporym oddaleniu drugą, mniejszą, ze znacznie jaśniejszego marmuru.

- To pomnik ku czci jego zmarłej żony - wyjaśniła Elżbieta. - Uważam, że jest bardzo piękny.

Anna wbiła wzrok w koralowy, prostopadłościenny postument, na którym stała zgrabna statua. Rzeczywiście, była piękna i nawet przy zachmurzonym niebie wydawała się odbijać światło. Zmrużywszy oczy, dziewczyna przekonała się, że pomnik wyobraża kobietę ubraną w zwiewne szaty, mającą odwróconą twarz i błagalnie wyciągnięte ramiona.

- Dziwny człowiek z tego Jacka Hamiltona - głośno rozmyślała królowa. - Bezpośredni, by nie powiedzieć szorstki w kontaktach z innymi ludźmi, ale zdaje się, że wbrew pozorom ma duszę romantyka. Musi tak być, chyba się ze mną zgodzisz, moja panno, bo skoro mężczyzna czci zmarłą żonę taką świętynią i do tego pisze wiersz...

- Wiersz?

- Tak. Kiedy oglądałam zamek, widziałam z bliska pomnik Marie Claire. Na cokole są wyryte bardzo poruszające wersy.

- Co mówią? - Anna bardzo się tym przejęła, jednak Elżbieta zmarszczyła czoło.

- Och, dokładnie nie pamiętam. - Temat przestał już ją zajmować. Prawdę mówiąc, Elżbieta Tudor tak naprawdę nie interesowała się niczym, co nie dotyczyło spraw królestwa albo jej osobistego życia. - Wracając do rzeczy, chciałam ci coś powiedzieć, lady Anno. Jutro wieczorem do Ravensglass przyjedzie lord Thaxton i niewielkie towarzystwo z jego majątku. Lord Thaxton zamieszkuje najbliższy dwór szlachecki w promieniu wielu dziesiątek kilometrów. Chce skorzystać z okazji i odnowić swój hołd lenny. O ile wiem, lord Hamilton zamierza zorganizować stosowną uroczystość, oczekuję więc, że również moja świta udzieli mu pomocy pod każdym względem. Mam nadzieję, moja panno, że tym razem zejdziesz z piedestału i nie przyniesiesz mi wstydu.

- Na pewno nie - obiecała Anna. - Bardzo mnie zresztą interesuje, jak załoga twierdzy chce nas zabawić.

Elżbieta odwzajemniła uśmiech swojej damy.

- Ja też jestem ciekawa. Po lordzie Jacku wszystkiego można się spodziewać.

Następnego ranka, zgodnie z zaleceniami królowej, Anna poświęciła toalecie szczególnie dużo uwagi. Włożyła suknię, w której jeszcze nie występowała, uszytą z grubego aksamitu. Pełna spódnica wierzchnia miała rozcięcie, dzięki czemu widać było jedwabną spódnicę w kolorze, którego Anna również jeszcze tu nie nosiła, czyli jaskrawoszkarałym.

Dziewczynie bardzo spodobał się ten materiał, więc jej matka bez namysłu kazała coś z niego uszyć, jednak próba sukni przed ojcem nie wypadła dobrze. Anna widziała, że nowy strój mu się nie podoba, i dlatego długo pozostał w garderobie. Teraz jednak panował dotkliwy chłód, więc graby materiał wydawał się odpowiedni.

Tego wieczoru, oglądając swoje odbicie w lustrze, Anna zrozumiała jednak, skąd się wziął niepochlebny osąd ojca, sama teraz uznała, że suknia jest zdecydowanie zbyt śmiała. Było już jednak za późno na zmiany. Z dziedzińca dobiegało parskanie koni, a Elżbieta w towarzystwie dam opuszczała królewską komnatę. Dziewczyna ostatni raz spojrzała w lustro i pospieszyła, by do nich dołączyć.

Anna z królową zastanawiały się, w jaki sposób można zorganizować przyjęcie w Ravensglass, ale okazało się, że jednak jest to możliwe. Wprawdzie najbliższe miasto znajdowało się tak daleko, że nie wchodziło w grę, by ściągnąć dodatkową służbę i grajków, ale wśród załogi znaleziono takich, którzy potrafili na ten wieczór zamienić żołnierski strój na liberię, a wszystkich młodzieńców z dobrych domów zatrudniono przy grze na instrumentach i śpiewie.

Ze spiżarni wyjęto więcej zapasów niż zwykle, ale zachowano granice rozsądku. Żołnierze w Ravensglass musieli przetrwać zimę, a Jack, który potrafił odczytać znaki dawane przez przyrodę, był zdania, że mrozy przyjdą wcześniej. Jedzenie, choć proste, bardzo smacznie przyrządzono i elegancko podano, a słodkościami, w których tak gustowała Elżbieta, Jack trafił w dziesiątkę.

Jeden z jeńców wziętych wiosną okazał się Francuzem. Nie było w tym nic niezwykłego, bo wielu żołnierzy tej nacji zaciągało się u Szkotów jako najemnicy. Ten akurat, imieniem Villeau, pracował kiedyś jako kuchmistrz na szlacheckim dworze we Francji. Wprawdzie potem poszukał sobie bardziej lukratywnego zajęcia, nie zapomniał jednak swoich umiejętności i tego wieczoru przygotował smakołyki, które doskonale odpowiadały upodobaniom królowej Anglii.

Najefektowniejsze jego dzieło wniesiono pod koniec uczty. Anna, zajmująca miejsce obok gospodarza, który posadził przy królowej gości z sąsiedztwa, spojrzała zdumiona na wielką koronę z waty cukrowej. Na złotych cukrowych nitkach zwisały klejnoty z suszonych owoców. Gdy Elżbieta przyjrzała się już temu dziełu, dostała jego pierwszą porcję, potem zaś paż zaczął rozdzielać resztę pomiędzy biesiadników.

- Dziękuję, nie - powiedziała Anna. - Podziwiam, ale nie wezmę - dodała. Paż zaoferował delikatny specjał Jackowi.

- Ja też dziękuję. - Hamilton wykonał energiczny gest, którym odsunął poczęstunek od

siebie.

- Nie lubisz słodczy, panie? - zainteresowała się Anna. Od początku posiłku nie zamienili ani jednego słowa i pannę Latimar bawił rozmową drugi sąsiad, który jednak przed chwilą przeprosił ją i przeniósł się na podwyższenie dla tańczących, by przejąć rolę lutnisty.

- Nie.

- Moja matka twierdzi, że nadmiar cukru szkodzi zębom - dodała, gdy okazało się, że Jack poprzestał na tym jednym słowie.

- Czyżby? Osobiście nie widzę związku - odparł bagatelizująco.

Anna zaznaczyła, że ludzie unikający słodczy zwykle zachowywali zdrowe uzębienie nawet w starszym wieku. Zresztą Jack również miał piękne zęby, białe i równe, bez wątplenia też postarał się, by tego wieczoru wyglądać elegancko. Jak zwykle nosił czerń, ale aksamit wamsu był bardzo wysokiej jakości, a przy tym zdobiony klejnotami, podobnie jak jedwabne pantofle.

Włosów nie musiał zakręcać i modnie układać, bo miał je krótko przystrzyżone. Nie nosił też biżuterii, z wyjątkiem złotego kolczyka i pierścienia, które już znała.

Znów zapadło między nimi długie milczenie. Przerwała je wreszcie Anna.

- Widzę, panie, że ugościłaś Elżbietę po królewsku. Jej Wysokość wydaje się wspaniale bawić.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, pani. - Po chwili dodał zadumany tonem: - To bardzo rozsądna kobieta. Ma nadzwyczajne rozumienie spraw wojskowych jak na swoją płęć, a przy tym jest twarda. Pokazywałem jej dzisiaj wysunięte posterunki, ale pech chciał, że spostrzegła nas banda maruderów. Z uwagi na nikłość naszych sił, musieliśmy szukać kryjówki, a Jej Wysokość wykazała się zarówno wielkim spokojem, jak i umiejętnością konnej jazdy.

- Nic o tym nie słyszałam! - wykrzyknęła zdumiona Anna.

- Naturalnie. Jestem pewien, że byłaś, pani, zajęta kręceniem włosów w swojej komnacie i szykowałaś się do wieczornej uczyty.

- Włosy kręcą mi się same - odparła urażona i wściekła, że mówił do niej w ten sposób i obrzucał lekceważącym spojrzeniem.

- Czyżby, pani? A więc masz szczęście.

Anna odłożyła nóż i otarła usta. Doprawdy, trudno prowadzić cywilizowaną rozmowę z tym gburem!

- Gdybym wiedziała, mój lordzie, że królowa, pod twoją pieczęcią udając się na przejażdżkę, znajdzie się w niebezpieczeństwie, stanowczo bym nalegała, by jej towarzyszyć.

- Nic jej nie groziło - odparł Jack. - Zastanawia mnie jednak, co byś, pani, zrobiła. Zaatakowała wroga ostrym językiem?

Anna aż podskoczyła ze złości, lecz Jack schwycił ją za nadgarstek.

- Usiądź, pani. Nikt nie może odejść od stołu, póki Jej Wysokość nie da znaku.

Anna posłusznie usiadła.

- Wiem o tym - mruknęła - ale nie podoba mi się, że uważasz mnie, panie, za głupią gęś, która myśli tylko o swojej toalecie! A ta uwaga na temat mojego języka to nedorzeczność. Dobrze wiesz, panie, że jeśli sytuacja tego wymaga, umiem dyskutować również na poważne tematy.

- Nie zauważyłem tego dziś wieczorem - odrzekł z ironią Jack. - Młody Chantry też chyba nie. - Will Chantry był sąsiadem Anny, który poszedł grać na lutni.

- Jej Wysokość poleciła mi być... uprzejmą dla młodych mężczyzn, którzy służą pod twoją komendą, panie. Twierdzi, że potrzebują trochę uwagi ze strony panien, więc starałam się spełnić jej życzenie.

- Z takim zapalem, że ten nieopierzony głupiec, który teraz stroi lutnię, zastanawia się, jak poprosić earla o twoją rękę, pani.

- Ależ nasza rozmowa nie dała mu do tego żadnych podstaw! - obruszyła się Anna. - Rozmawialiśmy o jego domu w Kencie. Opowiedział mi o swojej matce, siostrach i swojej narzeczonej, którą zamierza poślubić następcy wiosny, gdy zakończy służbę w Ravensglass.

Jack odłożył sztucce. Nadal nie rozumiał, dlaczego taką przyjemność sprawia mu prowokowanie tej panny. Wiedział tylko, że Anna bardzo go drażni.

Podczas pobytu królewskiej świty w Ravensglass widywał ją do tej pory rzadko i dopiero tego wieczoru znalazła się tuż przy nim w pięknej, szkarłatnej sukni, która przyciągała wzrok wszystkich mężczyzn w sali. Jack nie słyszał, o czym rozmawiała z Chantrym, ale kątem oka widział, jakie miny robił ten młokos. Może jednak Chantry niewłaściwie odczytał tę sytuację?

- Przykro mi, jeśli cię uraziłem, pani - powiedział nieco zakłopotany. - Nie pierwszy raz mi przykro, jednak dowódca, który ma pod komendą tylu młodych ludzi, musi się troszczyć o stan ich umysłów.

- Możesz być o to spokojny, panie, bo przekułeś ich wszystkich na swoją modłę. Myślą tylko o obowiązku i... śmierci.

- Dlaczego to mówisz, pani, w dodatku takim tonem, jakbyś mnie oskarżała?

- Mój lordzie, myślę, że jesteś wyzuty z wszelkich ludzkich uczuć - powiedziała ze złością, - Jeśli jednak traktować Willa Chantry'ego jako przykład, to twój podwładni, chwalić

Boga, są inni, a jednak żaden z tych młodych ludzi nie potrafi ani na chwilę zapomnieć o swoim obowiązku. Jesteś, panie, znany z żelaznej dyscypliny.

- To nie jest francuska szkoła tańca, tylko garnizon na wciąż płonących rubieżach!

Rozwścieczona dziewczyna nie zważała już na maniery. — Ci chłopcy są tylko chłopcami, którzy potrzebują nie bata, lecz troski i zrozumienia, a także rozrywek. Zimny i ponury komendant oczywiście tego nie rozumie, lecz nawet Jej Wysokość, która ma na głowie całe państwo, dostrzegła ten problem.

- Nie znam myśli Najjaśniejszej Pani - odparł kwaśno Jack - lecz nie uwierzę, że skrytykowała to, co robię w tym odległym zakątku królestwa, by zapewnić bezpieczeństwo jej poddanym.

- Królowa nie neguje twoich, panie, wojskowych cnót, tylko zwróciła mi uwagę, że każdy mężczyzna potrzebuje w życiu trochę ciepła. Dziś wieczorem staram się zadośćuczynić jej życzeniu i nie chciałabym, żebyś ty, mój lordzie, krytykował to, co ja robię.

- Jeśli możesz, pani, zapomnieć na chwilę o sporze, jaki prowadzimy, to ci coś powiem. Naturalnie wiem, że wszyscy ci młodzi mężczyźni pragną, jak to nazwałaś, ciepła, bo to naturalna potrzeba każdego z nas, jednak ta okolica jest nieustającym polem bitwy i dlatego właśnie takie uczucia są nie na miejscu. Z tej przyczyny stałem się twardym dowódcą. Czy nadal sądzisz, że młody człowiek chciałby ruszyć na wojnę, gdzie być może czeka go kalectwo lub - śmierć, gdyby miał w głowie romanse?

Te słowa nią wstrząsnęły. Starła się tego nie okazać, lecz mimo woli szerzej otworzyła oczy, bowiem w głosie Jacka usłyszała zrozumienie i współczucie. Mimo to nie mogła pozwolić, by jego było na wierzchu.

- Tutaj wcale tak to nie wygląda.

- Masz rację, lady Anno, chronią nas bowiem grube mury i strach naszych wrogów, którzy niejedną raz poczuli naszą siłę. Lecz niebezpieczeństwo czai się nieustannie i wróg tylko czeka na okazję, by nas zniszczyć, i dlatego chciałbym, żeby każdy z tych chłopaków, którzy trafiają pod moją opiekę, przykładał się do ćwiczeń i, co ważniejsze, pozostał przy życiu, gdy znajdzie się w prawdziwej bitwie.

- Rozumiem - powiedziała i nagle się uśmiechnęła. Właśnie taki uśmiech mąci w głowie mężczyznom, pobudza ich wyobraźnię i pragnienia, pomyślał Jack. Gdyby miał dwadzieścia lat, pewnie reagowałby tak samo jak jego podwładni, ale teraz po prostu znów się zirytował.

- Jestem przekonany, że nic nie rozumiesz, pani - odparł szorstko.

Uśmiech Anny stopniał, choć przed chwilą z wielką uwagą słuchała Jacka, który

wydał jej się prawie ludzki.

- Nie podoba ci się, panie, nic z tego, co mówię lub robię, prawda? - Postawiła to pytanie, zanim pomyślała o jego celu. A jednak... pamiętała, z jaką pasją Jack mówił o swoich żołnierzach, jak ożywiły się wtedy jego oczy.

Nagle przyszło jej do głowy, że matka lub narzeczona, która oddaje syna lub kochanka pod komendę takiego dowódcy, nie trafia najgorzej. Nawet jej wystarczyło spędzić niecały dzień w Ravensglass, by przekonać się, że cała załoga uwielbia komendanta.

To dziwny i trudny człowiek, co do tego panowała zgodna opinia. Wielu żołnierzy nieraz zostało zruganych lub nawet doświadczyło ciężkiej ręki lorda Hamiltona, a jednak wszyscy mieli absolutną pewność, że komendant będzie ich wspierał zarówno w bitwie, jak w każdym życiowym kłopotcie.

Posiłek dobiegł końca, zanim Jack zdążył jej odpowiedzieć. Królowa wstała od stołu, w ślad za nią uczynili to wszyscy obecni. Jack skłonił się przed Anną.

- Proszę mi wybaczyć, moje miejsce jest teraz przy Jej Wysokości.

Poszła za nim naburmuszona. Jack jest taki irytujący, pomyślała kwaśno. Nieraz już wyciągała do niego rękę na zgodę, więc powinien się zorientować w jej przyjaznych zamiarach, on jednak wolał tego nie zauważać i, co gorsza, nieustannie niweczył jej wysiłki agresywnymi uwagami.

W jasno oświetlonej sali, przy dźwiękach muzyki, Anna tańczyła z uśmiechem na twarzy i starała się sprostać wielkim ideałom, o których rozmawiała najpierw z królową, a potem z posępnym gospodarzem twierdzy. O północy udała się na spoczynek i prawie natychmiast zasnęła.

Ocknęła się w absolutnej ciszy. Przewróciła się na drugi bok na wąskim łóżku i zerknęła ku grubym zasłonom. Zanim jeszcze znalazła się przy oknie, już wiedziała, co zobaczy po rozchyleniu draperii, dobrze bowiem znała ten dziwny, wyciszony nastrój towarzyszący dużym opadom śniegu. I rzeczywiście, gdy wyjrzała na zewnątrz, wszystko okrywał biały puch. Jak teraz Ralph tu dotrze? - pomyślała natychmiast.

Dojazd do tego miejsca, gdzie diabeł mówi dobranoc, był trudny nawet w lecie, jesienią drogi stawały się błotniste i pełne pułapek, a zimą nikt nawet nie próbował ich przebyć. Niestety, Ralph nie przyjedzie, uznała Anna.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mimo przygnębienia spowodowanego świadomością, że długo jeszcze nie ujrzy narzeczonego, Anna poczuła dziwną radość, z uśmiechem pomyślała bowiem o zażartych bitwach na śnieżki, jakie toczyła w dzieciństwie z bratem oraz innymi dziećmi w Maiden Court. Poza tym białe czapy na murach i wieżach, które widziała z okna, wyglądały przepięknie. Chciała jak najszybciej wyjść na dwór i popatrzeć na Ravensglass, błyskawicznie więc umyła się i ubrała.

Wielką salę dokładnie już wysprzątało po wieczornej uczcie i zabawie. Anna otworzyła drzwi i stanęła na dziedzińcu. Od strony koszar dobiegły ją męskie głosy i szcęk stali, co oznaczało, że batalion rozpoczynał kolejny zwykły dzień. Anna postanowiła obejrzeć kryptę, więc ciasniej otuliła się peleryną i okryła głowę kapturem podbitym futrem.

Rodzinny grobowiec Hamiltonów znajdował się w załomie muru. Anna nie zabawiła przy nim długo, lecz prawie od razu ruszyła do pomnika żony Jacka. Podniosła głowę i spojrzała na statwę, a potem zeszła po pięciu stopniach pod ziemię.

Stanęła jak wryta. W Maiden Court jak nakazywał zwyczaj, zmarłych chowano w solidnych trumnach, skrytych pod kamiennym sarkofagiem, tu jednak było inaczej. Żona Jacka Hamiltona, przykryta cienką warstwą ołowiu i przez to zatrzymana na wieki w swym doczesnym kształcie, spoczywała na granitowej płycie, wystawiona na wzrok tych, którzy odwiedzali kryptę.

Anna próbowała sobie przypomnieć, jak nazywa się taka technika, ale miała pestkę w głowie. Kołatała się tylko jedna myśl: to jest nieprzyzwoite! Zmarłemu należy zapewnić prawo do godnego obrócenia się w proch, bo taka jest naturalna kolej rzeczy.

Gdy podeszła bliżej, ujrzała smukłe ciało i rysy twarzy zmarłej kobiety, zaraz jednak obróciła się spłoszona, usłyszała bowiem kroki na schodach.

Jack Hamilton zszedł ostrożnie po śliskich schodach, trzymając przed sobą bukiet z trzmieliny. On również drgnął, zaskoczony, gdy przekonał się, że nie jest sam. Przelotnie zerknął na Annę, a potem podszedł i położył bukiet u stóp żony. W tym makabrycznym miejscu żywa czerwień jagód i zieleń liści wydały się Annie wprost okropne.

Jeden z paziów z Ravensglass wspomniał jej, że w cieplejszych porach roku z najbliższej farmy przywożone są do zamku świeże kwiaty, lecz w tym jałowym okresie Jack mógł przynieść tylko naręcze gałęzi dzikiego, zimowego krzewu, którego zarośla obrastały mury twierdzy.

Oparł dłonie na płycie, na której spoczywała Marie Claire, i skłonił głowę. Anna

odwróciła się, zażenowana. Szybko pokonała stopnie prowadzące na powierzchnię, ale na ostatnim się poślizgnęła i straciła równowagę. Na szczęście mocne ramiona podtrzymały ją od tyłu i uchroniły przed upadkiem. Zaraz potem Jack puścił ją. Stała ze wzrokiem wbitym w figurę.

- Piękny jest, panie, twój hołd złożony Marie Claire.

- Tak myślę - odparł ponuro - ale żaden pomnik nie jest w stanie wyrazić tego, co czuję.

Anna pochyliła się i odgarnęła śnieg, który przykrył dolną część cokołu. Jej oczom ukazała się kwadratowa tablica z wyrytym poetyckim napisem, o którym wspomniała Elżbieta. W milczeniu przeczytała:

„Nie umarła dziewczeczka, lecz śpi... Na wielu grobach widnieją te słowa, i zawsze tak samo kłamią. Sen nie jest wiecznością, a jego kres nastaje, gdy unoszą się ponaglone ciepłym promieniem słońca powieki. Nie śpi więc dziewczeczka, lecz otulona zimnem i skryta w ciemności, czeka. Moja ukochana czeka, aż do niej przyjdę”.

Anna wyprostowała się. Odebrało jej mowę. Była jeszcze bardziej wstrząśnięta wyborem tych gorzkich słów dla uwiecznienia ducha żony niż tym, że Jack postanowił zachować również jej ciało. Wreszcie powiedziała:

- Nie słyszałam tego nigdy przedtem. Kto to napisał?

- 'Ja - odrzekł krótko. Szybkim ruchem oparł stopę na szczycie cokołu i sięgając w górę, strzepnął śnieg z twarzy figury. Anna znów poczuła bolesne ukłucie w sercu. Żywi nie powinni tak wiązać się z umarłymi.

- Wracam do zamku, panie. Chodź ze mną, usiądziemy przy ogniu i porozmawiamy. - Powiedziała to łagodnym tonem, ale nawet na nią nie spojrział.

- Dziękuję, pani - odparł chłodno - ale jak wspomniałaś wczoraj wieczorem, trzymam ludzi krótko, więc muszę się upewnić, czy nie ucierpieli z powodu wczorajszej zawieruchy, która nadeszła tu z południa.

Zeskoczył na ziemię i szybko odszedł w stronę koszar, a Anna wróciła do wielkiej sali.

W największym kominku buzował ogień, toteż dym snuł się po całym pomieszczeniu i pokrywał sadzą krokwie. Elżbieta i damy gorąco o czymś dyskutowały.

- Możemy tutaj tkwić aż do wiosny - powiedziała z niezadowolaniem lady Warwick. Jej ton wskazywał, że trudno sobie wyobrazić gorszą sytuację.

- To barbarzyństwo! - zawtórowała jej lady Fitzroy. - Śnieg w październiku! - Najwyraźniej miała pretensje do tego jałowego pustkowia, bo tylko tu mogła zdarzyć się taka

przykra sytuacja.

- Wcześniej śnieg nastaje, to i wcześniej taje - próbowała uspokoić je Elżbieta. - I tak zamierzałyśmy tutaj pobyć przynajmniej dwa tygodnie, a angielska pogoda taka właśnie jest. Wkrótce znowu może się ocieplić. - Można by sądzić, że królowa dumna jest, iż włada krajem, w którym aura jest aż tak nieobliczalna i kapryśna.

Elżbieta podniosła głowę i zauważyła Annę przy drzwiach.

- Zdejmij ciężkie trzewiki i mokrą pelerynę, bo się przeziębisz, lady Anno.

Postąpiła zgodnie z tą radą i po chwili usiadła na krześle w nieznacznym oddaleniu od pozostałych dam. Najpierw martwiła się, że śnieg przeszkodzi Ralphowi w przyjeździe do Ravens - glass, a teraz zrozumiała, że chwila ich ponownego spotkania w Greenwich może się bardzo odwlec.

- Moja pokojowa powiedziała mi, że ostatnio śnieg w październiku padał tutaj dwadzieścia dwa lata temu - stwierdziła kwaśno lady Dacre. Wstała, by okryć kolana pani futrzaną narzutką.

Elżbieta podziękowała, po czym zwróciła się do panny Latimar:

- Ty nie narzekasz, lady Anno. Czyżbyś polubiła to miejsce? A może podoba ci się komendant?

Rozległ się głośny śmiech, więc Anna również wykrzesła z siebie namiastkę uśmiechu. To, że wieczorem rozmawiała z Jackiem, a rano była z nim na przechadzce, zostało oczywiście zauważone i teraz odpowiednio skomentowane. Ech, gdybyście wiedziały, co naprawdę czuję, pomyślała.

- Jack Hamilton - powiedziała zadumana lady Dacre - to niezwykle bogaty młody człowiek z rodu mającego wielkie tradycje. Niestety, od dziesięciu lat nie okazuje zainteresowania damami, więc nie wydaje się, by dzięki którejś z nich miał zapomnieć o swej bolesnej stracie. Na pewno jednak do dzisiaj żadnej damie nie pokazywał grobu Marie Claire.

- Mnie też nie - odparła spokojnie Anna. - Chciałam się przejść, zainteresował mnie pomnik i tam go spotkałam.

- Nawet jeśli tak było - zawyrokowała lady Warwick - dla tego biedaka może to być pierwszy krok ku temu, by wyjść z żałoby.

Jack nie ma zamiaru iść tą drogą z żadną kobietą, a już na pewno nie ze mną, pomyślała Anna. Zresztą nawet gdybym była wolna, nie tworzylibyśmy dobranej pary. Oparła się jednak pokusie i nie powiedziała tego na głos. Nie zdradziła też, że serce Jacka leży w grobie przy jego zmarłej żonie, bo wiedziała, że wywołałoby to dalsze rozważania. Tajemniczo się więc uśmiechnęła i w milczeniu zerknęła ku oknu.

Ech, te kobiety, rozmyślała dalej. Nie mają swoich zajęć, więc tylko wścibiają nos w cudze sprawy. Nagle zatęskniła do matki. Lady Bess Latimar szybko przywołałaby te damy do porządku swą godnością i zdrowym rozsądkiem.

Żałowała również, że nie może się zwierzyć matce ze swych uczuć do Ralpha Montereya, była bowiem pewna, że znalazłaby u niej zrozumienie i wsparcie. Może właśnie w tej chwili Ralph gościł w Maiden Court, a jej rodzice cieszyli się z dobrego wyboru dokonanego przez córkę?

Westchnęła i pomyślała, że chciałyby mieć magiczną zdolność pokonania myślą przestrzeni dzielącej ją od domu, by móc zobaczyć, co tam się dzieje.

Przypadek zrządził, że Ralph wybrał się do Maiden Court akurat tego dnia. W okolicach Londynu pogoda wciąż dopisywała, doszedł więc do wniosku, że nie może dłużej odkładać wizyty u rodziców Anny.

Gdy znalazł się w pobliżu Maiden Court, powściągnął konia i zmierzył budowlę krytycznym okiem. Anna opowiadała o swym domu bardzo ciepło, podobnie jak jego brat, Tom. Czym tu się tak zachwycać? - pomyślał Ralph. Owszem, dwór jest utrzymany w dobrym stanie i całkiem ładny, bez wątplenia również stary i bogaty w tradycje, lecz jaki mały! Abbey Hall jest dziesięć razy większe.

Wjechał na dziedziniec przed stajniami i został dwornie powitany przez zgarbionego staruszka, który zaopiekował się jego koniem. Szybko przywołano lokaja, by zaprowadził gościa do wielkiej sali. Gdy tylko Ralph się tam znalazł, na schodach ukazała się lady Latimar. Skłoniła się przed nim, gdy uprzejmie się przedstawił.

- To miło, panie, że zechciałeś nas odwiedzić - powiedziała Bess, dyskretnie mierząc go wzrokiem.

Bardzo przystojny, pomyślała, co jak zwykle wzbudziło w niej podejrzliwość. Gość według wszelkich znaków należał do elity dworu królowej Elżbiety. Ciekawe, po co przyjechał? Powiedział, że jest bratem Toma Montereya, więc może tym należało tłumaczyć jego wizytę.

Zaprowadziła go do krzesła przy kominku, poleciła służbie podać wino i ciastka cynamonowe, po czym usiadła naprzeciwko i spojrzała nań pytająco.

- Z pewnością zastanawiasz się, pani, jaki jest powód mojej wizyty - odezwał się Ralph i przesłał jej uroczy uśmiech. — Muszę więc wytłumaczyć, że bardzo chciałbym porozmawiać z earlem o... o twojej córce, pani, czyli o lady Annie.

Ach, więc to tak, pomyślała Bess. Uśmiechnęła się dla dodania otuchy młodzieńcowi, ten jednak dopił wino i zapatrzył się w ogień.

- Mąż wróci na kolację - powiedziała. - Zechciej, panie, zjeść z nami posiłek i przyjmij, proszę, gościnę na noc.

Ralph pozwolił lokajowi ponownie napełnić swój kielich. Wino jest przednie, pomyślał. Lepszego nie pił od wielu miesięcy.

- Dziękuję, milady - odrzekł i znów szeroko się uśmiechnął. - Czekam z niecierpliwością na możliwość poznania ojca Anny, tak wiele o nim słyszałem.

Harry wrócił do domu dość późno, a tymczasem gość dotrzymywał towarzystwa Bess i zrećźnie ją bawił, więc oboje zdążyli się zaprzyjaźnić. Słyszając tętent męzowskiego konia na dziedzińcu, Bess poleciła, by niezwłocznie podano posiłek, sama zaś zaprosiła Ralpha do stołu. Gdy Harry wszedł do środka, zastał swoją żonę w towarzystwie niezwykle efektownego młodego człowieka.

Przystanął przy drzwiach, ściągnął rękawice i odrzucił podbitą futrem pelerynę. Młody człowiek natychmiast do niego podeszedł.

- Wyrazy uszanowania, milordzie. Jestem Ralph Monterey. - Skłonił się i w pozie wyrażającej szacunek czekał, aż earl poda mu rękę. Obaj razem podeszli do stołu.

Gdy służba podała kolację, Harry powiedział:

- To dla nas wielka przyjemność gościć cię tutaj, panie. Czyżbyś miał w tych okolicach jakieś sprawy do załatwienia?

Ralph nałożył sobie dużą porcję wybornego jadła, poczęstował się również winem. Chciał nacieszyć się tymi delicjami, zanim rozpocznie poważną rozmowę.

- Mam sprawę osobistą, sir. Mój brat często opowiadał o twoim domu, a Anna, którą miałem przyjemność poznać w Greenwich, gdzie okazała mi bardzo przyjazne uczucia, również ciepło wspominała Maiden Court. - W tym miejscu urwał, a Harry nie stawiał dalszych pytań.

Po skończonym posiłku wstali we troje od stołu i przeszli do salonu, gdzie rodzina miała w zwyczaju spotykać się po kolacji. Bess wygodnie umeblowała tę komnatę i pilnowała, by zawsze była dobrze ogrzana.

Na zaproszenie gospodarza Ralph spoczął w fotelu i rozejrzał się dookoła. Z uznaniem odnotował eleganckie francuskie stoliki, na których stały czary z suszonymi płatkami kwiatów i bukiety późnych róż, z płatkami nieco już poczerńiałymi od wieczornych przymrozków. Docenił też puszyste, jaskrawe dywany na podłodze i półki pełne książek oprawnych w jedwabne płótno.

Na chwilę zatrzymał wzrok na jedynym obrazie w tym pomieszczeniu. Przedstawiał on ubranego na szaro mężczyznę - zapewne gospodarza tego domu - siedzącego przy stoliku,

na którym leżały kolorowe karty do gry. Musiał to być gospodarz tego domu.

- To jest twój portret, milordzie, prawda? - spytał. Nie patrząc na obraz, Harry odpowiedział:

- Tak, powstał wiele lat temu, w czasach mojej młodości. Ralph uśmiechnął się.

- Byłeś, panie, bardzo dobrym graczem, w każdym razie tak mówią ludzie.

Tym razem odpowiedziała Bess.

- Harry dawno już zmienił zainteresowania.

Ralph upił łyk wina, które i tym razem okazało się wyśmienite. Wszystko w tym domu wydawało mu się stworzone dla wygody i przyjemności mieszkańców, a gospodarz i jego żona również sprawiali jak najlepsze wrażenie. Pomysł ożenku stawał się więc dlań coraz bardziej kuszący.

Pora robiła się późna i Bess w końcu wstała.

- Proszę mi wybaczyć, Ralph, ale chcę już udać się na spoczynek. - Obaj mężczyźni również wstali i skłonili głowy, żegnając panią domu, a potem Harry dolał wina do obu kielichów.

- Myślę, że przyszedł czas, by porozmawiać o sprawie, która cię do nas sprowadza, Ralph.

- To prawda - zgodził się Monterey. Odczekał jednak długą chwilę, nim powiedział: - Przyjechałem, panie, by powiedzieć, że pokochałem twoją córkę. Za twoim pozwoleniem chciałbym uczynić ją swoją żoną.

Harry przeniósł się ze swego miejsca przy kominku na ławę pod oknem.

- Naprawdę?

- Jesteśmy po słowie, panie - ciągnął Ralph. - Zanim Anna wyjechała na północ, uzgodniliśmy...

- Wyjechała na północ? - przerwał mu Harry.

- Och, wybacz mi, panie, oczywiście nie mogłeś o tym słyszeć... Jej Wysokość pojechała do Northumberlandu na inspekcję zamku Ravensglass, twierdzy dowodzonej przez Jacka Hamiltona, i Anna towarzyszy królowej...

- Naprawdę? - Harry rozważył tę wiadomość. To był wielki zaszczyt dla jego córki! - Och, przepraszam, panie, przerwałem ci wywód.

- Zanim Anna wyjechała, dała mi niedwuznacznie do zrozumienia, że przyjmie moje oświadczenia, jeśli i ty, panie, wyrazisz na to zgodę.

- Rozumiem. - Harry odwrócił się, by zaciągnąć zasłony. Żałował, że Bess już nie ma w komnacie. Jego żona miała bardzo wiele rozsądku i doświadczenia, mimo pozorów

naiwności. On sam rzadko wiedział, co sądzić o młodzieńcach, którzy składali im wizyty, aczkolwiek tym razem poznawał pokrewną duszę. Dwadzieścia lat temu z pewnością był niezwykle podobny do Ralpha Montereya.

- Mam poparcie suwerena - skromnie wspomniał Ralph jeszcze podczas kolacji. - Jej Wysokość poświęca mi niemało uwagi.

:!

Ja też w swoim czasie mógłbym tak powiedzieć, pomyślał Harry Latimar. W swoim czasie Henryk VIII czuł do niego wielką słabość.

- Muszę jednak wyznać, że jestem zapalonym graczem - dodał Ralph, z wdziękiem obnażając swoją słabość.

I to powiedziałbym o sobie dwadzieścia lat temu, uznał nieco zakłopotany Harry Latimar.

- Cóż więc sądzisz, panie, o moich oświadczeniach? - zakończył teraz Ralph. Harry znalazł się w kropce. Nie pierwszy i nie dziesiąty raz zalotnik zwracał się do niego z prośbą o rękę Anny, ale pierwszy raz wyglądało na to, że dziewczyna wyraziła zgodę. Naturalnie, tak twierdził tylko Ralph, niemniej Harry był skłonny wierzyć słowom młodzieńca.

- Nie mogę dać ci odpowiedzi, panie, zanim nie porozmawiam z córką - zastrzegł się. - Powiedz mi jednak, jak odnosi się do tego pomysłu twój ojciec. - Znał Johna Montereya i szanował jego uczciwość i pełną rozwagi mądrość.

- Mój ojciec odniósł się do tego pomysłu bardzo życzliwie - odrzekł Ralph. - Gościł niedawno Annę w Abbey Hall i pańska córka wywarła na nim jak najlepsze wrażenie.

Harry unióśł brwi, zastanawiał się bowiem, jak daleko sprawy zaszły, skoro John miał okazję wyrazić przychylną opinię o tym związku.

- Przyjechałem tutaj sam, panie, nie czekając na Annę, ponieważ chcieliśmy jak najszybciej poznać twoje zdanie. Anna poprosiła mnie, bym złożył ci wizytę, a następnie niezwłocznie udał się do Northumberlandu, by przekazać jej nowinę o twoim błogosławieństwie... Lub też o twoich zastrzeżeniach - dodał po chwili. - Jak wiesz, panie, Anna ma porywczą naturę, nie chciałem więc odmawiać jej prośbie.

Harry wstał, by dolać wina do kielichów i przemyśleć w tym czasie swoją odpowiedź. Zgodnie z powszechnym obyczajem los dzieci całkowicie zależał od woli rodziców, lecz w bogatych i szanowanych rodach czyniono pod tym względem wyjątek, jeśli chodzi małżeństwo. Tutaj młodzi mieli pewną swobodę wyboru.

W zadumie podszedł do kominka i dołożył do ognia polano. Annę zapewne cieszyło, że sama mogła podjąć decyzję w tak ważnej sprawie. Ralph był najstarszym synem w

rodzinie, po śmierci ojca odziedziczy więc olbrzymi majątek, tytuł i piękny dwór.

Wszystko wyglądało wprost znakomicie, Harry chciał jednak polubić swojego przyszłego zięcia, wiedział zaś instynktownie, że mu się to nie uda, jeśli do małżeństwa dojdzie zbyt szybko. Nawet zdziwiła go ta myśl, nie miał bowiem przeciwko temu młodzieńcowi żadnych zastrzeżeń, poza plotkami, że zbyt ostro się hazardował i zbyt wiele kobiet łączono z jego imieniem. Wspomniawszy jednak na własną przeszłość, Harry potrafiłby odnieść się do tych spraw pobłażliwie, z doświadczenia wiedział bowiem, że dawni hulacy często zamieniają się w przykładnych mężów, jeśli kochana przez nich kobieta opanuje ich zgubne skłonności.

Dlaczego więc od pierwszej chwili odnosił się do Ralpa nieufnie i czuł do niego niechęć? Z Bess, widział to, było wręcz odwrotnie. Gość natychmiast podbił jej serce, a przecież zawsze bardzo wnikliwie przyglądała się ludziom, których poznawała.

Przedłużające się milczenie zaczęło nieco irytować Ralpa, Przecież mógł pozostawić tę misję w rękach swojego ojca, a jednak zadał sobie trud i przyjechał do Maiden Court osobiście, by szczerze wyznać swą miłość do Anny i dać się poznać przyszłym teściom. Powoli jednak zaczynał rozumieć, że spotyka go upokarzający brak uznania.

- Może masz jakieś zastrzeżenia, milordzie - odezwał się w końcu.

- Zastrzeżenia? - powtórzył zadumany Harry. - Nie, nic mi nie przychodzi na myśl.

- Cóż więc innego?

- Czy naprawdę zamierzasz podjąć długą podróż do Ravens - glass? Czy ta sprawa nie może poczekać do powrotu Anny?

- Mogłaby, gdybym nie liczył się z uczuciami pańskiej córki - odparł chłodno Ralph - i gdybym nie wahał się złamać danego jej słowa. Lecz nawet jeśli nowina ma przynieść jej rozczarowanie, byłoby chyba lepiej, by Anna dowiedziała się o tym jak najszybciej - dodał z naciskiem. Wcześniej postanowił już, że nie będzie się trudził długą wyprawą do Northumberlandu, teraz jednak, pod wpływem chwili, znów zmienił zdanie.

Harry westchnął.

- Nic takiego się nie stanie - zapewnił go przyjaźnie. - Możesz powiedzieć Annie, że sprzyjam jej wyborowi, choć naturalnie nic nie jest postanowione, dopóki nie porozmawiam z twoim ojcem.

Ralph się odprężył. Wstał i podał Harry'emu rękę.

- Miło mi to słyszeć, sir. Proszę nie poczytać mi tego za nadmienia śmiałość, chcę jednak powiedzieć, że będę zaszczycony, mogąc stać się członkiem twojej rodziny. - Znowu zerknął na portret. - Twoja reputacja od dawna budzi mój podziw, milordzie.

- O jakiej reputacji mówisz? Ralph omal się nie roześmiał.

- Naturalnie mam na myśli wszystkie przymioty, ale szczególnie twoją zręczność przy karcianym stoliku, panie. Jak wiesz, sam często i chętnie grywam.

Harry w milczeniu popijał wino.

- Ktoś powiedział mi kiedyś, że tym układem kart, który leży przed tobą na portrecie, zdobyłeś ten piękny dom.

Polano, które Harry dołożył do paleniska, rozpałiło się na dobre i snop pomarańczowo - fioletowych iskier trysnął do przewodu kominowego. Harry odsunął się nieco i powiedział:

- Wprowadzono cię w błąd, panie. Rzeczywiście wygrałem Maiden Court w karty, ale tymi, które tu pokazano, zdobyłem coś znacznie cenniejszego.

Przed laty małżeństwo Latimarów przeżyło groźny kryzys, z wielu zresztą powodów. Harry stracił dom na rzecz swoich wierzycieli, na szczęście posiadłość wykupił król Henryk i podarował ją Bess, która następnie przegrała Maiden Court w karty do męża. Jednak tamtej nocy, dwadzieścia lat temu, gdy namiętność głuszyła wszystkie inne uczucia, nie chodziło o to, kto wygra, a kto przegra. To było dobitne potwierdzenie ich miłości, która od tej pory trwała niezagrożona.

- Opowiedz mi tę historię, panie - poprosił Ralph. - Wydaje mi się ciekawa.

- Obawiam się, że jest zbyt długa - odparł Harry. - Znużyłbyś się, panie. Może lepiej odprowadzę cię do twojej komnaty.

Gdy wyszli z salonu, Harry pomyślał, że wystarczyłoby kilka zdań dla opisanie samych zdarzeń, lecz ten młodzieniec pewnie i tak niewiele by zrozumiał, nawet gdyby opowieść trwała wiele godzin. To przygnębiająca myśl dla ojca, który właśnie zgodził się oddać swoją ukochaną córkę w ręce Montereya.

Przez następny tydzień dni w Ravensglass toczyły się podobnym trybem. Śnieg odciął zamek od świata, ale w murach panowało duże ożywienie.

Elżbieta, zawsze chętna do odłożenia na bok insygniów królewskiej władzy, bawiła się doskonale. Żołnierzom oszczędzono rutynowych ćwiczeń na pokrytych grubą warstwą śniegu placach, bo w taką pogodę trudno byłoby wypędzić na dwór psa. a co dopiero mówić o szlachetnie urodzonych młodych ludziach, którzy służyli w Ravensglass. Żołnierze szukali więc dla siebie rozrywek, uprawiali różne gry, próbowali sił w konkursach, dawali pokazy szermierki i łucznictwa, codziennie również grywano w kręgle. Nikt zaś nie uczestniczył w tych wszystkich zajęciach bardziej ochoczo niż królowa.

Anna również stopniowo zapominała o swoich wcześniejszych uprzedzeniach. Nie był to nawet skutek upomnienia udzielonego jej przez Elżbietę, lecz po prostu dziewczyna zro-

zumiała, że aby wytrzymać dręczące oczekiwanie na wieści z Maiden Court, musi poddać się atmosferze wesołości panującej w zamku. Wprawdzie zazwyczaj wszyscy tutaj ciężko pracowali, okazało się jednak, że nieoczekiwany okres wytchnienia wzbudził powszechne zadowolenie.

Anna była doskonale przygotowana do nie kończących się gier sprawnościowych i losowych, tańców oraz improwizowanych przedstawień. Chociaż jej ojciec porzucił dwór królewski, gdy była małym dzieckiem, to jednak zachował upodobanie do rozrywek, jakie tam uprawiano, i kultywował je w swoim domu.

Anna i jej brat bliźniak George stali się wprawnymi muzykami i tancerzami, świetnie sobie radzili z konkursami sprawnościowymi i doskonale jeździli konno. Wprawdzie George przejawiał silną niechęć do hazardu, a szczególnie do gry w karty, ale rekompensowała to ojcu Anna, która i to uwielbiała. Gdyby chciała wykorzystać naiwną bez troskę młodych mężczyzn, Ravensglass mogłaby wypchać swoją sakiewkę pieniędzmi. Dobrze pamiętała jednak słowa ojca: „Jeśli ktoś osiągnął w czymś mistrzostwo, przegrać, gdy tak nakazuje przyzwoitość, jest mu równie łatwo, jak wygrać”.

Innym damom zdawało się czasem, że nie powinny lubić towarzyski, która cieszy się tak niezwykłą popularnością i z za - pamiętaniem oddaje się wszelkim możliwym rozrywkom, wtedy jednak spostrzegały, że pannie Latimar nie potrafią właściwie niczego zarzucić.

Anna rozdzielała swoje względy całkowicie bezinteresownie i sprawiedliwie, dlatego wkrótce połowa batalionu była w niej zakochana po uszy, ona jednak nie faworyzowała nikogo. Każdego dnia wybierała innego żołnierza na partnera do turnieju łuczniczego albo kręgli, kto inny towarzyszył jej podczas kolacji, a jeszcze inny dostępował zaszczytu pierwszego tańca.

Przy tym wszystkim Anna nie zaniedbywała swoich obowiązków. Z radością wykonywała wszystkie zajęcia damy dwora, a pogodą ducha i śmiechem zarażała współtowarzyski, które powoli zaczęły się nawet godzić z uwięzieniem w odciętym od świata zamku.

Anna naprawdę znakomicie się bawiła i cieszyło ją, że może urozmaicić życie innym, lecz mimo to nieustannie wracała myślami do Ralpa. Jego obraz wciąż jej towarzyszył. Gdy zostawała sama, nieraz płakała z tęsknoty, bo nadzieje, że ukochany do niej przyjedzie, spełzły na niczym. Sama się więc dziwiła, że potrafi znaleźć w sobie tyle wesołości, chociaż w głębi duszy jest zrozpaczona.

Gdy złapała się na tej myśli, niespodziewanie przypomniał jej się Jack Hamilton. Uśmiechnęła się figlarnie. Komendant twierdzy) nie umiał ukrywać swoich uczuć i przez

ostatnie dni wyraźnie okazywał, jak bardzo nie podoba mu się to, że jego doskonale zorganizowany garnizon przemienił się w miejsce zabaw. Gdy widział, jak jego porucznicy zamiast szkolić żołnierzy, konwersują z damami lub stroją instrumenty przed tańcami, miał ochotę zrobić piekielną awanturę i przywrócić dawny porządek. Oczywiście nie mógł jednak tak postąpić, tłumił więc furię i szybko odchodził.

Anna widziała, że długie wieczory wypełnione muzyką, śpiewem i tańcami stanowią prawdziwą udrękę dla człowieka, który uważał, że późne godziny są przeznaczone na sen dający odpocząć ciału po dniu spędzonym na wyczerpujących ćwiczeniach w sztuce walki.

Ze złośliwą satysfakcją nieraz przypominała Jackowi, który próbował o wczesnej porze czmychnąć do swojej komnaty, że obiecał towarzyszyć jakiejś damie podczas tańców albo przy karcianym stoliku. W karty Jack nie lubił grać i nie miał do tego talentu, wszystkie bowiem taktyczne zamierzenia można było wyczytać z jego twarzy.

Również konkursy sprawnościowe go nie bawiły. Miał tak wielką przewagę nad każdym z potencjalnych rywali, że zabawa kończyła się, zanim jeszcze na dobre się zaczęła.

Dwa tygodnie po spadnięciu śniegu, wieczorem, Anna odbyła z nim bardzo przykrą rozmowę.

Tańczyła z niejakim Markiem Bolbeyem. Nie interesował jej ten młody człowiek. W grach i zabawach próbował zawsze rozwiązań siłowych, często krzywdził mniej sprawnych współzawodników, oszukiwał przy kartach, co budziło jej pogardę, miał też nadmierne wysokie mniemanie o swoich umiejętnościach tanecznych i często tyranizował młodszych, lepiej wychowanych kolegów, którzy próbowali zaprosić pannę Latimar do tańca.

Anna, by zapobiec gwałtownym wybuchom Bolbeya, spędziła z nim końcową część wieczora. Gdy muzycy szykowali się do zagrania ostatniej melodii, a Elżbieta szła już na górę do sypialni, Mark namówił Annę na wyjście do stajni, chciał bowiem pokazać jej wyjątkowo ładnego żrebaka.

W stajni było ciepło i jasno. Klacz Marka rzeczywiście ożrebiła się i miała śliczne małe, którym Anna wprost się zachwyciła. Gdy jednak opuścili boks, stało się coś strasznego. Dziewczyna powiedziała, że musi już wrócić do swojej komnaty i z uśmiechem wyciągnęła rękę, żeby pożegnać się z Bolbeyem - i nagle znalazła się w jego miażdżącym uścisku. Żołnierz ustami szukał jej ust, a jednocześnie przesuwał ręce po jej ciele z przerażającą pewnością siebie.

Anna zdołała jednak wyszarpnąć się z jego ramion i wymierzyła mu policzek.

- Chcesz mnie bić? - wysyczał Mark, - Zaraz pokażę ci, pannico, że żadnej kobiecie na to nie pozwolę!

Przerażona Anna zaczęła krzyczeć. Nagle drzwi stajni otworzyły się i stanął w nich Jack Hamilton. Najpierw spojrzął na swojego wasala.

- Bolbey! Co to ma znaczyć?

Mark szurnął nogami w słomie. Wobec młodszych i słabszych kolegów albo panny, która miała nie więcej sił niż ptaszek, zachowywał się z łajdacką butą, lecz groźny komendant, dysponujący w twierdzy nieograniczoną władzą, napawał go prawdziwym lękiem. Stanął więc ze zwieszoną głową.

- Wyjdz stąd, sir - polecił szorstko Jack. Gdy drzwi za Bolbeyem się zamknęły, spytał: - Czy wszystko w porządku, pani?

- Chyba tak - odrzekła niepewnie Anna. Drżała na całym ciele. Nikt nigdy nie potraktował jej tak brutalnie. Jej ojciec był zdecydowanym przeciwnikiem stosowania siły zarówno wobec członków rodziny, jak i służby, a George, z którym nieraz walczyła w dzieciństwie, natychmiast ustępował, gdy widział, że siostra czuje się skrzywdzona. Anna nigdy więc nie doświadczyła fizycznej przemocy.

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że sama doprowadziłaś do tej sytuacji, pani - oświadczył surowo Jack.

Głupia panna, myśli, że może próbować swoich gier z setką żołnierzy! Co wieczór widział, jak panna Latimar przyciąga młodych ludzi, niczym ogień ćmy. Te wielkie, promieniejące oczy, które obiecują namiętne chwile, zgrabne ciało skąpo osłonięte śmiałymi sukniami i lśniąca czapa czarnych, uroczo pachnących włosów... ech, mężczyzna mógł oszaleć od samej myśli, że głaszcz te włosy i wsuwa w nie palce...

Jack złapał się na tej myśli i poczuł wielkie niezadowolenie.

Do tej pory nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że tyle zauważył...

- Ja do tego doprowadziłam? - spytała przez łzy Anna. - W jaki sposób? Mark chciał mi pokazać źrebię swojej ulubionej klaczy i przyszedł tutaj specjalnie w tym celu.

- Zostałaś w odosobnionym miejscu z dżentelmenem, o którym wiedziałaś, że wypił za dużo wina.

Anna nie mogła zaprzeczyć, że Jack ma rację i sama teraz uważała, że postąpiła wyjątkowo nierozważnie, to jednak nie powstrzymało jej przed gwałtownym odparciem reprimendy.

- Wybacz, panie, moją ignorancję - powiedziała chłodno. - Do tej pory byłam zawsze bezpieczna w towarzystwie każdego dżentelmena, bez względu na okoliczności.

Jack zatrzymał wzrok na siniaku, który zaczynał się pojawiać na bielutkiej szyi Anny. Na ten widok wybuchnął gniewem. Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć, bo przecież panna

przyznała, że sama sprowokowała te końskie zaloty. Ravens - glass nie jest ogrodem okalającym wiejski dwór, tylko twierdzą osadzoną w dzikiej krainie. Naturalnie młody Bolbey zachował się niewybaczalnie, ale z pewnością jego słabość była bardzo ludzka.

- Ten młody człowiek zostanie surowo ukarany za swój postępek. Dopilnuję tego osobiście.

Jack najchętniej wyrzuciłby tego drania na mróz i tam skopał do utraty przytomności, zarazem jednak nie pojmował gwałtownej siły swej reakcji na tak w gruncie rzeczy banalne wydarzenie. Doskonale znał wszystkich swoich podkomendnych, wiedział więc, że Bolbey ma niejedno na sumieniu, lecz zarazem jest materiałem na wielkiego wojownika. Otrzymawszy rozkaz, wypełniał go co do joty, a przyjąwszy postępek do obrony, choćby najmniejszy, był gotów oddać za niego życie. Zresztą pochodził z rodziny mającej wspaniałe żołnierskie tradycje.

Niektóre kobiety, pomyślał Jack z goryczą, potrafią zawrócić w głowie nawet najpotulniejszemu mężczyźnie.

- Nie trudź się, panie - powiedziała Anna, widząc irytację malującą się na jego twarzy.
- Jeśli zamierzasz tolerować takie zachowanie, nie chcę.

— Nie toleruję takiego zachowania! - oświadczył ze złością Jack. - Ale przez ostatnie tygodnie panna na wiele sobie tutaj pozwala. To jest skutek, więc teraz mówię wyraźnie: niech panna nie kusi losu po raz drugi!

Anna, głęboko przejęta napaścią Marka, została zaatakowana ponownie, wprawdzie już nie fizycznie, lecz nie mniej dotkliwie. Na co niby sobie ten cały Hamilton pozwala? Też coś! Odrzuciła zaloty mnóstwa kolegów Marka Bolbeya i żaden z nich nie próbował domagać się spełnienia swych pragnień siłą. Wreszcie znalazła chusteczkę, więc otarła oczy, potem przycisnęła ją do ust - i zachwiała się.

- Panna zamierza zemdleć? - spytał Jack. Nigdy jeszcze nie widział, by Anna była tak błada. Czyżby ten brutal naprawdę wyrządził jej krzywdę?

Jackowi ścisnęło się serce. Nagle obudził się w nim opiekuńczy instynkt, a wraz z nim inne uczucie, trudniejsze do nazwania, zwłaszcza że już od dawna Hamilton uważał się za niezdolnego do takich emocji. Ku swemu zaskoczeniu zapragnął objąć dziewczynę, pocałować i pieszczotami pomóc jej zapomnieć o przykrym przeżyciu. Byle tylko nie spoglądała na niego z takim przeraźliwym smutkiem.

- Nigdy nie mdleję - oświadczyła Anna lodowatym tonem, a Jack jakoś opanował nagły wybuch uczuć i szorstko odrzekł:

- Nigdy się panna nie niepokoi, nigdy też nie mdleje, a włosy kręcą jej się same. Taka

kobieta zdarza się raz na tysiąc!

- A skąd to wiesz, panie? - spytała kąśliwie.

No! Odzyskała inicjatywę. Odważyła się jeszcze raz wytknąć mu brak zainteresowania płcią przeciwną i chorobliwą lojalność wobec zmarłej damy, której imienia cudze wargi nie były godne nawet wymówić!

Jack ujął ją za ramię i wyprowadził ze stajni na dwór.

- Wracaj do swojej komnaty i pamiętaj, co ci powiedziałem.

- Zapamiętam wszystko co do słowa - zapewniła go i ruszyła przez ośnieżony dziedziniec do drzwi budynku. Nie obejrzała się ani razu i dobrze się stało, bo Jack, któremu na twarz padało światło latarni, miał w oczach coś takiego, czego nie byłaby w stanie zinterpretować.

Gdy drzwi za nią się zamknęły, Hamilton wyciągnął ramię i zgasił latarnię. Potem wrócił do stajni i pozamykał otwarte boksy, a przez cały czas rozmyślał.

Ostatnie słowa Anny nie wyprowadziły go z równowagi tak bardzo, jak jego własne pragnienie, by jeszcze z nią porozmawiać. Gdy szła przez dziedziniec, chciał ją zawołać: Wróć, Anno! Wróć, porozmawiaj ze mną.

Porozmawiać? O czym miałby dyskutować z taką pannicą? Pamiętał długie godziny, które spędził na rozmowach z Marie Claire. Przy niej miał poczucie, że jest jedynym człowiekiem na świecie, który potrafi ją zabawić. Poza tym Marie Claire nigdy nie uciekała się do kobiecych sztuczek, jakich Anna Latimar miała w swoim repertuarze pełno. No i jej uroda z pewnością była daleka od ideału.

Ożenił się, mając dwadzieścia dwa lata. Gdy poznał Marie Claire, miał już za sobą pewne doświadczenia. Przed wyjazdem z Anglii cieszył się względami kilku piękności przebywających na angielskim dworze i nie ościagał się z wykorzystaniem szczodrych propozycji, jakie mu czyniono. Przedtem, jako paź Harry'ego Latimara, nieustannie zbierał bury za swe nocne eskapady.

Potem wysłano go do Francji, na dwór rozmiłowany w szukaniu rozkoszy. Tam spotkał wyrafinowane kobiety, jakich wcześniej nie znał. Szybko też stracił głowę i zakochał się w niezwyklej, skromnej, samiookiej Marie Claire Lauren.

To nie uroda, lecz charakter człowieka wyzwala prawdziwą miłość, pomyślał Jack, opuszczając stajnię. Natychmiast smagnął go zimny podmuch. Miłość? Dlaczego właśnie to słowo teraz przyszło mu do głowy? Oraz ostra reprimenda Harry'ego Latimara, którą usłyszał w Ravensglass na pożegnanie, po ich męskiej rozmowie o picciu na umór.

„Wiem, że nie chcesz tego usłyszeć” - stwierdził wtedy Harry. „Nie jestem zresztą

pewien, czy mam prawo to powiedzieć, ale świat jest ciekawym miejscem, Jack, i zamieszkują go ciekawi ludzie. Tobie wydaje się, że umarłeś za życia, straciłeś zdolność kochania, i to uczucie jestem w stanie zrozumieć. Spójrzysz jednak na to z innej strony. Dobry Bóg uznał za stosowne połączyć cię z Marie Claire, ze wszystkich mężczyzn i kobiet chodzących po tej ziemi wybrał właśnie was. Jeśli dał o sobie znać raz - a jako stary hazardzista muszę pomyśleć, jakie było prawdopodobieństwo waszego spotkania z Marie Claire - to czy mogła to być ostatnia boska interwencja w twoim życiu? Osobiście wątpię. Jej już nie ma, odszedł twój ideał, jedyna kobieta na świecie stworzona dla ciebie. Czy jednak tylko tyle miało na ciebie czekać? Nie sądzę. Zważywszy zaś na twoją młodość i to, ile jesteś wart, zdecydowanie wolę tak nie myśleć”.

Jack przypomniał sobie teraz te słowa, stojąc na przenikliwym chłodzie. W swoim czasie zlekceważył je, pozwolił Harry'emu dosiąść konia i odjechać, nie odpowiedziawszy ani słowem. Teraz jednak te słowa do niego wróciły i nabrały zupełnie nowego znaczenia. To Anna mu o nich przypomniała, nadała im sens.

Ogarnia mnie zwykła żądza, uznał. Tak trzeba to wyjaśnić. Panna jest piękna, więc jej pożądam. Wcale nie jestem lepszy od Marka Bolbeya i też padam ofiarą jej sztuczek. Stanowczo zbyt długo nie odwiedziłem żadnego z tych miejsc, których na tym pustkowiu po prostu nie ma.

Ta myśl obudziła w nim współczucie dla winowajcy. Tymczasem przemierzał już dziedziniec, zdążając w stronę koszar.

Zaraz potem wszedł na spartańską salę zajmowaną przez dwudziestu żołnierzy. Targały nim sprzeczne uczucia. Bolbey pochodził z dobrej rodziny, jego bracia i ojciec także służyli w wojsku i nie było najmniejszych wątpliwości, jak rodzina zakwalifikowałaby postępek młodego człowieka.

Cicho przeszedł między śpiącymi i stanął nad pryczą Marka.

- Bolbey, mam do ciebie słowo, jeśli pozwolisz. Ponieważ nie zareagował wystarczająco energicznie, więc Jack przewrócił pryczę i Mark z łoskotem zwałił się na klepisko. Teraz już błyskawicznie poderwał się na równe nogi.

- Tak jest, sir. - Wychodzimy. Już! - Bolbey wyszedł za dowódcą na dwór. - Zimno dzisiaj - stwierdził Jack, spoglądając w niebo. - Paskudna pogoda, ale jeszcze bardziej paskudne jest moje zadanie. Napadłeś na damę, która w Ravensglass jest gościem, a przy tym jedną z dam dworu królowej. - Jack przestał patrzeć w niebo i przeniósł wzrok na żołnierza. - Co masz do powiedzenia? Zdawało ci się, że ona z tobą flirtuje, tak?

Mark spuścił oczy. Nie mógł znieść przenikliwego spojrzenia dowódcy, a zarazem

gorączkowo rozważał, co ma powiedzieć. Wieczorem pragnął Anny Latimar i wcale się nie zdziwił, że zgodziła się wyjść z nim z wielkiej sali. Miał ją za kobietę beztruską i trzpiotowatą.

Gdy jednak znaleźli się w stajni, wcale nie zachowywała się zgodnie z jego oczekiwaniami. Objąwszy ją i spróbowałszy pocałunku, przekonał się, że jest całkiem niewinna. Mając na względzie swoje interesy, nie powinien tego wyznać Hamiltonowi, jednak górę wzięła lepsza strona jego charakteru i kłamstwo nie chciało przejść mu przez gardło.

- Rozumiem to wszystko, sir, i mogę powiedzieć tylko tyle, że źle odczytałem pewne znaki.

- Źle odczytałeś? Co to znaczy?

Mark wyprostował się i spojrzał prosto w oczy dowódcy.

- Lady Anna obiecuje bez słów, milordzie. Ma takie sposoby, że mężczyźni może zaszumić w głowie... Jest doskonała pod wieloma względami, na które zwraca uwagę mężczyzna, więc sądziłem, że można spróbować czegoś więcej... Byłem w błędzie, sir, i jestem gotów ponieść karę za swoją pomyłkę.

Nie tego Jack się spodziewał. Przyszedł z zamiarem wyrażenia swojemu młodemu porucznikowi współczucia i zrozumienia, tymczasem Bolbey brał na siebie całą winę za to, co się stało.

- To znaczy, chłopcze?

- Chcę powiedzieć, sir, że Anna Latimar zawstydziła mnie swoją godnością i niewinnością. Mam szczerą nadzieję, że moje siostry w podobnej sytuacji zachowałyby się tak samo, to znaczy że gdyby jakiś dżentelmen... - Urwał, ale właściwie wszystko zostało powiedziane.

Jack westchnął.

- I co ja mam z tobą zrobić po takim wyjaśnieniu?

- Jeśli pytasz mnie, sir - odrzekł dzielnie Mark - co zrobiłbym, gdyby dama, o której mowa, była jedną z moich sióstr, to sugerowałbym karę fizyczną. - Cofnął się o krok i oparł plecy o ścianę koszar.

- Rozumiem - powiedział w zadumie Jack. - Radzisz mi, żebym wypróbował na tobie siłę swoich pięści.

- Tak jest, sir - potwierdził z powagą Mark.

Nastąpiła krótka przerwa w rozmowie. Obaj mężczyźni zastanawiali się, co dalej. Mark stawiał sobie pytanie, czy w ciągu najbliższego miesiąca będzie w stanie o własnych

siłach podnieść się z pryczy. Dopuszczał nawet taką możliwość, że zostanie kaleką i będzie musiał wystąpić z wojska.

Nie bał się bólu ani tego, co będzie potem, gorzko żałował jednak, że być może straci możliwość służenia pod komendą człowieka, którego podziwiał i darzył olbrzymim szacunkiem, a od którego teraz zależał jego dalszy los.

Jack natomiast myślał, że nie chce używać siły, skoro chłopak szczerze przyznał się do błędu i nie próbował zrzucić winy na kogo innego. Nieznacznie się uśmiechnął.

- Kobiety są nieprzewidywalne, co, Mark?

- To prawda - przyznał chłopak. - Ale w tym przypadku... Jack nie dał mu dokończyć.

- Jestem skłonny poprzestać dziś na ostrej naganie, mój chłopcze. No, i naturalnie czeka cię miesiąc karnych robót. Nie zrozum przez to, że lekko traktuję tę sprawę - dodał natychmiast. - Nie chcę jednak zakłócać spokoju i psuć tutaj nastroju podczas wizyty królowej. Nie będziesz już próbował zbliżyć się do tej damy?

- Nie, sir - odpowiedział natychmiast Mark— chcę jednak powtórzyć, że wina w żadnym wypadku nie leży po jej stronie...

Jack znów mu przerwał.

- Dobrze już, dobrze. Wracaj do łóżka i pamiętaj: ta dama jest pod moją osobistą opieką. Gdybyś ty lub ktokolwiek inny próbował jeszcze raz naruszyć jej spokój, nie okażę cienia litości.

- Doskonale rozumiem, sir.

- Wobec tego możesz odejść - powiedział cicho Jack. - Możesz też wspomnieć swoim towarzyszom, o czym tutaj rozmawialiśmy.

Anna miała bardzo nieprzyjemną noc. Ponieważ należała do osób, które wierzą w siłę swoich słów, była na siebie wściekła, że nie zdołała wygrać wieczornej potyczki z Jackiem.

Ten człowiek robi się coraz bardziej nieznośny, pomyślała. Wstała i podniosła z podłogi czerwoną suknię, którą przedtem rzuciła w pośpiechu, żeby jak najszybciej położyć się do łóżka i zakończyć ten okropny dzień. Dopiero dniało, więc z przyległych komnat, które zajmowały inne damy dworu, nie dochodziły żadne odgłosy.

Gdy wyjrzała przez okno, stwierdziła, że zapowiada się następny mroźny i piękny dzień. Skrzyła się pokrywa zmrożonego śniegu. Od kilku dni śnieg nie padał, ale ten, który już był, zmarzł na kamień.

Spróbowała obliczyć datę. Przebywały w Ravensglass trzy i pół tygodnia, a odwilż, o której wspominała Elżbieta, wciąż wydawała się odległa. Mroźne powietrze zapierało dech. Planowano, że królowa ze świtą opuszcza Ravensglass za dziesięć dni, naturalnie jeśli pogoda

w tym nie przeszkodzi, jednak Annie ten plan wydawał się mało realny. Wiedziała również, że nie ma sensu spodziewać się przyjazdu Ralpa.

Gdyby jednak Ralph był w Ravensglass poprzedniego wieczoru, to jak postąpiłby wobec Marka Bolbeya? - zastanawiała się przez chwilę. Na powierzchni wody w swojej misce do mycia zauważyła warstewkę lodu i ostrożnie postukała w nią srebrną rączką szczotki do włosów. Lód popękał. Ochlapała lodowatą wodą twarz i zadrżała z zimna. Szybko, wytarła się i z niezadowoloną miną spojrzała w lustro. A może jej ukochany też uznałby, że wina leży po jej stronie?

Rozwiązała wstążkę, która od poprzedniego wieczoru ściągała jej włosy. Bardzo mało wiem o Ralphie, pomyślała nagle. I naturalnie wcale nie podobałoby mi się, gdyby był swoich towarzyszy za każdym razem, gdy któremuś z nich spodoba się jego dama. A jednak tego właśnie oczekuję od Jacka Hamiltona. Dlaczego?

Ponownie związawszy włosy, wróciła do okna. Była rozstrojona nie tylko dlatego, że od tygodni nie widziała narzeczonego, lecz również z tego powodu, że za długo już przymusowo tkwiła w jednym miejscu. Z okna swojej komnaty widziała stajnie. Ludzie Hamiltona wyprowadzali konie na dziedziniec. Chwilę potem z chrzęstem opuszczono most zwodzony i duża grupa jeźdźców opuściła zamek.

Tego mi trzeba, doszła do wniosku. Odświeżającej przejażdżki. Jenny z pewnością też chętnie się porusza. Anna szybko więc ubrała się w kostium do konnej jazdy, wyciągnęła z kufra pelerynę podbitą futrem i żwawo zeszła na dół.

Jenny rzeczywiście ucieszyła się na jej widok, co okazała wyciągnięciem pyska i cichym rzeniem, zarezerwowanym wyłącznie dla pani. Niestety, sierść klaczy zmatowiała, a oczy mniej lśniły niż zwykle. Anna poklepała zwierzę, szepnęła mu kilka czułych słów, potem znalazła uprzęż i zaczęła je siodłać. Natychmiast stanął przy niej stajenny.

- Czy mogę pomóc, milady?

- Chciałabym trochę pojeździć. Czy ktoś mógłby mi towarzyszyć?

Stary stajenny spojrzał na nią z niepokojem, a zmarszczki na jego twarzy jeszcze się pogłębiły.

- Nie wolno opuszczać murów zamku bez pozwolenia lorda Hamiltona.

- Naprawdę? Ale Jenny potrzebuje ruchu, nie pojedziemy daleko.

- Milord wydał polecenie, żeby w odpowiednim czasie ćwiczyć wszystkie konie gości.

- Chcę gdzieś pojechać teraz - odparła zdecydowanie Anna. - Widziałam, że przed chwilą wyjechała z zamku duża grupa ludzi, a skoro dla nich warunki są odpowiednie, to i mnie nie stanie się krzywda. Jeśli nie możecie mi dać nikogo do towarzystwa, pojedę sama. -

Bez pomocy zarzuciła siodło na grzbiet klaczy.

Stajenny przytrzymał uzdę.

- Nie chodzi tylko o śnieg, milady. Jest niebezpiecznie... Jeśli łaskawie zechcesz, pani, poczekać, zwrócę się do milorda...

Anna wyrwała mu uzdę z rąk.

- Co tam! Jestem tu już trzy tygodnie i nie widziałam żadnego niebezpieczeństwa. Zejdźcie mi z drogi.

Stary Jacob bezradnie zrobił kilka kroków do tyłu i stojąc, patrzył, jak panna opuszcza dziedziniec i przejeżdża przez opuszczony most. Mamy będzie mój los, kiedy milord się o tym dowie, pomyślał, lecz mimo to szybko ruszył po śliskich kamieniach w stronę zamku, żeby zameldować panu, co się stało.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Anna jechała przed siebie w znakomitym nastroju. Poza murami twierdzy, na otwartym polu, śnieg chrzęścił pod końskimi kopytami, ale nie było rozpadlin. Zapewne zresztą trzymała się traktu, bo podążała za śladami grupy, która wyjechała wcześniej. Poza tym przez cały czas, gdy tylko się odwróciła, widziała zamek.

Nie była głupia i dobrze wiedziała, że nie darmo Ravens - glass ma solidne umocnienia, bowiem działały one odstrasżająco na bandy maruderów. Nie miała zamiaru stać się ofiarą jakiegoś Szkota, któremu zabrakło rozsądku, by w taką pogodę siedzieć w domu. Już miała zawrócić, gdy nagle coś w oddali przykuło jej uwagę.

Niedaleko Ravensglass, w kotlinie, znajdowała się wieś. W pogodne dni z wysokich zamkowych wież Anna widywała nędzne chaty, a gdy kiedyś o nie spytała, dowiedziała się, że osada nazywa się Transmere i mieszka tam dwadzieścia, najwyżej trzydzieści osób.

Podjechała bliżej zaintrygowana tym, że z żadnego komina nie unosi się dym. Gdy znalazła się wśród chat, w powietrzu zawirowały śnieżne płatki. Przystanęła i spojrzała w niebo. Chmury zmieniły barwę z szarych na ciemnopurpurowe.

- Chyba zbiera się na śnieżycę, Jenny - mruknęła. - Powinniśmy wracać, ale najpierw poprosimy o jakąś przekąskę.

Zsunęła się z klaczy na ziemię i ostrożnie pokonując zmrożone koleiny, dotarła do najbliższej chaty. Szpicrutą zastukała do drzwi. Nie doczekała się reakcji, a we wnętrzu panowała absolutna cisza.

Przeszła do następnej chaty. Znów nikt nie odpowiedział na jej pukanie, tu jednak drzwi były uchylone. Zajrzała do środka i natychmiast cofnęła się na dwór. Co za smród! Z niechęcią pomyślała, że jej matka za nic nie dopuściłaby do czegoś takiego na terenie ich posiadłości.

Trzecia chata również stała otwarta i również bił z niej odór. Tym razem jednak Anna postanowiła dać znać o swoim przyjeździe. Wsunęła głowę do wnętrza i rozejrzała się dookoła. Dostrzegła ślady życia: na stole leżało jedzenie, chleb i kawał sera, ale gdy podeszła bliżej, przekonała się, że jedno i drugie jest pokryte warstwą pleśni. Marszcząc czoło, doszła do alkowy, odsunęła zasłonę i stanęła jak wryta. Widok zmroził jej krew w żyłach.

Na jedynym łóżku leżały trzy ludzkie ciała: mężczyzny, kobiety i dziecka, wszystkie zsiniałe. Mimo zimna doszło do rozkładu zwłok i to wyjaśniało odór.

Różne myśli cisnęły się do głowy wstrząśniętej Anny. Wieś duchów, kraina śmierci! Nie miała pojęcia, co tu zaszło, ale wiedziała, że musi natychmiast opuścić to miejsce.

Skoczyła do drzwi, po drodze zaczepiła nogą o strzępy jakiegoś nędznego chodniczka i ciężko upadła na śliskie klepisko. Natychmiast się poderwała, ale poczuła silny ból w prawej kostce. Skręciłam nogę, pomyślała, kuśtykając ku drodze.

Tymczasem na dworze rozszalała się zawieja. Płatki marznącego śniegu biły ją po twarzy, gdy usiłowała odnaleźć Jenny, którą zostawiła kilka metrów od chaty. Wreszcie doszła do spokojnie stojącej klaczy i z wysiłkiem wspięła się na siodło.

- Ravensglass, Jenny - powiedziała. - Wracamy galopem do zamku. - Ścisnęła boki klaczy i popędziła po drodze już prawie niewidocznej. Zanim jednak dotarła do obrzeży wsi, klacz potknęła się i omal nie przewróciła, a ona wyleciała z siodła i spadła na ziemię.

Świeża warstwa śniegu trochę złagodziła siłę upadku. Potłuczona i bardzo przestraszona Anna wstała, usiłując nie zwracać uwagi na ból w kostce, który znacznie się nasilił. Uchwyciła się uzdy Jenny.

- I co teraz? - Jenny poruszyła się. Jedną z przednich nóg miała dziwnie podkuloną. Anna przesunęła dłońią po tej nodze i wykryła obrzmienie. Serce jej zamarło. - Wielkie nieba! - powiedziała, starając się nie tracić ducha. - Zdaje się, że obie jesteśmy tak samo poszkodowane. Musimy znaleźć schronienie i poczekać, aż śnieżycy ucichnie.

Gdy podmuch wiatru na chwilę rozsunął białą zasłonę, niedaleko przy drodze dostrzegła drewniany budynek z krzywym, żelaznym krzyżem.

- Chyba kościół - mruknęła. - Chodźmy tam.

Klacz i jej pani pokuśtykały ku miejscu, które dla każdego chrześcijanina oznaczało bezpieczeństwo.

Jack Hamilton dowiedział się o wyjeździe Anny Latimar z zamku dopiero cztery godziny po fakcie. Wstał o świcie, by dopilnować, żeby goście, którzy wczoraj przybyli złożyć hołd królowej i wziąć udział w zabawie, dostali solidne śniadanie i prowiant na drogę. Potem wyjechał z nimi i eskortował ich przez kilka kilometrów, by w końcu zawrócić do zamku.

Po powrocie dowiedział się, że chce go widzieć Jej Wysokość, spędził więc następną godzinę w towarzystwie królowej, rozważając z nią możliwości opuszczenia Ravensglass. Zanim zajął do swojej komnaty, aby przebrać się do południowego posiłku, zamieć rozszalała się na dobre.

Przygotowując się psychicznie na następne popołudnie pełne bezcelowych uciech, zszedł do wielkiej sali i tam wreszcie znalazł go stary Jacob. Relacji stajennego Jack wysłuchał z niedowierzaniem.

- I pozwoliłeś jej wyjechać?!

- Nie miałem wyboru, sir - odrzekł skruszony Jacob. - Ta dama zawsze robi to, co chce... Ale do tej pory nie wróciła. Wyglądam jej cały czas.

Jack sapnął ze złości.

- Może wróciła z oddziałem, który był na patrolu?

- Nie, sir. Pytałem żołnierzy, ale żaden tej panny nie widział. Oni przyjechali tuż przed burzą, minęło już dużo czasu.

W wielkiej sali spokojnie jedzono. Elżbieta zajmowała miejsce u szczytu stołu, mając obok siebie Dudleya. Okna za ich plecami zupełnie zawiąło.

- Gdzie ona się podziewa? - mruknął z irytacją Jack. Przebiegł wzrokiem po miejscach, gdzie siedziały damy, ale nigdzie nie dostrzegł lśniących, czarnych włosów. Naturalnie Anna mogła być w swojej komnacie, ale okazało się, że pokojowa nie widziała lady Anny przez całe przedpołudnie, a lady Fitzroy była z tego powodu bardzo rozdrażniona.

- Jeden z chłopców powiedział mi, że wczoraj lady Anna wypytywała o Transmere - odezwał się Jacob. - Zobaczyła wieś z okna.

Transmere... Jack zamarł. Od dziesięciu lat uważał to miejsce za przekłętą, tam bowiem zginęła Marie Claire. Zaraz po tej tragedii chciał zrównać wieś z ziemią, ale naturalnie w końcu ustąpił przed głosem rozsądku i dalej wspomagał mieszkańców, by mogli produkować żywność dla potrzeb zamku. Tak zresztą działo się od stuleci. W każdym razie od tamtej pory stopa Jacka nie postąpiła w Transmere.

Przed dwoma tygodniami jeden z wieśniaków doczłapał piętnaście kilometrów do zamku z wiadomością, że we wsi wybuchła zaraza. Jack natychmiast wysłał tam swojego medyka.

ten wrócił i zameldował, że ludzie mają gorączkę z potami, ale na szczęście nie tę najgorszą. Doktor Rawley kazał dwóm swoim pomocnikom udać się do wsi i leczyć ludzi na miejscu, a ponieważ Jack miał pełne ręce roboty w związku z przyjazdem królowej, minęło sporo czasu, nim znowu spytał o Transmere.

Tym razem medyk zrobił ponurą minę. Choroba rozprzestrzeniła się we wsi jak pożar. Zmarli wszyscy, nawet dwaj pomocnicy medyka wysłani z Ravensglass. Transmere uznano za teren objęty zarazą i zabroniono tam wstępu.

Jack słuchał tego z głębokim smutkiem. Nienawidził Transmere, sama nazwa tej wsi przyprawiała go o dreszcze, ale był dobrym panem i dbał o swoich dzierżawców. W tej sytuacji jednak nic już nie mógł dla nich zrobić, zapamiętał więc tylko, by w odpowiednim czasie wysłać tam ludzi, którzy godnie pochowają zmarłych i spalą zabudowania.

Teraz wiedział, że nigdy sobie nie wybaczy, jeśli Anna Latimar rzeczywiście

pojechała do Transmere i zobaczyła te okropności, które niechybnie tam na nią czekały. Stary Jacob również miał grobową minę, więc Jack położył mu rękę na ramieniu.

- To nie twoja wina, przyjacielu. Jak sam powiedziałeś, ta panna często robi to, co chce, więc nie mogłeś jej zatrzymać. Wracaj na swoje miejsce i nie martw się.

Gdy staruszek odszedł, Jack popadł w zadumę. Miał nadzieję, że Anny nie ma w przeklętej wsi, jeśli jednak zapędziła się tam, to przynajmniej znalazła jakieś schronienie. Wezwał swojego zastępcę, wydał mu szczegółowe instrukcje i poszedł do stajni. Osiodławszy jak najszybciej Śmigłego, kazał znowu opuścić most.

Pierwszy raz w życiu Anna doświadczała najprawdziwszego przerażenia. Udało jej się dobrnąć do kościoła, ciągnąc za sobą Jenny. Budynek był biedny, wewnątrz składało się z zaledwie dwu pomieszczeń, z których mniejsze służyło jako zakrystia. Tam właśnie Anna wytarła grzbiet klaczy, używając do tego celu jednej ze swych halek, a potem okryła drżące zwierzę peleryną.

Przeszła do sąsiedniej sali i rozejrzała się dookoła. Całe wyposażenie kościoła stanowiły ołtarz, kilka surowych ław i rozpadające się krzesła. Usiadła na ławie, ale wkrótce zimno zmusiło ją do wstania. Wybrała mniejsze zło, chociaż ból skręconej nogi stawał się coraz silniejszy.

Marzła, tak zimno nie było jej nigdy w życiu, a w dodatku doskwierał jej głód, bo od poprzedniego dnia nic nie jadła. Miała wrażenie, że minęło już południe. Co najgorsze, nikt nie wiedział, gdzie jej szukać. Absolutnie nikt. Stajenny opowie o jej wyjeździe poza mury zamku, ale pewnie jest przekonany, że już wróciła. Musiała się więc liczyć z tym, że zostanie znaleziona dopiero następnego dnia.

A do tej pory zamarznię na śmierć, pomyślała smętnie.

Nie wpadaj w panikę, skarciła się surowo. Musisz wymyślić, jak bronić się przed zimnem.

Kuśtykając po kościele, zauważyła kamienny krąg umieszczony pośrodku, między ławami. Zaczernione krokwie powyżej wskazywały, że właśnie w ten sposób ogrzewano ten dom Boży.

Między kamieniami leżała sterta suchych drew na rozpałkę. Dzięki Bogu, pomyślała i spojrzała na pusty ołtarz. Tylko gdzie jest hubka i krzesiwo? Mimo bólu przez chwilę prowadziła poszukiwania, niestety, bez skutku. Na pewno znalazłaby potrzebne przedmioty w którejś z chat, ale wolałaby zamarznąć na śmierć, niż tam wrócić.

Niepocieszona, wróciła do zakrystii. Jenny spojrzała na swą panią, a Anna zerknęła zadrośnie na pelerynę przykrywającą klacz. Uniosła jeden róg okrycia i otuliła nim ramiona.

Potem objęła Jenny za szyję, zadowolona, że choć w ten sposób może trochę się ogrzać.

Nie miała pojęcia, jak długo stała na jednej nodze, uważając, by oszczędzać drugą, skręconą, ale mróz ciągnący od ziemi zaczął już ogarniać całe jej ciało, gdy drzwi kościoła otworzyły się i do środka wszedł Jack Hamilton. Strząsnął z peleryny grubą warstwę śniegu, potem zdjął kapelusz i otrzepał go, stukając o ścianę. Przez cały czas mierzył wzrokiem Annę.

- Czy naprawdę nigdy nie przestaniesz sprawiać mi kłopotów, pani? - spytał. Przeniósł wzrok na Jenny. - No, przynajmniej miałaś dość rozsądku, by zadbać o konia. Muszę zrobić to samo.

Gdy odwrócił się do drzwi, dziewczyna spróbowała zmienić pozycję. Noga, na której stała do tej pory, całkiem zdrętwiała, więc postawiła na ziemi drugą. Natychmiast krzyknęła z bólu i upadłaby, gdyby Jack błyskawicznie nie pokonał dzielącego ich dystansu, by ją podtrzymać.

- Skręciłam nogę w kostce - powiedziała i przygryzła wargę. - Naprawdę się cieszę, że cię widzę, panie - dodała, choć przyszło jej to z trudem, tak bardzo szczykała zębami.

- Czyżby? Chyba nie byłaś, pani, zaniepokojona i nie groziło ci omdlenie? Widzę zresztą, że włosy wciąż pięknie ci się kręczą.

Wziął ją na ręce i przeniósł do drugiego pomieszczenia, gdzie posadził ją na jednej z ław. Rozejrzał się dookoła.

- Tu zawsze było... o, jest.

- Znalazłam palenisko, ale nie miałam czym rozpalić ognia. - Chłód, który trochę ustąpił w chwili, gdy Jack ją niósł, zaatakował z nową siłą. Przypomniały się jej też okropne widoki z wioski.

- Coś znajdę. - Otworzył skórzaną torbę, którą miał na ramieniu. Chwilę później usłyszała stuk krzesiwa o hubkę i trzask suchego drewna. - Ale ogień niebawem zgaśnie.

Wyprostował się i ujawszy jedno z drewnianych krzeseł, kopnął w jego siedzisko. Mebel rozpadł się na kawałki, które Jack cisnął do ognia.

- Teraz muszę wprowadzić do środka mojego konia, a potem zajmę się twoją nogą, pani. Usiądź bliżej ognia. - Przyciągnął tam ławę, a Anna przekuśtykała kawałek i znów usiadła.

Gdy Jack wrócił, dziewczyna jak zahipnotyzowana wpatrywała się w ogień. Miała poczucie, że dookoła spełniają się czary, lecz jednocześnie nie mogła zapomnieć o bólu ani o przerażającym obrazie, który widziała w chacie.

Na zewnątrz powoli zmierzchało, więc w kościółku pojawiły się cienie. Wnętrze wypełniał czerwony blask ognia. Jack wziął płonące polano i obszedłszy cały kościół,

zapalił ogarki świec. Zrobiono je z marnego łożu zwierzęcego, toteż paskudnie cuchnęły, ale przynajmniej dawały odrobinę więcej światła.

- Teraz twoja kostka, pani... - Przyklął obok Anny i wyjął z pochwy krótki sztylet. - Trzeba rozciąć - powiedział.

- Moją stopę? - Spojrzała na niego przerażona.

- Trzewik. Ból trochę ustąpi, jeśli nic nie będzie ścisnęło opuchlizny. - Sięgnął za pazuchę i podał jej srebrną flaszkę. - Okowita. Napij się, pani.

- Nie potrzebuję. - Przecież damy nie piją czegoś takiego!

- Ale będziesz potrzebować - odparł.

Gdy mocno ujął obcas jej trzewika do konnej jazdy, syknęła z bólu. Odkorkowała flaszkę i wypila duży łyk wódki, a tymczasem Jack zaczął rozcinać miękką skórę.

- Jeszcze - powiedział, nie podnosząc głowy.

Upiła następny łyk i omal się nie zachłysnęła, bo Jack szybkim ruchem ściągnął jej trzewik. Nagły ból ją zamroczył, zadając kłam twierdzeniu Anny, że nigdy nie mdleje.

- Dzielna panna - mruknął. - Przyniosę trochę śniegu i obłożę nim opuchliznę. Na szczęście zaraz za drzwiami jest tego pod dostatkiem.

Gdy wrócił z kapeluszem pełnym białego puchu, Anna wpatrywała się w swoją stopę. Podczas nieobecności Jacka kostka prawie podwoiła swoją objętość. Była purpurowoczerwona i nadał puchła.

- Paskudne skręcenie - powiedział, delikatnie badając jej stopę dłońmi - myślę jednak, że kość nie jest złamana. Jak to się stało?

Anna głośno zaczerpnęła tchu, a Jack podniósł wzrok.

- Tam we wsi... - Jej głos zadrżał. - W jednej z chat...

- Tak? - Oderwał kawał płótna od swojego kaftana, zanurzył w topniejącym śniegu i delikatnie owinął zimnym kompresem nadwyręzoną kostkę.

- Jack... w tej wsi stało się coś strasznego...

- Wiem - odparł. Zręcznie zrobił bandaż z płótna, owinął nim stopę, zawiązał końce bandaża i znów na nią spojrzął. - Co widziałaś, pani?

- Troje ludzi. Wszyscy martwi. Małe dziecko... chyba młodsze od mojego brata... - Urwała, a łzy potoczyły się jej po twarzy. Nie starała się ich powstrzymać. Dopiero gdy Jack usiadł obok niej i otarł jej dłoń.

- Spokojnie, pani, nic nie mogłaś na to poradzić.

- Nawet się za nich nie pomodliłam. Kiedy doszłam w to święte miejsce, mogłam zrobić przynajmniej tyle. - Złożyła ręce w dziecięcym geście.

- Możemy pomodlić się teraz. - Razem ze swoimi żołnierzami odmówił już modlitwy za zmarłych w kaplicy w Ravens - glass, ale chciał pocieszyć Annę. - Panie, przyjmij, proszę, dusze swoich sług z Transmere i udziel im pokoju wiecznego.

- Amen - szepnęła Anna. Modlitwa i ciepłe ramię Jacka nieco podniosły ją na duchu.

Zapadła cisza przerywana tylko trzaskami polan.

- Czy jesteś głodna, pani? - spytał w końcu Jack.

- Tak... nie... Nie wiem... Jeszcze dzisiaj nie jadłam.

Wstał i ze swojej torby wydobyl zawiniątko, które podał Annie. Zajrzawszy do środka, zrobiła zdziwioną minę. Płaskie, szare suchary i plastry suszonego mięsa nie wyglądały zachęcająco.

- Dziękuję, ale chyba jednak nie jestem głodna. Co to właściwie jest?

- Żołnierskie zapasy. Suchary i wędzona wołowina. Powinnaś coś zjeść, pani. Wódki nie należy pić na pusty żołądek.

Rzeczywiście, cały świat wirował jej przed oczami. Anna wiedziała, że nie jest przyzwyczajona do mocnych trunków, więc posłusznie skubnęła kawałek suchara, ale zupełnie nie miał smaku. Znowu go odłożyła.

- Powetuję sobie za to przy kolacji - powiedziała.

- A kiedy spodziewasz się kolacji, pani? - spytał z powagą Jack. - Bo dziś wieczorem nie ma o tym mowy, to pewne.

- Jak to?

- Jesteśmy tu unieruchomieni. Kiedy wprowadzałem Śmigłego do środka, leżało już kilkanaście centymetrów świeżego śniegu. Gdybym nie zawołał, to w ciemności nigdy w życiu bym go nie znalazł. W tej zamieci dosłownie nic nie widać. Poza tym twoja klacz, pani, okulała.

- Wiem, potknęła się w jakiejś koleinie... Ale nie możemy zostać tutaj sami... bez przyzwoitki! Stracę dobrą reputację!

- Należało pomyśleć o tym przed wyjazdem, zanim znowu któryś z moich ludzi dostanie niewinnie burę z twojego powodu, pani.

- Mark Bolbey nie dostał jej niewinnie! - odburknęła. - Ze stajennym to naturalnie inna sprawa. Przykro mi, jeśli narobiłam mu kłopotów... ale przecież jesteśmy w najgorszym razie kilkanaście kilometrów od zamku. Na pewno doskonale znasz powrotną drogę, panie.

- Znam - przyznał. - Sam może nawet spróbowałbym wrócić, mimo tej śnieżycy, ale z dwiema kulawymi damami nie będę kusił losu.

- Mógłbyś, panie, sprowadzić pomoc.

- Łatwo ci narażać innych, pani - odparł z ironią. - Gdybym chciał ryzykować zdrowie moich żołnierzy w tak wątpliwej sprawie, to z pewnością od razu wziąłbym kilku z sobą. Wtedy byłabyś skompromitowana jeszcze bardziej.

Te lekceważące słowa pozostawały w jawnej sprzeczności z jego zachowaniem. Wyjechał z Ravensglass po rozmowie ze swoim zastępcą, Kitem Mandrake. Udzielił mu bardzo wyraźnej instrukcji: nikomu nie wolno opuścić zamku podczas jego nieobecności i nie należy organizować poszukiwań, w razie gdyby nie wrócił.

Kapitan Mandrake przyjął te instrukcje bez emocji. Doskonale wiedział, że jeśli ktoś ma odnaleźć zaginioną kobietę, to Hamilton jest najbardziej odpowiednim człowiekiem. A jeśli nawet komendantowi się nie uda, to przynajmniej będzie umiał zadbać o własną skórę. Mandrake nie znał żadnego innego człowieka, który lepiej potrafiłby radzić sobie w najtrudniejszych sytuacjach. Tymczasem jednak, co Jack dobitnie mu wytłumaczył, podstawowym obowiązkiem załogi jest dbanie o bezpieczeństwo i zadowolenie królewskiego gościa.

Jack wyjechał więc poza mury i okrążył zamek. Mimo że ślady zakrył świeży śnieg, uparcie prowadził poszukiwania. Wreszcie doszedł do wniosku, że innej możliwości niż Transmere nie ma.

- Jak uważasz, panie - odburknęła Anna. - Dziwię się, że w ogóle przyjechałeś. Po co?

- Mam wobec twojego ojca wielki dług wdzięczności i choćbym nie wiem co robił, nigdy w pełni go nie spłacę — odrzekł.

- Sama umiałabym się o siebie zatroszczyć! Jack zapiął skórzaną torbę.

- Dziwnie to brzmi w ustach kogoś, komu nie starczyło rozsądku na tyle, żeby rozpaścić ogień, do którego miał przygotowane drwa.

- Musiałabym wrócić do którejś chaty, żeby poszukać krzesiwa i hubki, a tego nie mogłam zrobić.

- Zmarli nie mogą skrzywdzić. - Jej naiwna szczerość całkiem go rozbroiła. - Tylko żywi.

- Boję się zmarłych - powiedziała z pewną emfazą. Wódka rozwiązała jej język. - Wiesz, panie, kiedy zmarła moja babka, nie mogłam znieść widoku jej zwłok, chociaż bardzo ją kochałam. Zresztą wolałam pamiętać ją żywą.. Nie rozumiem ludzi, którzy bałwochwalczo uprawiają kult zmarłych.

- Mówisz, pani, o mnie? - Jego oczy nagle spochmurniały.

- Czy nie pamiętasz Marie Claire takiej jak za życia?

- Czy nie pamiętam? - powtórzył gwałtownie. - Doskonale pamiętam, nie zapominam

ani na chwilę przez ostatnie dziesięć lat, sześć tygodni i dwa dni!

Tym zamknął jej usta. Nagle zmienił się nie do poznania. Zamiast zgorzkniałego, zamkniętego w sobie człowieka Anna zobaczyła młodego kochanka Marie Claire.

- Przepraszam - powiedziała po krótkim wahaniu. - Nie chciałam urazić twoich uczuć, panie. Wybacz mi. Czy jednak bez pogłębiania urazy mogę prosić, abyś mi o niej opowiedział? Chciałabym... chciałabym ją poznać.

Niechęć Jacka Hamiltona stała się niemal namacalna.

- Nigdy o niej nie opowiadam.

- Rozumiem, ale skoro spytałam, i to w dobrej intencji... Trochę złagodniał, nie odpowiedział jednak. Ognisko powoli dogasało, więc wstał i połamał na kawałki następne krzesło. Dorzucił suchego drewna do paleniska i patrzył, jak płomienie znowu strzelają w górę.

- Nie była piękna - odezwał się w końcu. - Gdybyście stanęły obok siebie, każdy mężczyzna patrzyłby tylko na ciebie, pani, ale dla mnie miała niezwykły czar. Odkąd ją poznałem, nie widziałem żadnej innej kobiety... nigdy potem.

Urwał, trochę zmieszany. Po tylu latach zbywania tego tematu milczeniem, nagle poczuł, że już może mówić o Marie Claire, choć i miejsce było dziwne, oddalone niecałe sto metrów od tego, w którym jego żona zginęła, i słuchacz też dość niezwykły. W każdym razie jego serce trochę odtajało.

Anna siedziała z rękami splecionymi na kolanach. Ból kostki już tak bardzo nie doskwierał, tępe pulsowanie dawało się wytrzymać. Całą uwagę skupiła na mężczyźnie, który siedział obok, wpatrzony w ogień.

- Była bardzo niewinna - ciągnął Jack. Przez wycie wichru ledwie słyszała jego głos. - Zupełnie nie znała życia, chociaż potrafiła przenikliwie osądzać ludzi. Zawsze jednak miała w sobie tyle ciepła, że traktowano ją zupełnie inaczej niż inne, bardziej światowe kobiety.

Uniósł dłoń do ust. Gdy wprowadzał konia do kościoła, zwierzę się spłoszyło i przygniotło jego rękę do chropowatej ściany, kalecząc wierzch dłoni.

- Z tego, co słyszę, wydaje się podobna do mojej matki.

- Do lady Bess? - Jack pokręcił głową. - Och, nie. Twoja matka była i nadal jest piękna. Kiedy służyłem u twego ojca jako paź, kochała się w niej męska połowa mieszkańców dworu, a Marie Claire nigdy nie miała tylu adoratorów. Między innymi za to ją kochałem... była tylko dla mnie... - Znowu zapadło milczenie.

- A potem ją straciłeś - powiedziała Anna. - I dziecko też... podwójna tragedia.

- Moje dziecko? - Jack wzruszył ramionami. Minę miał grobową. - Natychmiast

oddalbym to nic nieznaczące życie za jej życie. Gdyby tamtego dnia nie była w ciąży, może zdołałaby uskoczyć i wyjść cało z opresji...

Wyraz jego twarzy sprawił, że Anna znów zamilkła. Zdumiało ją, że powiedział coś takiego o własnym dziecku. Słyszała przecież nieraz opowieści o mężczyznach, którzy postawieni przed tragicznym wyborem, czy ratować dziecko, czy matkę, decydowali na korzyść dziedzica...

Nie powinna poruszać tego tematu. Jack Hamilton wprost przerażał ogromem swojego żalu. Przez dziesięć lat ten ból powinien nieco ucichnąć, ale nic takiego się nie stało.

Wstała i zrobiła niepewny krok w jego stronę. Mogła teraz położyć mu rękę na ramieniu.

- Już dobrze, dobrze - szepnęła tak, jakby uspokajała ranne zwierzę. - Wybacz, panie, że kazałam ci o tym mówić.

Spojrzał na nią z kwaśnym uśmiechem. Podobnie jak wcześniej Anna nabrała otuchy pod wpływem jego dotknięcia, tak teraz jemu pomógł dotyk jej smukłej dłoni. To dziwne, pomyślał. Anna jest zaprzeczeniem jego ideału kobiety, a mimo to czuje się przy niej tak swobodnie jak.

Gdy uznała, że się odprężył, odsunęła od niego.

- Chyba muszę jednak spróbować tego suszonego mięsa - powiedziała - bo naprawdę umieram z głodu!

Ta noc wyjątkowo się dłużyła. Jack ogołocił kościół ze wszystkiego, co nadawało się do spalenia, lecz i tak robiło się coraz zimniej. Mimo protestów, o świcie Anna była otulona wełnianą koszulą Jacka, kaftanem i podbitą futrem peleryną.

Nawet trochę pospała, tylko Jack nie zmrużył oka. Zanim do kościoła zaczęło się sączyć dzienne światło, cały drżał, a jego skóra zsiniała. Dobrze wiedział, że nie przetrzymają w tym miejscu następnej doby, muszą więc spróbować powrotu do Ravensglass.

- Jedź, panie - powiedziała Anna. - I jeśli możesz, sprowadź pomoc, gdy pogoda się polepszy.

- Nie mogę cię tutaj zostawić, kobieto! - odparł ze złością.

- Myśl trzeźwo.

- Nie chcę ci zawadzać, Jack! - odparła nie mniej zawzięcie.

- Szybko zawyrokowałeś, że to wszystko moja wina, w porządku, przyznaję, że tak jest, ale dlaczego zawsze musimy się kłócić?

- Bo brak ci rozsądku, pani - odparł szorstko. - Pogoda ustaliła się Bóg raczy wiedzieć na jak długo. Myślałaś, że ostatnia noc była wyjątkowa? Tu jest pogranicze, a ty miałaś

ledwie przedsmak tego, co będzie dziś i jutro. Przestań wreszcie szczebiotać i daj mi spokojnie pomyśleć, jak najłatwiej mogę przetransportować cię w bezpieczne miejsce.

- Mnie brak rozsądku? - zaperzyła się. - Wzajemnie! Gdyby któryś z twoich ludzi, z twojej starannie dobranej elity wojowników, znalazł się w takim trudnym położeniu, to czy wahałbyś się choć chwilę, by go zostawić?

- Zrozum, kobieto, że to co innego - odburknął, przez cały czas starając się trzeźwo rozważyć sytuację.

- A niby dlaczego?

- Bo muszę cię przetransportować w bezpieczne miejsce! Bo... - Jack, otępiony bezsenną nocą i tym, że pierwszy raz w życiu musiał układać plany przy akompaniamencie gadaniny upartej jak osioł baby, stracił zwykłą pewność siebie. - Zależy mi na tym, żebyś wróciła cała i zdrowa!

Trudno powiedzieć, kogo bardziej zaskoczyła ta deklaracja: jego czy ją. Oboje zrozumieli jednak w tej chwili, że połączyła ich szczególna więź. Anna prawie się uśmiechnęła.

- Dlaczego zawsze chcesz udawać przede mną twardego człowieka, panie, skoro dobrze widać, że jesteś bardzo miły?

- Pewnie z tego samego powodu, dla którego ty udajesz zuchwałą i pozbawioną uczuć ladacnicę, chociaż jesteś cnotliwą i bardzo miłą panną.

Jej śmiech odbił się echem o gołe ściany kościółka.

- No, nareszcie w czymś się zgadzamy. Oboje jesteśmy bardzo mili! Ponieważ jednak znajdujemy się w dość trudnym położeniu, powinniśmy połączyć siły.

Wstała i ostrożnie sprawdziła, czy może oprzeć ciężar ciała na uszkodzonej nodze. Ból nie okazał się dojmujący. W ciągu nocy Jack zmieniał jej kompresy, więc opuchlizna znacznie się zmniejszyła. Anna na pewno zdoła dosiąść konia, tyle że Jenny prawdopodobnie nie będzie w stanie unieść swojej pani.

- Musimy oboje jechać na twoim koniu, panie, żeby oszczędzić Jenny. I musimy się podzielić ciepłym odzieniem. - Ściągnęła z siebie jego pelerynę i kaftan.

Pięć godzin później dotarli do Ravensglass. Podróż była trudna, brnęli przez głębokie zaspasy, a śnieg padał przez cały czas.

Jack szedł piechotą i nie pozwolił Annie ani na chwilę opuścić grzbietu Śmigłego. Uparcie prowadził Jenny za uzdę, chociaż grabiała mu ręką, a Anna raz po raz chciała go zastąpić. Instykt podpowiedział mu właściwy kierunek i wiódł w stronę domu. Przy bramie Jack znalazł jeszcze dość sił, by grzmiącym głosem zażądać opuszczenia mostu. Zaraz potem

oboje otrzymali pomoc.

Zdrętwiała z zimna Annę zdjęto z końskiego grzbietu i zanesiono do jej komnaty. Podobnie potraktowano Jacka, który jednak najpierw wydał szczegółowe instrukcje co do opieki nad panną Latimar i końmi. Wkrótce oboje spali, napojeni imbirowym kordialem. I oboje mieli przed zaśnięciem podobne myśli.

Annie przyszło do głowy, że jeśli jeszcze kiedyś będzie musiała zrobić coś niemożliwego, to chciałaby mieć wtedy u swego boku Jacka Hamiltona.

Jack natomiast doszedł do wniosku, że gdyby trzeba było tego dnia stanąć do walki z Francuzami, chciałby dowodzić żołnierzami, którzy mieliby takie serce i takiego ducha, jak Anna Latimar!

Gdy następnego dnia Anna się ocknęła, przewróciła się na drugi bok i przez chwilę zastanawiała oszołomiona, gdzie jest i co się z nią dzieje. Spała wyjątkowo głęboko, bez żadnych marzeń sennych, więc przebudzenie było dla niej jak wyjście z gęstych chmur. Po chwili usiadła na łóżku.

- No, wreszcie się zbudziłaś. - Lady Fitzroy odłożyła robótkę i podeszła do nóg łóżka.
- Już prawie południe - dodała niezadowolona.

Anna odgarnęła do tyłu swoje długie czarne włosy i uśmiechnęła się niepewnie.

- Opiekujesz się mną, lady Maud? Bardzo jesteś miła.

- Tak mi polecono - odrzekła dama, pociągając nosem. - Lord Hamilton nakazał czuwać przy tobie przez całą noc i potem, póki się nie zbudzisz. - Trzeba też było regularnie dokładać drewna do kominka i co pewien czas wkładać do łóżka rozgrzane cegły owinięte we flanelę, pomyślała ze złością. Kosztowało ją to część nocnego odpoczynku.

Zdjęła nakrycie z kubka stojącego na stoliku przy łóżku i wsunęła naczynie do rąk Annie.

- Masz, pij, powinno jeszcze być ciepłe.

Anna upiła trochę mleka z miodem i cynamonem.

- Sprawiałam ci kłopot. Bardzo mi przykro.

- Przykro to dopiero będzie, kiedy usłyszysz, co ma ci do powiedzenia Jej Wysokość - odparła oschle Maud. - Co cię, u licha, opętało, żeby postąpić tak nierozsądnie i narobić wstydu królowej?

- Nie miałam pojęcia, że moja mała przejażdżka jest niebezpieczna albo może sprawić komuś kłopot - odrzekła ugodowo Anna.

- W to nie wątpię, ale żeby opuścić zamek bez pozwolenia... Jej Wysokość nie życzy sobie takiego zachowania swoich dam. - Maud zabrała pusty kubek i wyszła z komnaty, a

Anna zaczęła się ubierać, przez cały czas dumając o czekającym ją posłuchaniu u królowej.

Powinna trząść się ze strachu, myślała. Gdy się umyła, pożałowała, że nie ma służącej do pomocy przy układaniu włosów. W końcu byle jak wcisnęła długie pukle pod czepek, uklękła na ławie pod oknem i zaczęła przyglądać się zawiei. Mimo że w kominku trząkał wielki ogień, a ona miała na sobie ciepłe odzienie, wciąż odczuwała przenikliwie zimno. Jack miał rację, kościółek w Transmere był nędznym schronieniem, nie miałiby tam szansy przeżyć.

Ale wcale nie trzęsę się ze strachu! - uświadomiła sobie nagle i chuchnęła na szybę, żeby lepiej widzieć przez powstałe kółeczko. Mogłam wczoraj marnie zginąć, i pewnie tak by się stało, gdyby nie ten nadzwyczajny, zahartowany człowiek. Ktoś, kto otarł się o śmierć, zaczyna patrzeć na wszystko z zupełnie innej perspektywy. Doprawdy nie sposób się teraz obawiać kilku ostrych słów Elżbiety.

Musiała jednak wysłuchać reprimendy, więc powoli ruszyła na dół. Gdy znalazła się na krętych, kamiennych schodach, w akurat przeciwnym kierunku szedł mężczyzna. Spotkali się w przewężeniu, tuż przy zejściu do sali.

- Witam, lady Anno. - Jack skłonił głowę.

- Dzień dobry, Jack. - Odpowiedziała mu uśmiechem. - Jak się masz, panie? Czy nie zaszkoziła ci wczorajsza przygoda?

Wszedł dwa stopnie wyżej, żeby zrównać się z nią wzrostem. Teraz dzieliły ich zaledwie centymetry.

- Nie zaszkoziła - odparł krótko. - A tobie również nie, jeśli sądzić po twoim wyglądzie, pani.

Jego ton bardzo ją rozczarował. Po tym, co razem przeżyli, taka chłodna uprzejmość wydała jej się prawie niestosowna.

Uśmiech jej zamarł. To nie może być ten sam mężczyzna, który tak troskliwie dodawał jej otuchy w nie kończącej się drodze z Transmere. Który szedł w śniegu po pas, żeby mogła wygodnie siedzieć na końskim grzbiecie. Który, gdy zaczęła tracić ducha, na chwilę zdjął ją z konia i przytulił w śnieżnym oceanie, szepcząc słowa pocieszenia tuż przy jej zmarzniętym policzku.

- Już wysłuchałam dziś jednej nauki na temat mojego zachowania, a wkrótce mam dostać następną, więc nie krępuj się, panie, dołóż jeszcze swoją.

Jack, który dokładnie pamiętał każdą chwilę ich wspólnej podróży, także te czułości, przywarł plecami do ściany. W nocy nie miał kłopotów ze snem, przeciwnie, nachodziły go zdumiewające zjawy.

Odwiedziła go Marie Claire, bezcielesna jak cień, i nijak nie mogła współzawodniczyć z żywą, pełną wigoru kobietą. W tych snach najważniejsza była Anna, z bladą twarzą otoczoną burzą czarnych włosów i uśmiechniętymi, czerwonymi ustami. Jack był za to wściekły na pannę Latimar.

Teraz na kamiennych schodach w Ravensglass znowu poczuł wąty aromat pachnidła, który towarzyszył mu i drażnił jego zmysły przez całą drogę z Transmere.

- Dziękuję za pozwolenie, ale zostawię to Jej Królewskiej Mości. O ile wiem, jest od kilku godzin w nie najlepszym nastroju.

- Naprawdę? - Wbrew swym wcześniejszym śmiałym myślom Anna bardzo spuściła z tonu. Może zawiniło to, że Jack wycofał wsparcie dla jej osoby i zdawał się znów przebywać w tym nieosiągalnym miejscu, gdzie żył do tej pory? W każdym razie Anna dokuśtykała na dół pełna złych przeczuć.

Elżbieta nie kryła niezadowolenia ze swojej damy. Zaraz po posiłku wezwała Annę na posłuchanie w małym, zimnym przedsionku przy wielkiej sali. Od swoich dam oczekiwała nienagannego pod każdym względem postępowania i dobitnie dała temu wyraz.

Jednakże tego ranka, składając raport, Jack Hamilton zdołał jakoś wpoić królowej przekonanie o dzielności i determinacji, jakimi w trudnej sytuacji wykazała się panna Latimar, ponieważ zaś królowa wysoko ceniła obie te cechy, nie okazała się dla swej poddanej tak surowa, jak początkowo zamierzała.

Mimo to Anna odeszła z poczuciem, że została przykładnie skarcona. I nagle przyszło jej do głowy, że przez całe dwa dni ani razu nie pomyślała o Ralphie Montereyu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Odwiłz przyszła nagle pięć dni później. Mieszkańcy Ravens - glass spodziewali się tego, bo śnieg o tak wczesnej porze roku zawsze kończył się gwałtownym ociepleniem. Po dwóch dalszych dniach Hamilton uznał, że drogi stały się przejezdne i wysłał ludzi na rozpoznanie. Ci po powrocie poinformowali go, że obszar objęty opadami śniegu był stosunkowo niewielki, toteż królowa poleciła swej świcie przygotować się do rychłego wyjazdu.

Dzień przed wyjazdem, gdy wszystkie pozostałe damy, wśród rozgardiaszu i narzekań, gorączkowo się pakowały, panna Latimar postanowiła pójść na spacer. Ponieważ było błotniście, ciepło się ubrała i włożyła solidne trzewiki. Jej noga miała się już dużo lepiej.

Na zamglonym niebie ukazało się nawet blade słońce, co bardzo ucieszyło Annę. Gdy doszła do pomnika Marie Claire, usłyszała za sobą kroki, więc przystanęła. Jack Hamilton, który pierwszy raz od czasu śnieżycy zdołał zorganizować ćwiczenia batalionu, dał wojsku godzinę przerwy na posiłek, sam więc również miał wolną chwilę.

Skłonił się przed Anną.

- Cieszysz się pani wolnością i oddychasz świeżym powietrzem?

- Jak widzisz, panie, chociaż mam nadzieję, że tym razem nie skończy się to katastrofą. - Pomyślała, że jeśli celowo jej unikał od powrotu z Transmere, to robił to z dużym powodzeniem. Przez ten czas rzadko widywała go w wielkiej sali, a zamieniła z nim nie więcej niż kilka zdań.

Teraz też jej nie słuchał, tylko wbił wzrok w posąg zmarłej żony. Był ubrany w barwy swojego batalionu, lecz nie miał nakrycia głowy, a w ostatnich dniach ostrzygł się prawie na zero.

- Naturalnie cieszysz się, panie, z tego, że żołnierze znowu mogą ćwiczyć, a ty zająć się wojaczką.

- Co? Ach, tak. Jest bardzo łatwo stracić sprawność, oddając się jedynie zabawom pod dachem. - Wciąż przyglądał się w skupieniu marmurowej postaci.

- Przypuszczam, że jutro nas odprowadzisz, Jack, ale już teraz chciałam ci podziękować za gościnność i za to, że mnie uratowałeś, kiedy przez brak rozsądku znalazłam się w opałach.

Wreszcie na nią spojrział.

- Przedwcześnie się ze mną żegnasz, pani. Jadę z wami do Greenwich.

- Naprawdę?

- Naturalnie. Osobiście eskortowałem Jej Wysokość do Ravensglass, więc muszę dopilnować również, by bezpiecznie wróciła do swojego pałacu.

- Aha.

- Mam nadzieję, że nie sprawiłem ci tym, pani, przykrego zawodu.

Dlaczego on zawsze jest taki napastliwy? - zastanawiała się. Dlaczego ukrywa swoją wrażliwość, którą doskonale widziała w Transmere, a także w innych sytuacjach? Dla każdego obserwatora jest oczywiste, że Jack Hamilton to wyjątkowo troskliwy komendant i nawet najbardziej niedbałego rekruta traktuje z uwagą, choć szorstko.

- Ależ skąd! Skąd ci to przyszło do głowy, panie? Czy jednak zniesiesz ponowne rozstanie z Ravensglass?

Spojrzał na nią gniewnie. Anna miała na myśli jedynie jego obowiązki komendanta twierdzy, Jack jednak uznał jej słowa za aluzję do ponownego opuszczenia grobu Marie Claire.

Przez dłuższą chwilę mierzył ją wzrokiem. Ostatnio rzeczywiście jej unikał, co miało ścisły związek z jego poczuciem lojalności. Ta panna wkradała się do jego myśli, a nawet do snów, a to po prostu było zdradą wobec kobiety, która tak długo stanowiła treść jego życia!

- Sir? - przerwał mu rozmyślenia jeden z jego ludzi, który stanął obok w pozie pełnej szacunku. - Jest przy bramie dżentelmen, który domaga się, by go wpuścić.

- Jak się nazywa?

- Ralph Monterey.

Anna nie posiadała się ze szczęścia. Ralph przyjechał tutaj! Jack, zerknąwszy na nią, pomyślał, że panna wygląda tak, jakby ktoś zapalił świece w jej oczach. Szorstkim tonem nakazał podwładnemu wpuścić gościa i Ralph na pięknym koniu wjechał kłusem na dziedziniec.

Monterey opuścił Greenwich przy pięknej pogodzie. Zapewniono go, że dojedzie do celu bez kłopotów, po drodze jest bowiem wiele szlacheckich dworów, w których można się zatrzymać. Jednakże gdy miał przed sobą już tylko ostatni etap drogi, pogoda nagle się popsuła. Lord i lady Glenning z wielką serdecznością zaproponowali mu gościnę, póki natura nie stanie się bardziej łaskawa.

We dworze przebywało wówczas dość dużo ludzi, toteż Ralph bardzo miło spędzał tam czas. Tom Glenning zapewnił go, że orszak z Greenwich bez kłopotów dojechał do Ravens - glass i zaproponował wspólny wyjazd do twierdzy, gdy tylko przyjdzie odwilż. Stosownego dnia okazało się jednak, że lord jest niedysponowany, więc Ralph ruszył w drogę sam.

Teraz podjechał do miejsca, w którym stała Anna, zeskoczył z konia i zamiótł przed nią ziemię kapeluszem.

— Anno, moja droga, jak dobrze znów cię zobaczyć. Tyle czasu tutaj jechałem. Czy już całkiem we mnie zwątpiłaś?

Dziewczyna pomyślała nie bez poczucia winy, że od wielu dni prawie nie myślała o swym narzeczonym. Teraz jednak mu to wynagrodziła, nadstawiając policzek do pocałunku.

Jack przyglądał im się w milczeniu. Stanowczo zbyt dużo czasu spędził pod dachem w towarzystwie kobiet, a że jego ludzie korzystali z tego, pijąc wino, grając w karty i bawiąc się do późnej nocy, zatracili część swoich walorów. Tym chyba należało tłumaczyć jego irytację na widok spotkania dwojga zakochanych.

Okrywszy twarz Anny pocałunkami, Ralph wyciągnął rękę do Jacka.

- Witam, Jack. Widzę, że należy ci się ode mnie podziękowanie za dobrą opiekę nad tą damą. Wygląda przepięknie, czyż nie?

Jack niedbale uściśnął podaną rękę.

- Wcale nie musiałem się nią opiekować, bowiem panna Latimar mogłaby służyć za wzór dobrego gościa.

- W to nie wątpię. - Ralph rozejrzał się dookoła. - Tutaj chyba nic się nie zmieniło.

- Nic - przyznał Jack. - Przepraszam bardzo. - Odwrócił się i odszedł.

- On też się nie zmienił — roześmiał się Ralph, patrząc za znikającym komendantem. - Pewnie nie wiesz, najmilsza, że kiedyś byłem członkiem wesolej bandy Hamiltona w Ravensglass.

- Rzeczywiście, nie wiem. - Anna zupełnie nie mogła sobie wyobrazić Ralpha w tej sytuacji, ale przecież jego ojciec należał do najbardziej zasłużonych żołnierzy króla Henryka, zrozumiała więc, że właśnie tutaj wysłał swojego starszego syna na naukę wojennego rzemiosła. - To bardzo przyjemni kawalerowie, musiałeś czuć się jak w swoim żywiole.

- Dziękuję za zamierzony komplement - odparł Ralph z uśmiechem - ale prawdę mówiąc, przez całe dwanaście miesięcy czułem się tu fatalnie. Nic dziwnego, skoro dowódca jest takim ponurakiem. - Odwrócił się, zdążył jednak zauważyć grymas niezadowolenia na twarzy Anny.

Elżbieta przyjęła Ralpha Monterey a z wielkim ukontentowaniem. Przystojni mężczyźni zawsze ją pociągali, a tym, którzy mieli również cięty język, wprost nie potrafiła się oprzeć. Gdy do tego usłyszała, że odwiedzając Glenningów, Ralph dowiedział się o pobycie swojej pani w Ravensglass i przyjechał specjalnie po to, by towarzyszyć jej w drodze powrotnej do Greenwich, poczuła jeszcze większe zadowolenie.

Drobne minięcie się z prawdą ze strony Ralpa nie było wyłącznie przejawem egoizmu. Gdyby wyznał królowej, że przejechał tyle kilometrów z Greenwich dla jej najmłodszej damy dworu, to Elżbieta odniosłaby się do niego bardzo chłodno, a w dodatku uprzykrzyła życie Annie. Jeśli ktokolwiek starał się o cokolwiek w otoczeniu Elżbiety Tudor, musiał stwarzać wrażenie, że podejmuje swe wysiłki specjalnie dla Jej Wysokości. Ta uznała więc przyjazd Ralpa za godny hołd i stosowne zakończenie interesującej, choć nieoczekiwanej długiej wizyty w Ravensglass. Nic dziwnego, że królowa, wystrojona w szmaragdowozieloną suknię z brylantami, zaprosiła Ralpa na honorowe miejsce obok siebie podczas kolacji, aby wysłuchać wszelkich pozdrowień, jakie zebrał po drodze, a także by jeszcze raz mógł złożyć dowody lojalności wobec swojej pani.

Robert Dudley przyglądał się manewrom Ralpa i reakcjom królowej z ironicznym uśmiechem. Przy Elżbiecie wciąż pojawiali się potencjalni rywale, a teraz takim był Monterey. Zdając sobie sprawę z własnej pozycji, traktował to jak coś naturalnego, Jej Wysokość bowiem wręcz prowokowała, by zabiegać o jej względy, ale Monterey nie lubił, ten człowiek miał bowiem w sobie odstręczający chłód.

Osobiście nie interesował go romans Ralpa z panną Latimar, ale lubił Annę, a jej brat George należał do jego najbliższych przyjaciół. Robert Dudley, książę Leicester i nieformalny małżonek królowej, miał wiele wad i gdy trzeba, bywał cyniczny, szczerze jednak przejmował się losem bliskich sobie osób. Teraz lekko zmarszczył brew, doskonale bowiem wiedział, że kobieta, która wyszłaby za Monterey, sprokurowałaby sobie los nie do pozazdroszczenia.

Gdy Elżbieta została poproszona do jednego z żywych tańców, Dudley, nie kryjąc złośliwości, powiedział:

- Mój drogi Ralpie, tak piękne słowa płyną z twoich ust przez cały wieczór, a ja myślałem, że przejechałeś taki szmat drogi wyłącznie po to, żeby zobaczyć małą lady Annę.

Monterey spojrzał na niego chłodno.

- Po co to mówisz?

- Wspomniała mi o tym, naturalnie poufnie, wymieniona dama, ale twój przyjazd do Ravensglass nadaje całej sprawie bardziej formalny wymiar.

Ralph okręcił na placu pierścień, który dostał od Anny. Kamień w nim był tak piękny, że nawet przy nikłym blasku świec cudownie błyszczał niebieskawymi refleksami.

- Nie powiedziałbym tego. Nasza umowa nie ma oficjalnego charakteru, póki nie zostaną ustalone szczegóły. Byłbym więc zobowiązany, Leicester, gdybyś na razie nikomu o tym nie wspominał.

Robert skubnął swą lśniąca brodę.

- Nieustalone szczegóły? W takim razie powinieneś być czujny i póki co, uważać na pannę. Ona cieszy się tutaj wielkimi względami.

Ralph rozejrzał się po sali z pogardliwą miną.

- Nic dziwnego, że robi tu furorę, bo chłopcy Hamiltona są bardzo spragnieni kobiet. Chyba że mówisz również o sobie.

Robert przyjrzał się Elżbiecie komplementowanej przez kapitana Mandrake'a. Od dawna już nauczył się znosić bez mrugnienia okiem zręczne, obraźliwe aluzje, ale ich nie zapominał.

- Wcale nie mówiłem o chłopcach. Jack Hamilton, mimo siwych włosów, wygląda tak młodzieńczo, że nie widać, ile naprawdę ma lat.

- Hamilton? - Ralph parsknął śmiechem. - Z jego strony nie obawiam się rywalizacji. Odkąd stracił tę swoją myszkę, jest taki, jakby zamarzył w bryle lodu.

- To prawda, ale zdaje mi się, że podczas przymusowego pobytu w Transmere Anna zdołała rozpalić niewielki ogień i niewykluczone, że lód powoli topnieje.

Ralph nagle spojrzał na Roberta z wielkim skupieniem.

- Wybacz, ale nie rozumiem, co próbujesz mi zasugerować.

- Niczego nie sugeruję. Naturalnie gdyby chodziło o innego dżentelmena, z pewnością mógłbym nie tylko domniemywać, ale, jak sam mówisz, Hamiltonowi można ufać nawet wtedy, gdy w grę wchodzi tak smakowity kąsek, jak Anna Latimar.

- Wołałbym, żebyś powiedział mi wprost, o co ci chodzi.

- Bardzo przepraszam... Byłem pewien, że dama, o której mówimy, sama wprowadzi cię w szczegóły. Skoro jednak... - Dudley opowiedział Ralphowi historię niefortunnej przejażdżki, a na zakończenie kpiąco westchnął. - To doprawdy było budujące widzieć, jak bezpiecznie wracają: ona na wpół zamarznięta na jego wspaniałym koniu, on ledwie żywy po marszu w śniegu. A żebyś widział, jak po tym wszystkim energicznie wyniszczył swoim ludziom, w jaki sposób mają zadbać o ciepło i wygodę tej panny... - Z satysfakcją obserwował, jak twarz Ralpha pochmurnieje. - Mój drogi przyjacielu! Z pewnością nie ma potrzeby robić tak ponurej miny... - Mówił jednak już w powietrze, bo Ralph nagle wstał i wszedł między tańczących, żeby poszukać Anny.

Wkrótce zabrał ją spod opieki czerwieniącego się pazia, który troszczył się o jej dobre samopoczucie i pilnował, żeby nie sforsowała skręconej nogi. Wszedł z panną Latimar do przedsiönka. Dokonał bardzo niefortunnego wyboru, było to bowiem dokładnie to samo miejsce, w którym tydzień wcześniej Anna wysłuchiwała bury królowej za swoją nieobecność w

zamku.

Bez wstępów spytał gniewnie:

- Czy to prawda, że spędziłaś noc sam na sam z Hamiltonem?

- Uspokój się, Ralph! Nie ma powodów do takiego surowego tonu. To tylko niefortunny zbieg okoliczności, łatwy do wytłumaczenia.

- Wytłumacz więc, proszę.

Anna zaczęła mu opowiadać o swojej eskapadzie, choć była tym bardzo zirytowana. Ktoś niewątpliwie chciał narobić jej kłopotów, ale mimo to narzeczony nie powinien patrzeć na nią w tak oskarżycielski sposób ani tak agresywnie się odzywać. Kilka razy przerywała opowiadanie, gubiła wątek, w końcu zaplątawszy się na dobre, przerwała.

- W każdym razie spędziłaś z nim noc? - bardziej stwierdził, niż spytał Ralph, który prawie jej nie słuchał. - Ale dlaczego? Przecież Transmere jest zaledwie kilkanaście kilometrów stąd...

- Wiem, Ralph - powiedziała Anna, próbując jeszcze raz odwołać się do rozsądku - ale każdy kilometr w taką pogodę trzeba pomnożyć przez sto. Zapewniam cię, że droga do Ravensglass była wtedy absolutnie nie do przebycia. Nie miałam wyboru.

- Może nie chciałaś mieć.

Anna zbladła. Zrozumiała, że powinna zaraz na samym początku opowiedzieć Ralphowi, co zaszło, ale oboje byli tacy szczęśliwi ze spotkania, tak pochłonięci tym, co powiedział jej ojciec o planowanym małżeństwie... Zresztą tamto wymknęło po prostu z fatalnego zrządzenia losu i... Co właściwie Ralph miał na myśli?

- Nie pojmuję, co chcesz powiedzieć, Ralph! Córka Harry'ego Latimara nie powinna być oskarżana o to, co bez wątplenia sugerujesz, zwłaszcza nie przez człowieka, który twierdzi, że ją kocha i chce pojąć za żonę!

- Moja żona musi mieć nieposzlakowaną opinię.

- Ty jeden masz jakieś podejrzenia, Ralph!

To była prawda. Królowa i współtowarzyszki bardzo ją zburczały, ale żadna ani razu nie dała jej do zrozumienia, że dopuściła się czegoś nieprzyzwoitego.

Podnieceni kłótnią, mówili coraz głośniejszym głosem, przez co zwrócili na siebie powszechną uwagę. Wysoki cień oderwał się od jednej ze ścian i stanął obok nich.

- Nie znam powodu tego sporu - powiedział cicho Jack Hamilton - ale prosiłbym, żebyście przenieśli go w inne miejsce. Wielka sala w moim domu to nie ring do walki z niedźwiedziem. - Rozsunął kotarę i ich oczom ukazały się drzwi prowadzące z przedsionka do niewielkiego pomieszczenia obok. Przeszli tam wszyscy troje.

- Powodem tego sporu jest twoje niedawne postępowanie wobec tej oto damy, Hamilton!

- Moje postępowanie...? Ach, rozumiem, że mówisz o niefortunnej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się mniej więcej tydzień temu. Z pewnością nie muszę ci tłumaczyć, że nie masz prawa niczego zarzucić lady Annie.

- Obawiam się jednak, że tłumaczenie jest konieczne.

- Ralph! - krzyknęła Anna. - Co ty mówisz?

- To, co każdy dżentelmen powiedziałby na moim miejscu. Nie winię cię, moja droga. Moim zdaniem wina w całości leży po stronie Hamiltona i Hamilton musi za to odpowiedzieć.

- To nieprawda - żarliwie zapewniła go Anna. - Gdybyś tylko wysłuchał tego, co ci mówiłam... że przez brak rozsądku opuściłam zamek, że sama się naraziłam... Jack mnie uratował! Doprawdy, Ralph, powinieneś uściskać mu rękę i serdecznie za to podziękować!

- Nie zamierzam robić ani tego, ani tego - odparł zimno Monterey. - Mam na myśli zupełnie co innego. - Skłonił się przed Jackiem. — Chyba wiesz, o co chodzi, Hamilton. Oczekuję, że dasz mi satysfakcję, naturalnie w odpowiednim czasie i miejscu. - Spojrzał ze złością na Annę i odszedł.

Popatrzyła za nim z osłupieniem.

- Co takiego? On chyba nie...

- Obawiam się, że tak - powiedział Jack. Niewychowany szczeniak, pomyślał, żeby wyzwać mnie w moim własnym domu! Nie podobało mu się zachowanie Monterey'a, ale jednocześnie pomyślał, jak zadziwiająco niszczącą siłą dysponuje taka kobieta, jak panna Latimar.

Anna znalazła w tym skąpo umeblowanym pomieszczeniu krzesło i bezsilnie na nie opadła. Wyglądała na zrozpaczoną.

- Och, nie! Nie może do tego dojść!

- Nie dojdzie - odparł energicznie Jack. - To byłoby zwykłe morderstwo. Ten głupiec nie ma nawet pojęcia, czego się domaga. Na jego miejscu nie oddawałbym życia za nic.

Wcale nie zamierzał rzucić obelgi pod adresem Anny, choć i tak można było odczytać jego stwierdzenie, ale Jack, który nieraz ryzykował życie dla ważnych i godnych powodów, gardził pojedynkami. Uważał je za rozrywkę mężczyzn, którzy nie mają poważnych obowiązków.

Jako młody człowiek widział pojedynki z tak błahych powodów, jak nadeptanie komuś na nogę w tańcu albo wybór identycznego kostiumu na bal maskowy. Rzecz jasna, w

batalionie stacjonującym w Ravensglass obowiązywał surowy zakaz pojedynków.

Anna popatrzyła na niego w milczeniu. Naturalnie ucieszyły ją te słowa, za nic bowiem nie chciała, by z jej powodu dwaj mężczyźni stawali do honorowej rozprawy, zwłaszcza że przyczyna była absurdalna i z honorem w istocie nie miała nic wspólnego. Trochę jednak rozumiała uczucia Ralpa i złościło ją, że Jack traktuje je tak lekceważąco.

- Nie martw się, pani - powiedział kwaśno Hamilton, błędnie interpretując jej milczenie. - Znajdę jakiś rozsądny powód, żeby uniknąć tego spotkania, a twoja reputacja na tym nie ucierpi.

Anna wstała.

- Ja tego nie sprowokowałam! - krzyknęła ze złością. - Dlaczego zawsze uważasz, panie, że to ja jestem kością niezgody?

- Bo zwykle jesteś, pani - odparł szorstko. - Przynajmniej w tym krótkim okresie, gdy się znamy.

- Zawsze myślisz o mnie jak najgorzej! A ja zwykle niczemu nie jestem winna.

- Pewnie, że nie - sarkastycznie przyznał Jack. - Nie jesteś winna temu, że uwodzony przez ciebie oficer próbował się posunąć krok dalej! Ani temu, że wbrew zdrowemu rozsądkowi jeździsz po nieznanym terenie podczas zawiei. Ani temu, że wskutek twoich podszeptów ten młody człowiek, w którym się kochasz, nabrał przekonania, jakobym cię skompromitował.

Anna była już bliska łez.

- Nic z tego nie zrobiłam! - oburzyła się. - To znaczy, owszem, wyjechałam poza mury i to było lekkomyślne, ale...

och, sama nie wiem, dlaczego zawsze coś takiego mi się przytrafia.

Jack przesunął palcem po swojej kryzie. Zawsze źle się czuł w eleganckim stroju, zdecydowanie wolał praktyczne odzienie. W ostatni wieczór pobytu królowej ubrał się jednak odświętnie i teraz bardzo mu przeszkadzał zarówno sztywny aksamitny kaftan, jak i biżuteria na rękach i w uszach.

Te klejnoty od wielu pokoleń znajdowały się w posiadaniu jego rodziny, a Marie Claire uwielbiała, gdy je nosił. Brylanty Hamiltonów cieszyły się wielką sławą, więc włożył je na znak szacunku zarówno dla zmarłej żony, jak i dla królowej. Zwykle ograniczał się do swojej obrączki, przerobionej na kolczyk, i obrączki Marie Claire, którą w straszny dzień pogrzebu zdjął z jej smukłego palca.

- Myślę, Anno - powiedział już łaskawszym tonem - że jest tak: jeśli ktoś się wyróżnia w wielu dziedzinach, ma nieprzeciętną urodę i liczne talenty, to spoczywa na nim pewna

odpowiedzialność. Jeśli na przykład zwraca się uwagę innych ludzi i gromadzi się ich wokół siebie, to łączy się to również z pewnym obowiązkiem. Czy rozumiesz, pani, o czym mówię?

Bez słowa skinęła głową. W przeszłości ten dar był dla niej wyłącznie źródłem szczęścia i radości, lecz teraz, gdy znalazła się wśród innych ludzi, jej życie się zmieniło. Bardzo więc ją zainteresowała ta nieoczekiwana analiza jej charakteru, a jeszcze bardziej to, że ktoś poczynił takie spostrzeżenie.

- Skoro zgadzasz się, pani, że tak jest - ciągnął Jack - to może w przyszłości postarasz się lepiej rozpoznawać niebezpieczne sytuacje?

- Czy naprawdę sądzisz, panie, że mam nieprzeciętną urodę?

Chyba po próżnicy strzepił sobie język. Z całej jego przemowy Anna wychwyciła jedno, jedyne sformułowanie, które najbardziej do niej przemówiło.

- Powiedziałem to ostatnio przynajmniej dwa razy. Czy jeszcze wątpisz, pani? „Włosy jak wygładzony heban, oczy jak gwiazdy, o niebo piękniejsze niż u zwykłych śmiertelników i tak nieprawdopodobnie błękitne, że człowiek może utonąć w ich oceanicznej głębi”. To nie ja napisałem, ale przeczytałem te słowa na kartce, którą skonfiskowałem jednemu z moich ludzi. Zamiast ćwiczyć, nieszczęśnik tracił czas na układanie poematu o tobie, pani, a minę miał natchnioną niczym sam Dante.

Nie spuszczać z niego wzroku, Anna odrzekła:

- To nie wszystko. Wygląd zewnętrzny i wrodzone talenty nie decydują o tym, jaki jest człowiek. To, co naprawdę ważne, jest ukryte.

Zapadło znamienne milczenie. W pomieszczeniu rozsnął się już mrok, więc Jack widział teraz tylko jasny owal jej twarzy i wielkie, ciemne oczy. Przypomniały mu się intrygujące sny, które naszyły go po ich powrocie z Transmere, ale nie miał odwagi o nich myśleć.

Podał jej rękę.

- Chodźmy, pani, odprowadzę cię do reszty gości. Wygładziła pogniecione spódnice.

- Doceniam, panie, to, co powiedziałaś o wyzwaniu Ralpa. Jak sądzisz, dlaczego chciał się z tobą pojedynkować?

Jack nie zamierzał zdradzić jej swych myśli, uważał bowiem Montereyą za zakochanego w sobie bufona i głupca. Owszem, w przeszłości Ralph stoczył pięć pojedynków i wszystkie rozstrzygnął na swoją korzyść, ale miał w nich za przeciwników bardzo młodych chłopców, a okoliczności starć niewiele miały wspólnego z honorem. Jack nie chciał jednak stawać między Anną i jej ukochanym.

- Nie mam pojęcia - odrzekł. - Pewnie tak kazała mu duma. Montereyowie są sławnym

rodem, więc dumy pewnie mają w nadmiarze.

Orszak z Ravensglass dotarł do Greenwich w następnym tygodniu. Podróż nie była męcząca. Po opuszczeniu błotnistego Northumberlandu dalej jechali już bardzo dobrymi drogami. Jack często jednak podnosił wzrok ku zmieniającemu się niebu i myślał, że zła pogoda, która dała o sobie znać na północy, może dotrzeć również bardziej na południe.

Jechał obok Elżbiety i Dudleya, uparcie trzymając się tego miejsca w szyku, był bowiem zdania, że w drodze z Ravens - glass właśnie do niego należy sprawowanie pieczy nad królową.

Bardzo irytowało to Dudleya, który, jako wielki koniuszy, z urzędu odpowiadał za bezpieczeństwo królowej podczas wszystkich podróży, mimo to Leicester nie próbował wszcząć dyskusji na ten temat. Zresztą nie potrafił wykrzesać z siebie prawdziwej niechęci do Hamiltona, Jackowi bowiem, w odróżnieniu od większości dworzan, całkiem zbywało na ambicji. Po prostu jasno dawał do zrozumienia, że spełnia swój obowiązek.

Reszta podróżnych jechała grupkami. Damy dwora znalazły się obok siebie, otoczone przez wybranych ludzi z batalionu Hamiltona, a przednią i tylną straż stanowili żołnierze wzięci przez królową z Greenwich. Jedna Anna Latimar jechała samotnie i tępo wpatrywała się w trakt przed sobą. Była zbyt zafasowana, by z kimkolwiek rozmawiać.

Ralph wciąż jeszcze się na nią gniewał. W zamku podczas śniadania siedział przy królowej, a na Annę w ogóle nie patrzył. Potem, w przedwyjazdowym zamieszaniu, nie udało jej się zwrócić na siebie jego uwagi, on zaś nawet nie pomógł jej dosiąść konia, chociaż postarał się, żeby wszyscy widzieli, jak służy pomocą lady Fitzroy i lady Warwick. Musiała skorzystać z usłużności starego Jacoba, więc gdy znalazła się w siodle, przesłała stajennemu piękny uśmiech.

- Dziękuję, Jacobie. Przykro mi, że miałeś przeze mnie kłopoty z lordem Jackiem.

Zmrużył oczy.

- Nie martw się, pani. Komendant nie jest człowiekiem, który szuka winy tam, gdzie jej nie ma. - Sprawdził popręg i siodło, po czym odsunął się, by Anna mogła dołączyć do orszaku.

Czy to możliwe? - myślała Anna. A mnie zawsze dostaje się od niego za niewinność!

Nie cieszyła jej ta podróż. Po drodze zatrzymywali się w różnych szlacheckich dworach i wszędzie byli witani z entuzjazmem, ale jej nie sprawiało to najmniejszej przyjemności, ponieważ Ralph wciąż się do niej nie odzywał. Gdy już zbliżali się do Greenwich, Jack Hamilton wreszcie opuścił swą pozycję przy królowej i poczekał na Annę.

- Wyglądasz, pani, na bardzo zmęczoną - powiedział. - Czy zaznałaś niewygód u

naszych gospodarzy, którzy gościli nas po drodze? Czyżbyś dostawała złe kwatery?

Anna osłoniła się kołnierzem przed silnym wiatrem.

- Nie o to chodzi, Jack.

- Cóż więc się stało?

- Jeśli wydaję się zmęczona, to dlatego, że pęka mi serce. Od tamtego wieczora w Ravensglass Ralph nie odezwał się do mnie ani słowem.

W pobliżu pałacu mocno wyjeżdżona droga zmieniła się w błotnistą maź. W pewnej chwili Jack wyciągnął ramię i złapał za uzdę Jenny, gdy klacz zapadła się po pęciny w kałuży i omal nie upadła.

- Dziękuję - powiedziała Anna. - Znow okazałam się nieuważna... - Po pewnym czasie spytała niespodziewanie: - Czy rozmawiałeś, panie, z Ralphem o tym, co się stało tamtego wieczoru?

Hamilton podniósł głowę i zobaczył ponurą wieżyczkę pałacu celującą w niebo.

- Hm? Och, nie. Myślę, że Ralph porozmawia najpierw z przyjaciółmi i wyznaczy sekundantów, bo chce załatwić wszystko formalnie, ale nie martw się, pani, z pojedynku nie będzie. - Zawahał się. W ten burzy dzień panna Latimar wydała mu się zupełnie bezbronna.

- Wiesz, Anno, przyszło mi do głowy, że to, co wtedy powiedziałem o honorze... och, to wcale nie miało zabrzmieć tak, jakbym uważał, że twój honor nie ma znaczenia. Jak zwykle źle się wyraziłem.

Uśmiechnęła się kącikiem ust. Tym zdaniem Jack przypomniał jej nagle ojca, earl bowiem często twierdził, że nie umie wyrazić swoich myśli, choć nikt nigdy nie miał wątpliwości co do treści jego słów. To samo dotyczyło Jacka Hamiltona.

- Zrozumiałam cię, panie, wtedy, i teraz też się zgadzam. To nie była ani twoja, ani moja wina, Jack.

- A więc znowu doszliśmy do porozumienia - stwierdził. - Jeśli nie zachowamy ostrożności, może nam to wejść w nawyk. Póki co, dojechaliliśmy do Greenwich.

Jak zwykle miał złe przecucia, gdy musiał przebywać w otoczeniu, do jakiego nie został stworzony. Od dworskiego życia odpychało go niejedno: brak przestrzeni, nadmiar ludzi, z którymi nic go nie łączyło, hałas, nieustanne intrygi w walce o pozycję i łaski, nie kończące się dyskusje o modzie, fryzurach i ostatnich tanecznych krokach, jako że mężczyźni w tych kręgach niewiele różnili się od kobiet. Jednak najgorsze było to, że w tym rozgardiaszu nie sposób znaleźć miejsce, gdzie człowiek mógłby pobyć sam, tylko ze swoimi myślami.

Wprawdzie nalegał na to, by osobiście eskortować Jej Wysokość do pałacu w

Greenwich, lecz przez cały czas wiedział, że może to oznaczać powrót do Ravensglass dopiero na wiosnę, gdy drogi znów staną się przejezdne. Nie żałował swojej decyzji, wiedział jednak, że jej konsekwencje niełatwo przyjdzie mu znosić.

Z rezygnacją przemierzał wielką połąć trawy ciągnącą się przed pałacem, a nad nim zbierały się nisko płynące, ciemne chmury.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Również Anna wracała do królewskiej rezydencji z mieszanymi uczuciami. Gdyby było to Richmond albo Hampton, które znajdowały się w pobliżu Maiden Court, byłaby o wiele szczęśliwsza, rozpaczliwie bowiem potrzebowała rady matki i ojca.

Towarzyszki służby serdecznie ją powitały w oficjalnej królewskiej sypialni, achami i ochami reagowały na wszystkie opowieści o Ravensglass - chociaż pominęła milczeniem przygodę w Transmere - i w ogóle okazywały na każdym kroku, że jej powrót jest mile widziany.

Zaraz pierwszego wieczoru lady Allison powiedziała coś, co bardzo podniosło Annę na duchu.

- Wiesz, jest w Greenwich twój brat George z żoną. Natknęła się na nich, schodząc na swoją pierwszą kolację po powrocie. George podniósł głowę i skrzyżował z nią spojrzenia.

- Anno! - Objął ją, gdy radośnie się na niego rzuciła, a potem we troje z Judith weszli do wielkiej sali.

- Wyglądasz na bardzo szczęśliwego, George - powiedziała Anna nieco łamiącym się głosem, gdy usiedli przy jednym z długich stołów i nałożyli sobie na talerze różne specjały.

- Czemu miałyby być inaczej, siostrze? - Spojrzał z zachwytem na swoją żonę.— Jestem szczęśliwy. A ty? W Maiden Court zastałem matkę w wielkim ożywieniu. Podobno jeden z zalotników wreszcie zyskał twoją przychylność. Oboje chcemy o tym posłuchać, więc, proszę, nie daj nam więcej czekać. To Ralph Monterey, prawda?

- Tak - odrzekła Anna, przyglądając się zawartości swojego talerza. W ogóle nie mogła zrozumieć, dlaczego wybrała akurat te potrawy. - Jest synem earla Monterey. Poznaliśmy się... zakochaliśmy... i...

- Czy on jest tutaj? - spytała Judith. Przed ślubem, któremu Anna początkowo była zdecydowanie przeciwna, miały dość burzliwą rozmowę, ale odkąd Judith została szczęśliwą małżonką, zapomniała o przykrych chwilach. - Czy możemy go poznać?

Anna przerwała jedzenie i rozejrzała się dookoła.

- Siedzi przy pierwszym stole - powiedziała spokojnie. - Obok królowej.

Judith zerknęła ku podwyższeniu, gdzie Ralph toczył ożywioną rozmowę z lordem Cecilem. W drodze z Ravensglass udało mu się znacznie podnieść swoją pozycję w oczach królowej, dzięki czemu tego wieczoru zaproszono go do grona nielicznych wybrańców przy stole Elżbiety. Widział, jak Anna wchodzi do wielkiej sali, ale i tym razem udał, że jej nie zauważa. Jego złość z powodu wydarzenia w Transmere już ucichła, ale uznał, że nie

zaszkodzi potrzymać Annę w niepewności trochę dłużej.

- Och, jest przystojny! - ucieszyła się Judith.

George nie powiedział ani słowa. Naturalnie znał Monterey'a i był wypróbowanym przyjacielem jego brata Toma, w którym zawsze widział wspaniałego kandydata do ręki Anny. Ralpha jednak nie lubił, bo uważał go za czarującego hulakę, i nic więcej.

W Maiden Court, gdy tylko wrócił z podróży poślubnej, natychmiast zakwestionował poparcie ojca dla tego małżeństwa, ale Harry Latimer nie dał się sprowokować do kłótni. Powiedział jednak coś ważnego: być może wspólny pobyt z Ralphem na królewskim dworze sprawi, że Anna zmieni zdanie. George bardzo na to liczył, a póki co zamierzał spędzić w Greenwich święta i bacznie przyglądać się siostrze.

Na kolację Anna zjadła niewiele. Bardzo smakowały jej proste dania w Ravensglass, toteż te, które podano w Greenwich dla uświetnienia powrotu królowej, wydawały jej się nadmiernie przyprawione i skąpane w zbyt wielkiej ilości sosu. To jednak nie było takie ważne, przede wszystkim bowiem martwiła się tym, że jej stosunki z Ralphem uległy tak drastycznemu ochłodzeniu. Chyba nie zamierza unikać jej przez cały wieczór?

Początkowe uczucie przygnębienia wkrótce przeobraziło się w złość. Czemu on tak ją traktuje? Co takiego zrobiła? Postąpiła dość nierozważnie, to prawda, ale taką już miała naturę. W każdym razie obraźliwe były dla niej podejrzenia Ralpha, a nie zachowanie Jacka. Postanowiła powiedzieć to narzeczonemu wprost przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

A ta nadarzyła się o północy. Królowa była w swoim żywiole. Zawsze potrzebowała niewiele snu i bez trudu wytrzymywała rozrywki trwające do późnych godzin. Tego wieczoru, gdy wreszcie wróciła do elity angielskiego towarzystwa, wydawała się jeszcze bardziej ożywiona niż zwykle, tańczyła wiec i weseliła się bez końca, a co więcej, spodziewała się, że wszyscy dotrzymają jej kroku.

Anna, mimo że jeszcze nie całkiem pewna sprawności swojej nogi, przyłączyła się do tańców i wkrótce jej partnerem został Ralph.

Zgodnie z porządkiem kroków dygnęła przed partnerem, a on podał jej ramię. Przeszli wzdłuż sali, a gdy następna para ruszyła za nimi, mogli wreszcie porozmawiać.

- I co, Ralph?! - powiedziała, patrząc na niego ze złością. - Teraz już mnie nie zignorujesz!

- Dlaczego miałbym cię ignorować? - spytał. Szczerze mówiąc, bardzo mu się w tej chwili podobała. Była w swojej czerwonej sukni i bez wątplenia należała do najatrakcyjniejszych dam na sali.

- Nie odezwałeś się do mnie ani słowem od tego wieczoru, gdy rozmawialiśmy o moim pobycie w Transmere.

To przenosiło bitwę na teren Ralpa, co mu się bardzo nie spodobało. Nie zapomniał ani tamtej rozmowy, ani wyzwania, które rzucił Hamiltonowi, i był gotów dalej iść tą drogą, aczkolwiek z czasem zmienił się jego pogląd na całą sprawę.

Przede wszystkim podczas podróży z Ravensglass królowa mimochodem wspomniała o eskapadzie Anny i Ralph nie odniósł wrażenia, by Jej Wysokość potępiała swoją damę za ten wybryk. Poza tym o tej sprawie dyskutowali również żołnierze Hamiltona, z którymi Ralph spędzał wieczory, i stąd dowiedział się, że Anna cieszy się u nich wielkim poważaniem. Zgodnie twierdzili, że jest śliczna, lecz również dobrze wychowana i skromna.

Wszyscy znali szczegóły incydentu, ale nie czynili żadnych zdrożnych sugestii i co do jednego uważali, że lady Anna zamierzała po prostu wziąć klacz na przebieżkę. Ponieważ doskonale znała się na komach, nie było w tym nic dziwnego, że chciała zapewnić trochę ruchu zwierzęciu, które długo stało w stajni.

Również to, że dowódca pojechał po pannę Latimar, wydawało im się całkiem naturalne. Nikt nie napomykał ani słowem o kompromitacji i wyglądało na to, że nikomu taka myśl nawet nie powstała w głowie. Ralph powoli dochodził do wniosku, że zrobił z siebie głupca, czyniąc wiele hałasu bez powodu.

W tamtej kłótni z Anną najbardziej zirytowało go to, że dziewczyna zaciekle broniła człowieka, którego on wręcz nie cierpiał. Ponieważ jednak za nic nie chciał zrywać zawartej z panną Latimar umowy, więc otoczył ją teraz ramieniem i odprowadził pod ścianę.

- Zachowałem się porywczo - powiedział ugodowym tonem. - Zdaję sobie z tego sprawę. Nigdy jednak o nic cię nie oskarżałem i od początku wyraźnie to mówiłem.

Anna zmierzyła go wzrokiem. Chyba musiała za nim bardzo tęsknić? Co by się stało, gdyby go straciła?

- A ja nie powinnam powiedzieć tego, co powiedziałam. Wybacz mi, proszę, najmilszy.

Uśmiechnął się. Jego przeprosiny były połowiczne, zaś Anna włożyła w swoje całą duszę. I dobrze. Ralph zdecydowanie nie życzył sobie władczej kobiety za żonę. Przykład tego miał w domu. Nieraz widział, jak ojciec, skądinąd pewny siebie mężczyzna i chłop na schwał, przy matce wpadał w zakłopotanie, a nawet miał poczucie winy, chociaż drobnitka z niej niewiasta.

Ujął Annę za rękę i kolejno ucałował wszystkie palce.

- Naturalnie ci wybaczam.

- A co z Jackiem? Nie będziesz dalej ciągnął tego sporu, prawda?

Ralph zmarszczył czoło.

- To nie twoja sprawa, tylko moja i Jacka. On to rozumie, a w każdym razie powinien.

- Nieprawda! - krzyknęła Anna, nie zwracając uwagi na wyraz twarzy Ralpha. Ulżyło jej, że znowu są na przyjacielskiej stopie, więc chciała, by wszyscy dookoła byli równie życzliwie nastawieni do świata. - Nie wyjaśniłam ci wszystkiego do końca, bo zbiłeś mnie z tropu swoją niespodziewaną napaścią, ale...

- Nie chcę już nic więcej o tym słyszeć.

Jack przebywał w sali tanecznej i wprost marzył, by schronić się w swej bardzo niewygodnej i ciasnej sypialni, wiedział jednak, że nikt nie może udać się na spoczynek wcześniej niż królowa. Czekając na to, postanowił zaprosić Annę do tańca. Podczas odwiedzin Elżbiety w Ravensglass zmuszano go do udziału w tańcach wielokrotnie, aż w końcu odstąpił od zakazu, który kiedyś sam sobie narzucił. Z czasem przekonał się nawet, że poruszanie się w takt muzyki sprawia mu pewną przyjemność.

Skłonił głowę przed Anną i wyciągnął ramię tak, jak nakazywała konwencja.

Ralph spojrział na niego wściekle i odrzucił jego rękę. Właściwie ledwie zawadził o palec, ale Jack wyprostował się z morderczą miną. Obrażliwe słowa były w jego odczuciu czymś zupełnie innym niż naruszenie fizycznej nietykalności.

- Jak śmiałeś, panie, mnie uderzyć? - spytał ostro.

Anna z przerażeniem stwierdziła, że znowu szykuje się konfrontacja. Ktoś dotknął jej ramienia, więc odwróciła się i ujrzała swojego brata. Co za ulga!

- Dobry wieczór. - George skłonił głowę. Gest ten wypadł całkiem zwyczajnie, niezwykle był jednak powód nadejścia George'a, do siostry bliźniaczki przyciągnęło go bowiem trudne do wyjaśnienia przecucie, że Anna znalazła się w opałach.

Pierwszy odpowiedział mu Ralph:

- O, George. Cieszę się, że cię tu widzę. Zamierzałem porozmawiać z tobą później w pewnej ważnej sprawie.

Latimar elegancko zwrócił się ku dwóm mężczyznom towarzyszącym siostrze i wymienił z nimi uściski dłoni.

- Wobec tego dobrze, że się spotkaliśmy. Co mogę dla ciebie zrobić?

Ralph skierował dłoń w stronę Jacka.

- Ten człowiek obraził twoją siostrę, a moją przyszłą żonę. Domagam się od niego satysfakcji, a ciebie chciałem prosić, żebyś został moim sekundantem.

Anna głośno nabrała powietrza. Sądziła, że ich pojednanie z Ralphem położyło kres

całej sprawie. Dlaczego ciągle spotykają ją takie przykre historie? Czy Jack miał rację, że wina leży wyłącznie po jej stronie? Wbiła wzrok w ziemię, bo nie była pewna odpowiedzi na to pytanie.

- Czy to możliwe? - odparł gładko George. - Chciałbym, jeśli wolno, spytać, na czym polegała obraza?

- Lady Anna - odrzekł Ralph - podczas pobytu w Ravens - glass postanowiła odbyć konną przejażdżkę, żeby jej klacz miała trochę ruchu. W czasie tej przejażdżki nagle spadł śnieg, który opóźnił powrót lady Anny do zamku. Schroniła się w wiejskiej kaplicy, a lord Hamilton pojechał za nią i zamiast niezwłocznie wrócić z nią w bezpieczne miejsce, przetrzymał ją tam przez całą noc i w ten sposób wystawił na szwank jej honor.

To wcale nie tak było! - zbuntowała się w duchu Anna.

Ciekawe przedstawienie sprawy, pomyślał Jack.

Ależ pieniacz z tego Monterey, pomyślał George. Sam jest odpowiedzialny za skompromitowanie co najmniej pół tuzina kobiet, a teraz grzmi o niemoralności i chce rzucić cień na człowieka, u którego nie byłby godzien zostać lokajem!

- To brzmi bardzo poważnie, Ralph, ale każdy medal ma dwie strony. Co ty na to, Anno?

Dziewczyna zawahała się. Cokolwiek by powiedziała, musiało źle wypaść.

- W zasadzie Ralph przedstawił prawdziwy przebieg wydarzeń, tylko że on nie ma pojęcia, jaka wtedy była pogoda. Gdybyśmy po ciemku próbowali przebyć tę drogę, którą z mozołem pokonaliśmy następnego ranka, to wątpię, czy mielibyśmy okazję teraz o tym rozmawiać. - Spojrzała Jackowi w oczy i dostrzegła w nich błysk zadowolenia.

Sam lepiej nie opisałbym tej sytuacji, pomyślał. I znów nieco poluzował się jego pancerz. Z niechęcią musiał przyznać, że żywi do Anny coraz bardziej przyjazne uczucia.

- Bez względu na okoliczności, Ralph, uważam, że powinieneś bardziej ufać swojej przyszłej żonie. Skoro jednak jeszcze nie masz do niej zaufania, muszę ci pomóc, żebyś go nabrał. - Jack zawsze mówił bardzo autorytatywnym tonem i teraz jego głos brzmiał właśnie w ten sposób. - Gdybyś nam towarzyszył w tym ponurym miejscu, we wsi Transmere, która stała się jednym wielkim grobem, nie mógłbyś powiedzieć złego słowa ani lady Annie, ani mnie. Masz na to moje słowo.

- To zupełnie naturalne, że tak mówisz - stwierdził Ralph, choć czuł, że przestaje panować nad sytuacją. Najpierw brat Anny wystąpił jako głos rozsądku, a teraz ten... ten barbarzyńca dalej próbuje naruszać jego prawa. Młodzieńcza zapalczywość nie pozwoliła mu skwitować sporu ciętą uwagą niszczącą przeciwnika, jak nakazywałby rozsądek. - Nie

przyjmuję tego wyjaśnienia - zakończył napastliwie. - Załatwmy to, panie, szybko: ustalmy czas i miejsce.

Jednak Jack miał do czynienia z wieloma młodzieńcami kąpanymi w gorącej wodzie, więc nie pozwolił się postawić w przymusowej sytuacji.

- Nie mogę - powiedział spokojnie.

- Odmawiasz spotkania się ze mną?

- Tak.

- Postaram się więc, żeby twoje imię w tych murach zostało okryte hańbą. Nie będzie dla ciebie obrony, kiedy wszyscy zrozumieją, jakim jesteś żalonym tchórzem.

Anna pobladła. Ralph był wściekły, to rozumiała, ale... Nie dość, że plótł androny, to zdawał się nie pojmować, na jakie niebezpieczeństwo się naraża, prowokując takiego człowieka jak Jack.

Już miała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Ralph znienawidziłby ją za to, a Jack nie potrzebował pomocy.

- Nie będzie dla mnie obrony? - powtórzył Jack. - Pozornie może się tak wydawać. Jeśli jednak chodzi o zarzut tchórzostwa. - dodał z rzadkim u niego poczuciem humoru - to zawsze mogę pokazać blizny po ranach, które odniosłem w bitwach.

George się odwrócił, żeby nie zauważono, jak szeroko się uśmiechnął. Co się stało z Jackiem? Po tylu latach głębokiej apatii, nagle znowu stał się ludzki.

Latimar żywił szczerą nadzieję, że ta odmiana nie ma nic wspólnego z Anną. Wprawdzie jako jej brat nie cieszył się, że może wkrótce zostać szwagrem Ralph'a Monterey'a, wiedział bowiem, że ten człowiek może na tysiące sposobów złamać serce jego siostrze, ale Jack Hamilton również nie wydawał mu się odpowiednim kandydatem. Choć niewątpliwie jest człowiekiem godnym miłości, to nie umiałby tego uczucia odwzajemnić. Żadnej ludzkiej istocie, która poświęciłaby dziesięć lat życia zmarłej ukochanej, nie pozostałoby już ani trochę uczucia dla żywych, a Anna bardzo chciała być kochana.

- Latimar? - przynaglił go Ralph.

- Obawiam się, że nie mogę cię reprezentować w tej sprawie - odparł spokojnie George. - Przede wszystkim wierzę Hamiltonowi, choćby dlatego, że gdybym mu nie wierzył, to zarzuciłbym swojej siostrze kłamstwo, a nie mam zamiaru tego robić i nie pozwolę, by robił to ktokolwiek inny. Poza tym jestem zdecydowanym przeciwnikiem pojedynków i nie zawahałbym się wygłosić i uzasadnić tej opinii publicznie. Przepraszam - skłonił się - ale królowa wyraziła życzenie, bym wraz z żoną zjadł spóźnioną kolację w jej towarzystwie. Chce poznać wszystkie nowiny...

Słyszac tę zawoalowaną groźbę, Ralph lekko się zarumienił. Poglądy Elżbiety dotyczące pojedynków na jej dworze były powszechnie znane i bezwzględnie obowiązujące. George uklonił się i odszedł.

- Ralph... - zaczęła Anna, ale jej przerwał.

- Wygląda na to, że nie będę mógł stanąć w twojej obronie, najmilsza, skoro otaczają cię dzentelmeni, którzy mają diametralnie inne poglądy w tej kwestii niż ja. - Obrócił się na pięcie.

- I w ten sposób wszystkim nam się zdaje, że jesteśmy nie w porządku - stwierdził Jack.

Anna miała łzy w oczach. Nie była w stanie nic powiedzieć, więc Jack ujął ją za ramię i wyprowadził z sali.

- Nie płacz tutaj, pani, bo przez resztę miesiąca będziesz musiała się z tego tłumaczyć.

Szedł z nią korytarzem, szukając jakiegoś odosobnionego miejsca, choć wiedział, że szanse na znalezienie go są niewielkie. Wreszcie jednak dotarli do małej salki, której dworzanie czasem używali do pisania krótkich listów, wysyłanych potem przez kurierów. Ruch panował tam zwykle przed południem, ale w tej chwili pomieszczenie było puste. Weszli do środka i Anna usiadła na ławie pod oknem.

- Pada śnieg - powiedziała, widząc białe płatki zderzające się z zaciemnionym szkłem. Wiatr zerwał tego wieczoru ostatnie liście z drzew i grzechotał szybko w oknach.

- Tak, przez cały wieczór. - Jackowi natychmiast przypomniała się jego nadzieja na powrót do domu. Zdziwił się, że konieczność pozostania w tym okropnym pałacu przez kilka następnych miesięcy już nie budzi w nim wielkiego przygnębienia.

- Ojej! - zawołała Anna, która postanowiła przepędzić swoje troski i pocieszyć Jacka. - Wiem, panie, jak bardzo chciałeś wrócić do Ravensglass. - Znów odwróciła się do okna, a jej profil zarysował się na tle ciemnej szyby. - Ja też chciałabym odwiedzić Maiden Court.

- Niemożliwe! Przecież jest sezon... pamiętam tę magię, to było coś czarodziejskiego!
- Przypomniał sobie, kiedy ostatni raz brał w tym udział. Jego rodzice nie żyli od pół roku, a on wziął z sobą Marie Claire, by przedstawić ją małodzieńcu Edwardowi i otrzymać potwierdzenie nadania Ravensglass. Marie Claire wprost promieniała ze szczęścia, kiedy jej mąż został uhonorowany przez suwerena... Poczł bolesne ukłucie w sercu.

Znowu przypomniałam mu o żonie, pomyślała z rozpaczą Anna. Doprawdy, zaczynam stanowić zagrożenie dla swoich rozmówców.

Jack źle odczytał przyczynę jej przygnębienia.

- Nie będę się przejmować tym gładzeniem Monterey, Anno, Ochłonie, to nabierze

rozsądku.

- Ale to jest takie niepotrzebne! - krzyknęła. - Te wszystkie swary.

Jack zauważył tomik wierszy pozostawiony na jednym ze stołów.

- Tyle zbędnych rzeczy dzieje się w życiu - stwierdził ze wzrokiem wbitym w tekst. - Jeśli wszystko to, co mi się przydarzyło, ma swoje powody, to przynajmniej połowę z nich dopiero muszę odkryć. - Podeszedł i usiadł obok Anny, W świetle kinkietu jego włosy miały srebrzysty blask.

- Biedny jesteś, Jack, bo spotkało cię w życiu zbyt wiele nieszczęść. Czy rzeczywiście masz również blizny?

- Mam - przyznał - to jest nieodłączny atrybut mojej służby, ale nawet nie śniłoby mi się, aby je komuś pokazywać.

Był bardzo blisko Anny, zdawało jej się nawet, że widzi złociste plamki na jego rękach. Musiał mieć bardzo jasne włosy, zanim osiwił, pomyślała. Nie pasowało jej to do karnacji Jacka, taką oliwkową skórę widywała bowiem dotąd tylko u Hiszpanów.

Śniada skóra i krótko ostrzyżone włosy wyraźnie odróżniały Jacka od pozostałych mężczyzn w Greenwich, choć Anna była przekonana, że Hamilton zwracałby uwagę wszędzie. Nieczęsto spotyka się kogoś tak rosnącego i mającego miękkie, kocie ruchy. Kogoś, kto roztacza aurę absolutnej niezależności.

Jack sądził jednak, że Anna wciąż duma o swoich trudnościach z ukochanym, więc podjął wątek:

- I nie przywiązuj, pani, zbyt wielkiej wagi do jego zarzutu, że skompromitowałaś się w Transmere. Zakochani mężczyźni potrafią czasem w desperacji wypowiedzieć bardzo okrutne słowa, jeśli czują, że ich pozycja jest słaba.

Oderwana od kontemplowania jego wyglądu, powiedziała:

- On mi nie uwierzył, Jack. Ja zawsze ufałabym człowiekowi, którego kocham. - Spuściła głowę i zaczęła nerwowo bawić się perełkami zdobiacymi suknię, aż jedna z nich oderwała się od tkaniny. Jack błyskawicznie wysunął rękę i chwycił perełkę, zanim upadła na podłogę. Włożył ją w dłoń Anny, a gdy ich ręce na chwilę się zetknęły, poczuł, jak po jego palcach biegnie dreszcz. Raptownie się cofnął.

- Co się stało? - spytała.

- Nic. - Wstał i spojrzał na nią. Lata... całe wieki temu Marie Claire miała ulubioną spacerową alejkę we Francji. Rosły tam po bokach drzewa, tak gęsto, że prawie się stykały, a gałęzie splecione nad głowami idących odcinały ich od słonecznego światła. Przy końcu alejki było widać refleksy słońca igrające na morskich falach. Nieraz szli z Marie Claire ku tej

złocistej plamie. Teraz znowu poczuł się tak, jakby był w ciemnym tunelu, u wylotu którego widać jaskrawe światło. Chciał pozostać w mroku, ale blask przyciągał go do siebie coraz bliżej.

Również Anna podniosła się z ławy.

- Dziwnie wyglądasz, Jack. Czy powiedziałam coś, co cię uraziło, panie?

- Nie, skądże. - Mimo to czuł lęk. Pomyślał, że ranne zwierzęta lepiej zostawić w ich ciemnym legowisku, by tam lizwały rany. Tymczasem Anna Latimar całkiem nieświadomie próbowała Wywabić go z kryjówki i przekonać, że jest w nim jeszcze wola życia.

Bardzo zaniepokoiła go myśl, że w tym ciemnym pomieszczeniu mógłby objąć Annę, pocałować i, co więcej, poczuć, że sprawia mu to przyjemność.

- Powinniśmy wrócić do towarzystwa - powiedział sztywno.

- Tak, naturalnie - przyznała Anna, wciąż nie rozumiejąc powodu, dla którego nagle tak się zmienił.

- Jeśli uda ci się, pani, porozmawiać z lordem Ralphem, zachowując należytą ostrożność, to może załagodzis tę waśń. - Niech inny mężczyzna o nią się troszczy, pomyślał. Bądź co bądź, to o czym pomyślał przed chwilą, znowu trąciło zdradą.

- Może - zgodziła się Anna. - Chociaż wolałabym mu wymierzyć siarczysty policzek za awanturnictwo!

Te dziecinne słowa rozwiały czar, któremu uległ Jack. Roześmiał się, otworzył drzwi i oboje wyszli na korytarz.

- To bez wątplenia zdrowa reakcja - przyznał - lecz odradzałbym ci, pani, tak radykalny środek. Podjęłaś decyzję, którą twoja rodzina poparła, więc wykaż trochę wyrozumiałości.

- Moja rodzina... - powtórzyła Anna w zadumie, gdy wrócili do gwarnej sali. - Prawdę mówiąc, nie orientuję się, jakie właściwie jest ich zdanie w tej sprawie. Wiem za to, że George szczerze nie lubi Ralpha.

- Czyżby? - Jack przystanął i potoczył wzrokiem po barwnym tłumie. Mimo że George był bardzo młody, Hamilton zdążył nabrać wielkiego szacunku dla jego poglądów. Latimar, dziesięć lat od niego młodszy, potrafił bardzo zgrabnie zachować się w niedawnej konfliktowej sytuacji.

Ech, to nie mój problem, pomyślał. Anna, jej rodzina, Ralph Monterey i ta cała reszta, wszystko to nie powinno mnie aż tak bardzo obchodzić.

Niemal z ulgą przekazał młodą lady pod opiekę jednego z czyhających na okazję galantów, i szybko opuścił salę, ale gdy potem spacerował chłodnymi, kamiennymi

korytarzami pałacu w Greenwich, czekając, aż będzie mógł udać się na spoczynek, był dziwnie poruszony. Uświadomił sobie, że Anna nie jest już tylko córką jego przyjaciela, lecz również samodzielną osobą i niezwykle atrakcyjną kobietą, która burzy spokój jego snów i zakłóca rytm codziennych zajęć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W pałacu Greenwich nastał czas Bożego Narodzenia, wypełniony zabawami, widowiskami, daniem prezentów, zbytkami dworskiego towarzystwa, nie kończącymi się maskaradami, przedstawieniami teatralnymi i innymi rozrywkami.

Przy bramach tłumy żebraków błagały o jałmużnę dla swoich wygłodzonych, przemarzniętych rodzin, powołując się na okres narodzenia Pańskiego. Oberwańców odsyłano ze śmiesznie małymi datkami, ale nie oczekiwali oni niczego więcej. Granica między biedą i bogactwem nigdy nie była aż tak wyraźna, jak właśnie wtedy.

Pochłonięta licznymi rozrywkami Anna miała niewiele czasu na dumanie o smutnych sprawach. Ukochany był dla niej czuły i troskliwy, i to jej wystarczyło. Poza tym Ralph osiągał coraz wyższą pozycję na dworze Tudorów, a inni, którzy to widzieli, nie szczędzili starań, by przypodobać się jemu i jego damie. Panna Latimar nagle zauważyła, że może dokonać właściwie wszystkiego, co dawniej stanowiło przedmiot jej ambicji, i nieraz karmiła się w myślach, bo wcale nie czuła się z tego powodu wdzięczna losowi i szczęśliwa.

Mimo wielu radosnych chwil zdarzało jej się zamyślić, wyrobiła też sobie bardziej krytyczne spojrzenie na to, co ją otacza. Ktoś, kto długo ją znał, mógłby powiedzieć, że Anna w końcu dojrzeła. George zawsze jej powtarzał: „Przyglądaj się wszystkiemu, słuchaj wszystkiego, a potem wybieraj wartościowych ludzi i to, co ma rzeczywiste znaczenie”.

Teraz Anna właśnie tak postępowała. Chodziła uśmiechnięta, gotowa cieszyć się wszystkim, co ją spotyka, ale nie angażowała się w to całym sercem, lecz chłodno oceniała sytuacje i ludzi, którzy je tworzyli. Chociaż z natury była istotą towarzyską, pierwszy raz w życiu odczuła potrzebę samotności i zastanowienia nad sobą.

Coraz mocniej tęskniła też za domem. Nie mogła jednak tam jechać, gdyż z uwagi na złą pogodę byłoby to nierozsądne. Najpierw spadł pierwszy śnieg, potem ścisnął mróz, aż wreszcie wszystko stopniało i drogi zamieniły się w grzęzawiska, na koniec znów przyszedł śnieg i cykl rozpoczął się od początku. Nawet królowa, która lubiła spędzać Boże Narodzenie w Hampton, postanowiła zostać w stolicy.

Jack Hamilton również nie cieszył się z nieustannych zabaw, miał jednak po temu znacznie bardziej pokrętne powody. Zawsze trzymał się z dala od rozrywek, a teraz nagle zaczęły sprawiać mu one przyjemność, a to dlatego, że spotykał wtedy Annę Latimar.

Nie będąc szczególnie byстрыm w kwestii uczuć, nieustannie stawiał sobie pytanie: dlaczego tak się dzieje? Dlaczego ta panna robi na nim takie wrażenie, że ciągle chce ją widzieć? Przecież Anna stanowi całkowite przeciwieństwo jego zmarłej żony. Dlaczego więc

to właśnie ona nagle zaczęła budzić go do życia? I to w dodatku tak boleśnie.

Panna Latimar jest taka młoda, a przy tym świetnie pasuje do dworskiego towarzystwa. Lubi skupiać na sobie uwagę, ma cięty język, piękne suknie i lśniącą biżuterię. I wybrała sobie odpowiedniego narzeczonego, Ralpa Monterey, eleganckiego, ambitnego dworzanina, myślał Jack.

Mimo to wyraźnie ożywał, gdy mógł dotknąć Anny w tańcu lub otrzeć się o jej ramię na przedstawieniu, pokazie zonglerskich sztuczek albo ewolucji akrobatów. Wyczekiwał też, choć nie bez lęku, prywatnych rozmów, które teraz zdarzały im się często.

Ostatnio bowiem Anna traktowała go jak przyjaciela od serca. Opowiadała mu o swoich troskach i kłopotach, zwierzała się z tego, czego nie powiedziałaby swoim współtowarzyszkom, a nawet bratu.

Jack cierpliwie jej wysłuchiwał z niewzruszoną twarzą, nie zdradzając własnych myśli. Przyznawszy bowiem przed sobą, że Anna jest dla niego kimś więcej niż tylko córką człowieka, którego darzy wielkim szacunkiem, z wolna uznawał również to, że z każdym dniem ta kobieta staje się dla niego coraz ważniejsza. Tego jednak nie śmiał okazać, wiedział bowiem, że jego uczucie nie ma przyszłości. Dziesięć lat leczył się z głębokiej, jątrzącej się rany. Teraz rana otwierała się znowu.

Po świętach, wraz z nastaniem nowego roku, Anna znów wróciła myślami do Maiden Court. Dawno już Elżbieta wspomniała, że być może pozwoli swojej najmniej lubianej damie na odwiedzinę w domu.

Pewnego pogodnego lutowego dnia Anna szła w kierunku stajni, przyglądając się krajobrazowi widocznemu za zabudowaniami. Śnieg nie sypał już od dawna, jego miejsce zajęły deszcz ze śniegiem i marznąca mżawka. Anna była przekonana, że mogłaby wyrwać się na jeden dzień z Greenwich. Właśnie się nad tym zastanawiała, gdy zobaczyła, jak, stajenny prowadzi wielkiego, siwego ogiera Hamiltona. Zaraz potem ujrzała Jatkę, który szybko przemierzył dziedziniec i znikł w stajni. Poszła za nim.

Gdy otworzyła wrota, Jack delikatnie badał końskie kopyta.

- Ostrożnie, Anno! - powiedział ostro. - Nie podchodź, Śmigły jest rozdrażniony.

Dziewczyna schroniła się w sąsiedku i spytała:

- Czy coś mu się stało?

- Nie, po prostu jest w obcym miejscu. Z konia bojowego nie można zrobić pocziwej szkapę pod siodło, nawet jeśli wstawi się go do stajni z innymi szkapami.

Anna uśmiechnęła się. To samo można by powiedzieć o panu Śmigłym, pomyślała, bo Jack wcale nie czuł się w Greenwich lepiej niż jego koń. Żaden inny dworzanin nie ważył

się tego dnia wyściubiać nosa na dwór. Wszyscy skryli się w ciepłe pałacu i oddawali różnym grom, drzemce albo narzekaniom.

- Rozumiem, panie, że nie weźmiesz go dziś na przejażdżkę. Jack podniósł głowę.

- Owszem, mam taki zamiar. Obaj oszalelibyśmy, gdybym tego nie zrobił.

- To dobrze, bo chciałam złożyć krótką wizytę w Maiden Court...

- Nie bądź lekkomyślna, Anno - przerwał jej szorstko. - Nie oddalę się od pałacu bardziej niż na kilometr lub dwa. Jazda gdzieś dalej w takich warunkach byłaby dowodem braku rozwagi.

- Nie weźmiesz mnie, panie, z sobą? - spytała.

Jack zakorkował butelkę z maścią, którą nacierał końskie pęciny.

- Nie wezmę - potwierdził. - Zresztą nigdzie, pani, nie pojedziesz.

- Nie możesz mnie powstrzymać! Wieki temu prosiłam Jej Wysokość o pozwolenie na wyjazd do domu i dostałam je.

- Wieki temu? Hm. Idź więc pani do królowej i spytaj, jakie ma zdanie teraz.

Anna się nadąsała.

- Naturalnie dzisiaj nie da mi pozwolenia, ale wiem, że z twoją pomocą, panie, na pewno dojadę do domu.

Jack zaczął siodłać konia.

- Ostatnim razem, kiedy ci pomogłem, pani, nie wyszło to najlepiej.

- Nieprawda! Uratowałeś mi życie i zawsze będę ci za to wdzięczna, panie.

- Dziękuję, ale skończyło się to dla mnie wyzwaniem na pojedynek. - Jack zapiął popręg i wyprostował się. - Jeśli jesteś zdecydowana jechać, to dlaczego nie poprosisz Monterey, żeby ci towarzyszył?

Anna zatrzepotała rękami i spojrzała w górę.

- Żartujesz, panie! Ralph jest ostatnią osobą... - Ugryzła się w język. - Chcę powiedzieć, że Ralph ma swoje obowiązki...

- Czyżby? - Jack rozejrzał się po stajni, szukając kapelusza, który zdjął przy wejściu. - Ciekaw jestem, jakie?

Dziewczyna ukryła dłonie w rękawach sukni. Ralph był zajęty nie kończąca się grą w karty, i trwało to dosłownie dniami i nocami. Przez pewien czas nawet mu towarzyszyła, szybko jednak ją to znużyło. Duszna, niezdrowa atmosfera w sali, gdzie eleganccy, piękni mężczyźni i kobiety starali się przechytryć jedni drugich, gdzie na lśniących stołach brzęczały monety i szeleściły rozdawane karty, zupełnie jej nie odpowiadała.

Wyobraziła sobie, jaką minę zrobiłby Ralph, gdyby zapytała, czy nie zechciałby z nią

pojechać, i znów się uśmiechnęła. Nie przeszkadzało jej to, że narzeczony jest hazardzistą, a nawet wydawało jej się to całkiem naturalne, bo takim po prostu musiał się urodzić, ale tego dnia do zrealizowania swojego zamierzenia potrzebowała zupełnie innego mężczyzny.

- Proszę, Jack - powiedziała, bacznie obserwując kątem oka Śmigłego, i położyła Hamiltonowi rękę na ramieniu. - Weź mnie z sobą. Nie będzie tak jak w Transmere. Gdybyśmy przypadkiem wpadli w kłopoty, to znam wielu ludzi po wsiach, którzy na pewno nam pomogą, a w razie potrzeby dadzą schronienie.

Jack odsunął się od panny Latimar. Nie ufał sobie, gdy go dotykała. Byli w publicznym miejscu, dookoła kręcili się stajenni i ich pomocnicy, bez przerwy ktoś wchodził lub wychodził. A skoro tu tak reagował, to co dopiero mówić o bezludnej drodze przez las.

Anna wyczuła, że jeszcze chwila i nie zdoła go przekonać.

- Myślałam, panie, że jesteś moim przyjacielem! - użyła ostatniego argumentu.

- Przyjaciel nie zachęcałby cię, pani, do takiej wyprawy, a ja ci jej surowo zakazuję. Jeśli musisz odetchnąć świeżym powietrzem, przygotuj swoją klacz do drogi, wybierzemy się razem na krótką przejażdżkę.

- Chcę jechać do Maiden Court! - Nagle ogarnęło ją wzburzenie. - Potrzebuję tego!

Popatrzył na nią. Ostatnio ich przyjaźń tak się zacieśniła, że dziwiło go, iż kiedyś mógł uważać Annę za trzpiotowatą, płochą pannę. Desperacja pobrzmiewająca w jej głosie poruszyła w nim czułą strunę, do istnienia której nigdy by się nie przyznał.

- Dlaczego? Dlaczego, moja droga?

Ton jego głosu i poufały zwrot uszły jej uwagi, odpowiedziała mu jednak na pytanie.

- Muszę porozmawiać z matką i ojcem. Muszę ich zobaczyć i zapytać... potrzebuję ich rady, bo sama już gubię się w tym wszystkim...

- W Greenwich jest George - przypomniał. - Nikt lepiej ci nie doradzi niż brat.

- E tam, George - odparła zniecierpliwiona. - Mój brat myśli tylko o Judith! Nawet nie schodzą wieczorami na dół, żeby potańczyć albo się pobawić. Kiedy go szukam, owszem, twierdzi, że jest mu miło, ale myśli cały czas o żonie.

- Naturalnie - powiedział Jack. - Taka właśnie jest miłość.

- Bardzo jestem szczęśliwa, że tak się kochają — odparta szybko - ale ojciec... ojciec na pewno ze mną porozmawia, wysłucha mnie...

Jack włożył rękawice do konnej jazdy i starannie obciągnął je na palcach. Przyszło mu do głowy, że Latimarowie, jeśli już kochają, to całym sercem i duszą. Dla Bess Harry Latimar zrezygnował z dziedziczki fortuny, a George dla swej ukochanej porzucił perspektywę błyskotliwej kariery. Anna z pewnością tak samo kocha Ralpha.

Aż się wzdrygnął na tę odkrywczą myśl. W Greenwich starsi ludzie, którzy pamiętali ojca Anny, uśmiechali się pod nosem i mówili, że córka wybrała sobie narzeczonego podobnego do Harry'ego. Jack wiedział jednak, że jest inaczej. Lord Latimar wbrew swojej reputacji miał szczerze, niezłomne serce i szlachetną duszę, podobnie zresztą jak jego syn.

Ralph nie przypomina żadnego z nich, pomyślał Jack ze złością, stwarza tylko takie pozory, bo też ma jasną karnację i mnóstwo uroku. Poza tym jest nienasycony jak marcowy kocur. Hamilton wiedział o co najmniej trzech kobietach, z którymi Ralph się zadał po powrocie z Ravensglass.

Jednak Anna go kochała i martwiła się o ich wspólną przyszłość, a Jack chciał jej pomóc. Przecież uważała go za przyjaciela.

- No, dobrze - powiedział. - Ale najpierw pójdziesz, pani, do brata i opowiesz mu, co zamierzasz. Ja tymczasem zajmę się twoją klaczą.

Annę zirytował ten warunek. George naturalnie wynajdzie tysiące przeszkód. Spojrzawszy na twarz Jacka, zrozumiała jednak, że nie ma wyboru.

- I ciepło się, pani, ubierz! - zawołał za nią.

Najpierw poszła do swojej komnaty i posłusznie wypełniła polecenie. Odziana w wełnę i futro wdrapała się wyżej, do niewielkiej komnaty, którą jej brat dzielił z żoną. Oboje byli u siebie. Przywitali ją serdecznie.

- Po co się tak grabo ubrałaś? - spytał George.

- Wybieram się na przejażdżkę - odrzekła zagadkowo. - Niezbyt długą. - Wrócimy, jak tylko najszybciej będzie można, zapewniła się w myśli.

- Kto z tobą jedzie?

- Jack Hamilton.

- Aha. - George nie widział w tym nic złego. Ostatnio dość dobrze poznał Jacka i choć trudno mu było go zrozumieć, to darzyli się wzajemnym szacunkiem.

Usiadł na krześle obok Anny i zmierzył ją wzrokiem. Ona coś knuje, doszedł do wniosku i nawet przemknęło mu przez głowę pytanie, czy siostra nie przysłała porozmawiać na ten temat. Zaraz jednak wrócił spojrzeniem do żony.

Są zajęci sobą jeszcze bardziej niż zwykle, zazdrośnie pomyślała Anna, gdy Judith wstała i wolno przeszła po komnacie, a George podążył za nią wzrokiem. Zaraz potem również wstał, aby polecić służbie podanie czegoś do jedzenia. Tymczasem Judith przerwała swój spacer i ujęła szwagierkę za ramię.

- Anno - powiedziała z lśnącymi oczami - chcę, żebyś dowiedziała się o tym pierwsza! George i ja mamy bardzo radosną nowinę. Spodziewam się dziecka! W tym

tygodniu jestem już tego pewna.

Dziecko! Annę ogarnęły sprzeczne uczucia. Najpierw znowu odezwała się w niej zazdrość, bo to oznaczało definitywne przypieczętowanie małżeństwa jej brata, a potem ogarnął ją niepokój. Przecież dla kobiety poród wiązał się z dużym zagrożeniem i Anna nie mogła znieść myśli, że Judith mogłoby się stać coś złego.

W końcu pomyślała coś bardzo dziwnego: Judith zbrzydnie stanie się całkiem pospolita. Już tylko wspomnieniem zostanie ta smukła piękność, która ślubowała wieczną miłość George'owi w kaplicy w Maiden Court.

Jednak George się tym nie przejmie, uznała, i niezmiennie będzie zachwycony swoją żoną. A jak zareagowałby Ralph na wiadomość, że to ona, Anna, spodziewa się dziecka? To pytanie nie mogło jej się nie nasunąć. Kiedyś nawet rozmawiali na ten temat.

- Naturalnie urodzisz mi synów - oświadczył Ralph. - Potem możesz spokojnie i bezpiecznie żyć w Abbey Hall. - Na zesłaniu na wsi, dopowiedziała sobie Anna. Nie będę mu wchodzić w drogę, gdy zrobię się tłusta i nieruchawa.

- O czym myślisz? - spytała Judith. - Bardzo posmutniałaś.

- Och, o niczym ważnym. - Anna przerwała te jałowe spekulacje. - Szczerze ci gratuluję. Sądzę, że planujesz wkrótce osiąść w Maiden Court?

- Skądże znowu - odparła Judith. - George właśnie przyjął czasową posadę w rządzie Jej Królewskiej Mości i zamierza pozostać na dworze przynajmniej rok.

- Czy to znaczy, że urodzisz dziecko tutaj?

- Tutaj albo w innym pałacu, bo to zależy od miejsca pobytu Elżbiety. - Judith uśmiechnęła się. - Droga Anno, wiem, co sądzisz. Uwielbiasz Maiden Court, ja zresztą też, i bardzo bym chciała, żeby moje dziecko właśnie tam przyszło na świat, ale George... George nie pozwoliłby mi na rozłąkę.

Tak właśnie powinno być, pomyślała Anna i wstała.

- Muszę już iść, Judith, Pogoda jest ładna, ale może się w każdej chwili zmienić.

Judith odprowadziła ją do drzwi. Coś w twarzy szwagierki przez cały czas ją niepokoiło.

- Czy wszystko u ciebie w porządku? Czy dobrze układa się znajomość z Montereyem? - Bliżej przyjrząwszy się narzeczonemu Anny, Judith zaprzestała zachwyków. Uroczy i utalentowany pod każdym względem Ralph nie był, jej zdaniem, wart siostry George'a.

- Mnie? Naturalnie, że dobrze... Och, Judith, obiecaj mi, że będziesz o siebie dbała.

- Obiecuję. - Dotknęła dłoni Anny. - Przyjdź do mnie porozmawiać dziś wieczorem.

- Dziś wieczorem... Dobrze, przyjdę. - Anna rozejrzała się po pustym korytarzu i pod wpływem nagłego odruchu ucałowała bratową w policzek. - Tymczasem do widzenia.

Judith patrzyła, jak szwagierka w podejrzenie grubym odzieniu znika z pola widzenia. George stanął przy żonie.

- Zamówiłem bekon, świeży chleb i...

- George... - przerwała mu nagłym tonem Judith - idź za Anną i dowiedz się, co ją dręczy. Jestem przekonana, że może jej być potrzebna twoja pomoc.

George nie próbował sprzeczać się z żoną. Bez pośpiechu wyszedł na dziedziniec przed stajniami i zdążył zobaczyć, jak Anna wyjeżdża na wielki trawnik przed pałacem. Postąpił chwilę na chłodnym wietrze, a potem wzruszył ramionami. Co tam, z Hamiltonem jest bezpieczna, pomyślał, gdy ujrzał znajomego siwego konia i dosiadającego go jeźdźca.

W połowie drogi do Maiden Court Anna była gotowa przyznać Jackowi rację, bo jazda w taką pogodę dowodziła braku rozsądku. Posuwali się wolno i z wielkim trudem.

- Bardzo mi przykro — powiedziała, gdy schronili się przy pniu wielkiego dębu przed nagłym gradem.

- To rzeczywiście pocieszające - odparł ironicznie Jack, zdjawszy kapelusz, żeby otrzepać go z lodowych grudek. Do tej pory nie zaproponował postoju, chociaż kilka razy mógł to zrobić. Do stolicy dotarło wprawdzie ocieplenie, ale im bardziej się oddalali, tym częściej wpadali w śnieżne zasy, a na otwartej przestrzeni hulał przenikliwy wiatr.

Mimo że Anna ciepło się ubrała, podróż jej dokuczwała, jednak nie pisnęła nawet słowa skargi. Co więcej, ze strachu, że Jack zarządzi powrót, starała się lekko traktować wszystkie przeciwności losu. Gdy wreszcie poczuła bliskość Maiden Court, nagle doszła nawet do wniosku, że jest to całkiem przyjemna droga.

Naturalnie jechali dość wolno, mogli więc ze sobą rozmawiać. Anna porównywała tę podróż z ubiegłoroczną i była bardzo dumna, że przyjaźń z Jackiem poczyniła takie postępy.

Mimo że mówili o wielu sprawach, jednak Anna nie wspomniała ani słowem o swoim największym zmartwieniu. To dziwne. Mogłaby powiedzieć Jackowi, co ją dręczy, i nawet byłaby ciekawa jego odpowiedzi, ale coś ją przed tym powstrzymywało. Obawiała się, że choć nabrała dla niego wielkiego szacunku, to Jack wciąż widzi w niej głupią pannicę z licznymi brakami i już zawsze będzie mierzyć ją miarą przeznaczoną dla swej zmarłej żony. Ostatnio znowu odnosił się do niej z większą rezerwą, nie wykluczała więc, że zaczyna go nużyć.

W każdym razie Jack zgodził się jej towarzyszyć w drodze do domu, a ona próbowała okazać mu wdzięczność, nie zwracając uwagi na kaprysy pogody i bawiąc go rozmową.

Popatrzyła więc na zmrożone krople deszczu, odbijające się od kolein na drodze, i podsunęła Jackowi nowy temat:

- Dlaczego zostałeś żołnierzem, panie?

- Kiedy miałem siedem lat, moja guwernantka wyraźnie powiedziała ojcu, że nie odniosę wybitnych sukcesów w nauce. Z tego powodu nie mogłem liczyć na karierę w kościele, jakiej pragnął dla mnie ojciec. Wysłał mnie więc jako pazią do pewnego lorda, na północy, z nadzieją, że postanowię zostać żołnierzem. Na szczęście - przez twarz przemknął mu kwaśny uśmiezek - byłem dostatecznie twardy, by przetrwać wszystko, co niesło ze sobą takie życie.

- I potem zostałeś paziem mojego ojca? Nie znam mniej skorego do waśni człowieka.

- W tamtych czasach król Henryk, który twojego ojca miał za najlepszego przyjaciela, wysoko cenił sprawności, w których się wybijałem. Często przychodził na płac ćwiczeń i obserwował doskonalących się chłopców. To on przekazał mnie w ręce lorda Harry'ego, bo dla swoich przyjaciół zawsze rezerwował to, co najlepsze. Naturalnie wcale nie byłem najlepszy, w każdym razie na pewno nie umiałem dbać o zaspokajanie potrzeb takiego dżentelmena, jak twój ojciec, pani, jednak Harry okazał się dla mnie niezwykle życzliwy i przymykał oko na zaniedbania w służbie. Zawsze popierał wszystkie moje starania.

Uśmiechnęła się.

- Domyślam się, że razem byliście jak niebo i ziemia. Ty, panie, zawsze ceniłeś sprawność fizyczną, mój ojciec jest zupełnie inny. - Mocniej przywarła do potężnego pnia, gdyż kurzawa się nasilała. - Według Ralpa mój ojciec kiedyś walczył w pojedynku. Nie uwierzyłam mu, ale Ralph upiera się, że to prawda.

- I owszem — potwierdził Jack - ale już mu wtedy nie służyłem, chociaż wciąż przebywałem na dworze. - Jack wiedział, że w gniewie Harry potrafi być bardzo gwałtowny.

- Och, opowiedz mi o tym, panie! - wykrzyknęła. - O co poszło i kim był ten człowiek, z którym ojciec walczył?

Jack się zawahał, chociaż ta sprawa bynajmniej nie przynosiła ujmy jego byłemu panu.

- O ile wiem, poszło o twoją matkę, pani. Pewien młody człowiek zakochał się w niej i myślał, że uda mu się ją zdobyć. Któregoś dnia za wiele sobie pozwolił w obecności ojca, pokłócili się i Harry został wyzwany.

Anna zrobiła wielkie oczy.

- Mój ojciec? Och, trudno mi w to uwierzyć.

- To prawda. Gdy jednak przyszło co do czego, Harry upuścił przeciwnikowi trochę

krwi i na tym się skończyło.

- A co z nim się stało? Z tym rywalem ojca?

- Nie mam pojęcia - odparł Jack. - To dawne dzieje.

- Ale jakie romantyczne! - Anna westchnęła. - Ralph miał pięć pojedynków i w każdym zabił przeciwnika.

A to byli jeszcze chłopcy! - pomyślał ze złością Jack, Ledwie weszli w dorosłe życie, a już Monterey zmusił ich swoim ostrym językiem do rzucenia mu wyzwania, a jako wyzwany miał prawo wyboru broni i zawsze decydował się na pistolet, wciąż jeszcze rzadko używany w pojedynkach.

Jack nie považał zabijania na odległość, bo wołał patrzeć prosto w oczy wrogowi, którego wysyłał na tamten świat. Natomiast Monterey posługiwał się bronią ze swojej cennej i starannie doglądanej kolekcji, a strzelanie z pistoletu często ćwiczył. Czyżby Anna uważała, że to jest romantyczne?

Tymczasem minęła burza gradowa i niebo odzyskało niebieski kolor.

- Jedźmy dalej - powiedział szorstko. Podсадził Annę na grzbiet Jenny, wskoczył na Śmigłego i oboje opuścili schronienie pod dębem.

Ruszyła za nim w milczeniu. W rzeczywistości wcale nie podziwiała Ralpha za udział w pojedynkach, przeciwnie, miała o to do niego duży żal. Jedną z jego ofiar był brat jej przyjaciółki z Greenwich, a chociaż kodeks zabraniał damom obwiniać dżentelmenów o jakikolwiek czyn dokonany w imię honoru, panna opowiadała o swoim młodszym bracie ze łzami w oczach, zaś Anna czuła, jak wzbiera w niej oburzenie.

Gdy przybyli do Maiden Court, Bess Latimar leżała już w łóżu. Wciąż nie w pełni ozdrowiała po chorobie, która zaatakowała ją poprzedniej jesieni, więc z chęcią udawała się na wieczorny spoczynek wcześniej niż zwykle, by sen pomógł jej odzyskać siły. Harry Latimar jeszcze siedział w wielkiej sali i mógł powitać dwoje nieoczekiwanych gości wprowadzonych przez Waltera.

- Ojcze! - Dziewczyna zrzuciła z siebie pelerynę i padła mu w objęcia.

- Anna! - Harry nie wierzył własnym oczom. - Co tutaj robisz? Co się stało?

- Nic specjalnego, wszystko jest w najlepszym porządku. Miałam taki kaprys, żeby was zobaczyć, więc przyjechałam.

- Więc przyjechałaś - powtórzył Harry i odwrócił się, by uścisnąć dłoń jej towarzysza.

- Jack, cieszę się, że cię widzę.

- Dziękuję, sir. - Wymownie spojrział Harry'emu w oczy. - To naprawdę był kaprys.

- Jesteśmy głodni jak wilki! - wesoło zawołała Anna, rozglądając się po swym

ukochanym domu. - Czy macie tu cokolwiek do jedzenia?

- Bez wątpienia - odrzekł Harry. - Walterze?

- Natychmiast się tym zajmę, panie - powiedział stary Walter i skłonił się przed earlem. Jak wspaniale jest znów ujrzeć panienkę Annę, myślał, wolno idąc do kuchni. Jak bardzo brakowało jej w tym domu!

Harry posadził gości przy ogniu rozpalonym w kominku.

- Teraz wszystko mi opowiedzcie. Jak udało wam się dostać pozwolenie, żeby tu przyjechać?

Anna wykonała nerwowy gest.

- Jej Wysokość powiedziała do mnie: „Jeśli kiedykolwiek będziesz chciała odwiedzić swoją rodzinę, lady Anno, wiedz, że możesz to zrobić”. Dzisiaj poczułam, że muszę, więc przyjechałam, chociaż nie prosiłam o specjalne pozwolenie.

- Rozumiem. A ty, Jack?

- Ja jestem na dworze wolnym człowiekiem, sir - odparł z powagą. - Kiedy lady Anna wyjawiała mi swój zamiar odwiedzenia Maiden Court, naturalnie postanowiłem jej towarzyszyć.

Naturalnie? - zdziwił się Harry. Co jest w tym naturalnego? Jeśli Anna tak nagle i nierozważnie zdecydowała się przyjechać do domu, to powinien jej towarzyszyć Ralph Monterey. Poza tym, jeśli wydaje jej się, że tak lekceważącą postawą wyrobi sobie dobrą pozycję na dworze, to jest w grubym błędzie. Wprawdzie gwarne i tłumne pałacowe życie może sprawiać wrażenie chaosu, nad którym nikt nie panuje, ale wszelkie przyjazdy i wyjazdy są pod ścisłą kontrolą.

Harry liczył się nawet z tym, że królowa niezwłocznie usunie Annę z dworu za niestosowanie się do przyjętych zasad. Czy jednak warto o tym wspominać? Zapadał wieczór, a pogoda się nie poprawiła, więc nocny powrót do Greenwich byłby niemożliwy. Po tej konstatacji Harry zaczął wypytywać córkę o Northumberland.

Anna, szczęśliwa z powrotu do domu, bardzo się ożywiła i z dużą dozą humoru opisała wizytę królowej w granicznej twierdzy. Wszyscy troje szczerze się zaśmiewali. Dziewczyna entuzjastycznie wypowiadała się też o samym Ravensglass, czym zaskoczyła Jacka. O jego domu, który darzył wielkim sentymentem, często mówiono, że jest wyjątkowo ponury, tymczasem Anna dostrzegła jego surowe piękno, a ponieważ umiała barwnie opowiadać, nagle odmalowała przed ich oczami całe otoczenie twierdzy.

Również Harry był zaskoczony. Ravensglass odwiedził dwukrotnie i podobnie jak większość ludzi przyzwyczajonych do pałaców i ziemiańskich dworów obsadzonych dookoła

drzewami, odczuwał niejasny lęk na widok pustki i jałowego krajobrazu. Sądził, że Anna zareaguje podobnie, ona tymczasem nagle pokazała się z zupełnie nie znanej mu strony.

Godzinę później Jack wstał i powiedział, że jest zmęczony, więc Walter odprowadził gościa do komnaty, natomiast Harry i Anna zostali przy kominku. Dziewczyna bardzo się zmieniła przez ostatnie miesiące, ale jedno pozostało po starym: wciąż tak samo się zachowywała, gdy pragnęła zrzucić ciężar z serca.

Kiedy w domu zapadła cisza, Harry dolał sobie wina do kielicha i spytał:

- No, Anno, o czym chciałaś porozmawiać? A może przyjechałaś zobaczyć się z matką?

Westchnęła.

- Nie, ojciec, chodziło mi o ciebie. Naturalnie o matkę też, ale przede wszystkim o ciebie.

- Mów więc.

To nie jest takie łatwe, pomyślała. Wstała i przespacerowała się po sali. Po drodze zmieniła ustawienie kilku ozdobnych przedmiotów, przekomponowała bukiet gałązek z jaskrawymi jagodami stojący w wazonie na stoliku, oraz zatrzymała się przy oknie, by popatrzeć na rozległe trawniki osrebrzone księżycową poświatą.

- Dalej, odwagi - zachęcił ją Harry. - Wiesz, że możesz mi powiedzieć wszystko.

Odwróciła się do ojca. Na jej policzkach igrały refleksy ognia, podkreślające kształt twarzy. Harry pomyślał, że podobnie jak wszyscy Latimarowie, córka zachowa urodę nawet wtedy, gdy jej młodość minie. Nagle zdał sobie sprawę z tego, jak wiele Anna dla niego znaczy.

- Czy chodzi o Monterey? Coś się między wami popsuło? Podeszła i znowu usiadła.

- Nie to, żeby się popsuło, ojciec. Nie chodzi o niego, lecz raczej o mnie. - Urwała, ale Harry spokojnie czekał, aż znajdzie potrzebne słowa. - On jest jak dla mnie stworzony, ale ja... jakoś nie potrafię się przekonać, że ja jestem stworzona dla niego. - Powoli nabierała pewności w tym, co mówi. - On nigdy ze mną nie rozmawia. To znaczy, owszem, rozmawia, jest bardzo zabawny, wymowny, prawi mi piękne komplementy, ale...

- Ale?

- Ale nigdy nie mówi nic, co byłoby ważne. Kiedy jesteśmy razem, wiem, jak bardzo go kocham, ale przez cały czas się zastanawiam, gdzie jest reszta. Czego jeszcze nam brakuje? To przykre myśleć tak w obecności człowieka, którego się kocha i pragnie się kochać do końca życia. - Przerwała na chwilę. - Poza tym, kiedy jesteśmy razem, nieustannie przychodzi mi do głowy, że Ralph jest bardzo podobny do ciebie, i że zawsze chciałam kogoś

właśnie takiego, ale martwię się, bo to wcale nie daje mi poczucia, że jestem szczęśliwa.

Harry wbił wzrok w kielich. Biedne dziecko, pomyślał. Dostaje pierwszą lekcję miłości: przedmiot uczuć nie zawsze dorasta do oczekiwań. Postanowił skupić się na ostatniej części wywodu córki.

- Czy z tego powodu wybrałaś Ralpha? Bo wydawało ci się, że jest podobny do mnie?

- Naturalnie! Przecież wiesz, że od dawna pragnę poślubić takiego mężczyznę jak ty, ojciec. Tylko do tej pory nie spotkałam nikogo, kto byłby godny porównania.

- Jednak z twojego opowiadania wynika, że również ten mężczyzna nie jest tego godny - delikatnie zwrócił jej uwagę Harry.

- No, owszem... - Anna zmarszczyła czoło. - Właśnie dlatego do ciebie przyjechałam, ojciec. Chciałam, żebyś mi poradził i wskazał, gdzie popełniam błąd.

Harry dopił wino. Nie umiał pojąć, dlaczego Anna, która miała dziesiątki wspaniałych zalotników, postanowiła połączyć swój los z człowiekiem podobnym właśnie do niego. W młodości Harry zdecydowanie nie świecił przykładem, na szczęście jednak spotkał Bess, która, jak sama twierdziła, a on się z nią zgadzał, potrafiła wydobyć z niego to wszystko, co najlepsze... ale miała co wydobywać, bo to czekało na nią ukryte w jego sercu. A teraz Harry zastanawiał się, co kryje się w sercu Monterey.

- Nie bardzo wiem, jak ci poradzić w tej sprawie - odrzekł - mogę tylko pokusić się o kilka sugestii. Może stawiasz mu za duże wymagania? Ralph jest młodym człowiekiem, dopiero szuka swojego miejsca na świecie. Cieszy się względami królowej, nawet tu, na prowincji, krążą na ten temat plotki, a poza tym żyje swoim nałogiem. Całym dniami gra w karty. Ponieważ hazard zajmuje mu wiele czasu, odwraca to jego uwagę od poważnych rozmów. Myślę, że podobnie można powiedzieć o większości dworzan Elżbiety... Z drugiej strony Ralph przyjechał do mnie z pokorą prosić o twoją rękę i to mu się chwali. Poza tym pochodzi z dobrej, szanowanej rodziny. Czy pokłóciliście się o coś konkretnego?

- Owszem, była między nami kłótnia - przyznała i szczerze zrelacjonowała ojcu wydarzenia w Transmere, jak również wszystkie ich następstwa. - Ralph był bardzo zły z tego powodu - zakończyła.

Harry uniósł brwi.

- Nic dziwnego! Co właściwie innego, ty i Jack, sobie wyobrażaliście?

Gestem wyrażającym zniecierpliwienie odgarnęła włosy do tyłu.

- Nic, walczyliśmy o życie! - zapewniła ojca. - Jednak Ralph w ogóle nie słuchał moich tłumaczeń i chciał wyzwąć Jacka na pojedynek, by bronić mojego honoru! Naturalnie do tego nie mogłam dopuścić i z kolei ja wpadłam w złość, że Ralph widzi powody do

pojedyńku. Jednakże.

- Co się stało, kiedy spotkali się na ubitej ziemi? - przerwał córce Harry.

- Nie spotkali się. Jack obiecał mi, że potem porozmawia z Ralphem na ten temat i przypuszczam, że to uczynił.

- Dzięki Bogu! - Harry omal się nie roześmiał. - Inaczej nie miałabyś narzeczonego i znikłby powód do zmartwień.

Anna przez chwilę milczała.

- Odeszliśmy od tematu - powiedziała w końcu. - To, o czym ci opowiedziałam, zdarzyło się już dawno, lecz od tamtej pory nie opuszczają mnie wątpliwości. Dlatego przyjechałam do domu, żebyś utwierdził mnie w przekonaniu, że słusznie postępuję.

Przesłała mu spojrzenie, jakie widział u niej tysiące razy: „Tato, ratuj! Boli palec, starłam kolano, zachorował mój ulubiony żreback, babcia umarła, chociaż tak ją kochałam!”.

To nie takie proste, pomyślał kwaśno Harry. Nie lubił Ralpa Montereja i dlatego nie zamierzał zbyt gorliwie bronić jego interesów. Zresztą to, co powiedziała Anna, w opinii Harry'ego wcale nie świadczyło na korzyść Ralpa. Zachował się bardzo małostkowo, nie uwierzywszy narzeczonej i zwątpiwszy w słowa Hamiltona.

Szkoda, że mnie tam nie było, kiedy Jack z nim rozmawiał, pomyślał. Zaraz potem nawiedziła go następna myśl, jeszcze bardziej niepokojąca.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że jeszcze inny mężczyzna zwrócił twoją uwagę?

- Och, nie! - wykrzyknęła Anna. - Skądże! Na dworze w Greenwich Ralpa i mnie uważa się już za parę i żaden inny mężczyzna nie próbował się do mnie zbliżyć. W każdym razie nic takiego nie zauważyłam.

- A Jack Hamilton też nie?

Anna spojrzała na ojca szczerze zdumiona.

- Nie, ojczec. On nie myśli w taki sposób o żadnej kobiecie z wyjątkiem swojej zmarłej żony. Czy wiesz, że w Ravensglass wystawił świątynię ku jej czci? Nie wspomniałam o tym wcześniej, bo szanuję jego uczucia, ale fakt pozostaje faktem. Jack myśli o swojej Marie Claire nawet wtedy, kiedy odjedzie daleko od domu. - Zamilkła na moment. - Jesteśmy tylko przyjaciółmi, co sobie bardzo cenię, ale nic poza tym. On nie interesuje się mną jako kobietą. A ja nim jako mężczyzną - dodała szybko.

Znowu zapadło milczenie. Anna zastanawiała się, dlaczego to ostatnie zdanie wypowiedziała zupełnie bez przekonania.

Harry przypominał sobie, jak Jack patrzył na Annę przez cały wieczór, z jaką czułością wziął od niej przemoczoną pelerynę i pomógł jej usiąść na krześle przy kominku. A

potem surowo spytał, czy nie przemoczyła trzewików i czy nie wołałaby raczej czegoś rozgrzewającego do picia, zamiast swojej ulubionej maślanki.

Przez czterdzieści lat Harry napatrzył się na różne dziwaczne związki i uważał, że potrafi poznać oznaki wzajemnego zainteresowania, i teraz był pełen jak najgorszych przeczuć. Wołałby bowiem Monterey'a ze wszystkimi jego wadami niż Jacka z nienormalnym stosunkiem do swej przeszłości.

- No dobrze, moja droga, pośpijmy teraz, a rano porozmawiamy jeszcze raz, kiedy wstanie matka. Ona doskonale umie dawać takie rady, jakich potrzebujesz.

Wstał, żeby zgasić świece, a potem ustawił zasłonę przed kominkiem.

- Prawdę mówiąc, wątpię, czy ujdzie ci na sucho ten wyjazd z Greenwich - rzucił z udaną beztróską. - Elżbieta bardzo rygorystycznie wymaga posłuszeństwa.

Anna niechętnie podniosła się z krzesła. Jeszcze parę chwil i po prostu zasnęłaby przed kominkiem.

- Jestem pewna, że mnie zrozumie. Wyłumaczę się przed królową.

Harry dyskretnie się uśmiechnął. Anna była bardzo bystra i szybko orientowała się w toku każdej dyskusji, ale na ludziach się nie znała. Jakże naiwnie sądziła, iż zdoła się wyłumaczyć przed Elżbietą swoją tęsknotą za domem i tym, że Jack Hamilton jest „tylko przyjacielem”. Ale...

Zmierzył smoliste włosy córki i podawszy jej ramię, odprowadził na piętro.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jack, który zawsze wstawał wcześniej, tuż przed świtem cicho zszedł po schodach i z zaskoczeniem stwierdził, że Harry już jest w wielkiej sali. Zobaczywszy gościa, wstał i zaprosił go do salonu na kufel piwa przed śniadaniem. Poprzedniego wieczoru zwróciło jego uwagę, że Jack nie pije winą, więc gdy usiedli w salonie, zaczął niefrasobliwie:

- Wciąż zachowujesz wstrzemięźliwość, Jack?

- Owszem. Nikt nie może powiedzieć, że Hamilton zapomina tego, czego się nauczył. Kto raz się sparzył...

Harry rozprostował swoje długie nogi przed kominkiem. Trzaskał już ogień, Walter bowiem rozpalił go natychmiast, gdy usłyszał pana na schodach.

- Rozumiem, że również unikasz wszelkich sytuacji, w których mógłbyś się sparzyć.

- O co konkretnie ci chodzi?

- Nie owijajmy w bawełnę, Jack, to nie przystoi starym przyjaciółom. Masz mi coś do powiedzenia, prawda? O Annie.

Hamilton wstał i podszedł do okna. Za szybą rozciągał się widok, który nawet przy tak mało zachęcającej pogodzie nie tracił uroku. Dzięki talentom Bess w Maiden Court ogród mienił się kolorami przez cały rok, a nadchodząca wiosna zaczynała dawać znaki dwa miesiące wcześniej niż gdzie indziej. Jacka nie zdziwiło, że Harry zorientował się w jego uczuciach do Anny, zawsze bowiem był bystry w takich sprawach.

- Kocham ją - powiedział. - Zakochałem się w niej. Nagle zdarzył się ten cud, o którym mówiłeś wiele lat temu w Ravens - glass.

Harry dolał sobie piwa, chociaż wolałby w tej chwili napić się czegoś mocniejszego.

- Nie graj na zwłokę, mój chłopcze, tylko mów, jak jest. Jack odwrócił się od okna.

- Nie kpij ze mnie, Harry.

- Za nic na świecie bym się nie wazył, powinienes to wiedzieć. Powiedz mi jednak, Jack, jak wyobrażasz sobie ciąg dalszy.

- W ogóle go sobie nie wyobrażam - odparł bezbarwnie Hamilton. - Nie mam pojęcia, jak to się może skończyć. Wiem tylko jedno. Anna wybrała sobie bezwartościowego człowieka, któremu nie powierzyłbyś swojego konia, Harry.

To był ich stary żart; powiedzonko, którego Latimar używał jeszcze za swoich dworskich czasów. Harry jednak się nie uśmiechnął.

- Pochodzi ze starej i szanowanej rodziny - powiedział z wyrzutem - poza tym nagle i dość niespodziewanie zaczął się cieszyć łaskami królowej. Młodemu człowiekowi może od

czegoś takiego zaszumieć w głowie. Pewnie potrzebuje czasu, żeby przyzwycząić się do sytuacji.

—Jemu od urodzenia szumi w głowie - odparł szorstko Jack. - Kiedy miał siedemnaście lat, w niczym nie mogłem na nim polegać. Strach było zostawić go z kobietą albo dać najprostszą pracę do wykonania. Może jednak nie wiesz, że przez rok służył w Ravensglass?

Harry zrobił zdziwioną minę.

- Rzeczywiście, nie wiedziałem o tym... ale twoja północna forteca może przestraszyć nawet najlepszego chłopaka...

- Wiem! Przez ostatnie dziesięć lat przewinęły się tam tysiące młodych mężczyzn. Niektórzy są w stanie sprostać wyzwaniu, inni nie, i to wcale nie wpływa na moją ocenę ich charakteru. Jednak Ralph wcale nie był przestraszony, jak to ująłeś, bo on tym gardził. Gardził wartościami, które my wszyscy, również i ty, Harry, stawiamy tak wysoko, że bylibyśmy gotowi oddać za nie życie. - Przystanął i zerknął na zamknięte drzwi. - Naturalnie nie powinienem mówić w ten sposób. Nie przystoi człowiekowi zajmującemu moją pozycję krytykować swoich podwładnych, choćby i byłych.

Harry poczuł, że jednak musi się napić czegoś mocniejszego, by dalej prowadzić tę rozmowę. Znalazł wino i szczerze napełnił nim kielich.

Jack Hamilton był niezwykle młodym człowiekiem, pomyślał. Jako paź, w wieku piętnastu lat sprawiał tyle kłopotów, że żaden dworzanin o pozycji Harry'ego nie zatrzymałby go w służbie, a jednak on tolerował jego wybryki, a co więcej, nawet podziwiał młodzieńca. I to się nie zmieniło.

- Rozmawiamy o Annie - przypomniał. - Jak poważne zamiary masz w stosunku do mojej córki?

Hamilton się zawahał.

- Bardzo poważne, Harry. Znam siebie i myślę, że udało mi się dobrze poznać twoją córkę. Ona uwielbia dworskie życie, ma wszystkie niezbędne cechy, by tam zabłysnąć, a Ralph stanowi jej dopełnienie. Jest przystojny i utalentowany, właśnie tego potrzeba dworakowi należącemu do tak zwanej elity. - Zmarszczył brwi. - Jednak Anna ma w sobie również coś więcej. Pod atrakcyjną powierzchownością ukrywa szczodrość i zyczliwość oraz jasny umysł. Krótko mówiąc, jest dla Monterey'a o wiele za dobra...

Harry spojrzął na niego ze smutkiem. Doskonale wiedział to wszystko, co przyjaciel przed chwilą powiedział o Annie, i rozumiał, że to, czego ona teraz pragnie, w przyszłości wcale nie musi uczynić ją szczęśliwą. Zaraz potem Jack wyraził jego myśl głośno:

- Wiesz, ona zupełnie nie umie określić swoich potrzeb.

Zapadło milczenie. Z dziecięcego pokoju na piętrze dolatywały krzyki najmłodszego syna Harry'ego, usiłującego zwrócić na siebie uwagę. W kuchni zaczęto przygotowywać poranny posiłek, toteż mimo szczelnie zamkniętych drzwi, do salonu sączyły się smakowite zapachy. Na dziedzińcu nawoływali się stajenni ćwiczący konie. Wstał dzień.

- Nie wiem, jak mogę ci pomóc, Jack - powiedział bezradnie.

- Pewnie byś nie pomógł, nawet gdybyś mógł - stwierdził kwaśno Hamilton. - Nie mam racji?

- Powiem ci wprost - oznajmił Harry. - Ralph Monterey nie jest kandydatem na zięcia, jakiego troskliwy ojciec powitałby z otwartymi ramionami, gdyby mógł sam wskazać córce innego mężczyznę, którego powinna poślubić. Jednak Ralpha rozumiem i znam takich jak on, a ciebie niełatwo mi określić jednym słowem. - Też wstał i zaczął się przechadzać po komnacie, a w dłoni wciąż trzymał kielich. - Zrozum, Jack, to jest kwestia doświadczenia. Znakomicie wiem, jaką reputację ma Ralph, że ostro gra i nie jest wolny od innych wad, ale na własnym przykładzie przekonałem się, że dżentelmen, powodowany miłością do kobiety, może pokonać takie... słabości.

- On jest zupełnie inny niż ty! - zaprotestował gwałtownie Jack. — Anna sądzi, że wybrała kogoś podobnego do ciebie, i pozornie ma rację, ale wiedz, przyjacielu, że gdyby to tobie wypadło stacjonować w Ravensglass w okresie granicznych niepokojów, to bez namysłu byłbym gotów powierzyć ci i swoje życie i życie młodych ludzi, którzy pozostają pod moją komendą. Nie przesadzam. Innymi słowy, moim zdaniem można postępować tak jak Monterey, dopóki ma się szlachetne serce. A on go nie ma. - Po chwili milczenia, z niezwykłym dla niego wahaniem, powiedział: - Rzecz jasna nie rozumiesz, o co mi chodzi. To naturalne, że przyjmujesz Montereya, jest przecież dobrą partią dla Anny. Ale... - Hamilton nagle wydał się Harry'emu bardzo młody i bezbronny. - Ale czy on jest o tyle lepszy ode mnie?

- Lepszy? Nie, jest stanowczo gorszy. Tu bardziej chodzi o twoją... przeszłość.

- O jaką przeszłość? Ożeniłem się młodo z kobietą, którą uwielbiałem. Straciłem ją i nie umiałem się z tym pogodzić tak, jak inni ludzie godzą się z losem w podobnej sytuacji. Teraz jednak... moje uczucia się zmieniły. To jeszcze bardzo świeża sprawa i nie umiem o tym dobrze opowiedzieć, ale w każdym razie... moje uczucia się zmieniły. - Po chwili dodał takim tonem, jakby pierwszy raz przyznawał się do tego przed sobą samym: - To Anna mnie odmieniła.

- Hm. - Harry poruszył się niespokojnie. Ten człowiek rzeczywiście się zmienił. Harry

zbił fortunę na czytaniu w twarzach współgraczy, dzięki czemu przejmował ich sakiewki, a chociaż Jack był jak otwarta księga, kiedy siadał do karcianego stolika, to w innych sytuacjach zwykle nosił nieprzeniknioną maskę. Tego ranka jednak uczucia miał wymalowane na twarzy.

Harry bardzo lubił Marie Claire Hamilton i często myślał, że pod pewnymi względami przypomina Bess, choć brakowało jej błyskotliwości, no i naturalnie urody. W swoim czasie był jednak zachwycony szczęśliwym małżeństwem przyjaciela i głęboko przeżył tragiczny koniec tego związku. Jednak Jack darzył Marie Claire subtelnym, ciepłym uczuciem, które Harry'emu wydawało się zupełnie niepodobne do tego, czego jego przyjaciel ostatnio doświadczał.

Upił wina, bardzo nieszczęśliwy, że musi brać udział w tej rozmowie. A dzień dopiero się zaczynał!

- Byłbym ci wdzięczny za szczerość - powiedział Jack. - Chociaż - dodał z wisielczym humorem - szczerość i chęć oszczędzenia starego przyjaciela nie idą dzisiaj w parze.

Harry skubnął swój brylantowy kolczyk.

- Mogę tylko powtórzyć, Jack, że chociaż Ralphowi daleko do ideału, to oboje z Anną mogą przynajmniej zacząć małżeńskie życie na równych prawach. Nie myślę przy tym o wieku, bo zapewne przeżyjesz większość hulaków, którzy są teraz na dworze, jednak wydaje mi się, że nie umiałbyś się powstrzymać od nieustających i wszechstronnych porównań, a nie chciałbym, żeby moja córka musiała rywalizować z damą, która ma zbudowany pomnik w twoim sercu.... Zresztą - podjął, gdy Jack nie zaprzeczył - sama sobie wybrała Monterey, a w każdym razie nie słyszałem od niej, by zmieniła zdanie. Nie sądzę też, by zdawała sobie sprawę z twojego zainteresowania jej osobą, naturalnie poza przyjaźnią.

- Masz rację - przyznał Jack - ale ponieważ prosiłem cię o szczerą odpowiedź na wszystko, co przed chwilą powiedziałem, słucham dalej.

Wobec tak wyrażonego życzenia Harry nie mógł stosować dyplomatycznych uników, zwłaszcza że rozmawiał z wypróbowanym przyjacielem.

- Czy to coś zmieni, jeśli powiem, że nie jestem szczęśliwy. gdy myślę o twoich ewentualnych zalotach do Anny?

- Nie - zapewnił ze śmiertelną powagą Jack. - Gdyby jednak zdarzył się następny cud i Anną spojrzalaby na mnie łaskawie, to nie powstrzyma mnie ani to, co myślisz, ani to, co mówisz, ani nawet to, co mógłbyś zrobić.

Harry odstawił pusty kielich. Z wielkiej sali dobiegły go odgłosy zastawiania stołu. Otworzył drzwi na korytarz.

- Teraz już wiem - zniżył głos i odwrócił się do Jacka - ale zajrzyj najpierw do swojego serca. Jesteś doświadczonym mężczyzną, a Anna, wbrew pozorom, to jeszcze naiwna panna. Jak wiele z tego, co czujesz, należy przypisać twym nagle odrodzonym... potrzebom ciała? Inaczej mówiąc, jeśli nie możesz uczciwie powiedzieć, że miłość, którą darzysz Annę, istnieje również w twojej duszy, to idąc za głosem swoich namiętności, wyrzadzisz mojej córce wielką krzywdę, a tego ci nie wybaczę. Chodźmy na śniadanie.

Atmosfera przy stole była napięta już przed zejściem Anny i Bess na dół, a potem w niczym się nie zmieniła. Na szczęście nikt z dorosłych nie miał okazji się odezwać, nawet gdyby bardzo chciał, bo mały Hal Latimar, który dopiero niedawno odkrył cud porozumiewania się za pomocą słów, zdominował wszystkich. Buzia mu się nie zamykała. Ponieważ zaś, wzorem pozostałych Latimarów, szybko wyrabiał sobie opinię o poznanych osobach, prawie natychmiast uznał, że Jack należy do jego ulubieńców.

Hamilton cierpliwie znosił objawy zachwytu malca, a nawet przez większą część posiłku trzymał go na kolanach, i tylko Anna zastanawiała się, czy pamięta, co jej powiedział o swoim nie narodzonym dziecku.

Była trochę przygaszona i zawstydzona, z samego rana dostała bowiem burę od matki za opuszczenie bez pozwolenia pałacu w Greenwich. Broniła się tym, że poczuła nieodpartą potrzebę odwiedzenia domu, ale matka wytoczyła ciężką artylerię, wspomniała o obowiązkach, honorze i o wstydzie, który stanie się udziałem rodziny, jeśli Anna nie podporządkuje się zasadom.

Mimo to dziewczyna miała poczucie, że najchętniej machnęłaby ręką na wszystkie konwencje i została w domu na stałe. Nie powiedziała jednak tego głośno i w ogóle niewiele się odzywała, przede wszystkim bowiem obserwowała, jak rozwija się znajomość Hala z Jackiem.

Milczała również Bess, która zeszła na dół ze stanowczym postanowieniem zbesztania Jacka za to, że wiał udział w tej awanturze. Podczas rozmowy z Anną powiedziała wszystko, co powinna powiedzieć troskliwa matka, przez cały czas jednak intensywnie myślała. Ależ jej córka się zmieniła!

Jeszcze niedawno Anna koniecznie chciała poznać dworskie życie i ludzi, których podziwiała, a teraz nagle zdawała się mieć to wszystko za nic. Podczas zaledwie kilku miesięcy niezwykle dojrzała i Bess przerażała myśl, że stało się to tak szybko. Do Greenwich wyjeżdżała zwykła trzpiotka, a teraz w wielkiej sali siedziała piękna, lecz jakby obca dama, wprowadzona we wszystkie tajniki eleganckiego życia, jakie Bess mogła sobie przypomnieć, a jednocześnie pełna wewnętrznej siły.

Harry przez cały posiłek rozpamiętywał ze smutkiem rozmowę z Hamiltonem. Dobrze znał Jacka i wiedział, że w tym znamienitym i śmiertelnie dla wrogów groźnym oficerze drzemie serce pełnego liryzmu poety. Jeśli Jack zdecyduje, że chce mieć Annę, to za nic nie ustąpi. Ralph Monterey, jakże stosowny kandydat, zostanie odsunięty na bok, skończy się też służba córki u Jej Wysokości, a powód tego wszystkiego może okazać się nadto prozaiczny.

Jack z uśmiechem na twarzy zajmował się najmłodszym Latimarem, ale i on miał chwile zwątpienia. Harry dotknął sedna sprawy. W jakim stopniu jego uczucie jest hołdem dla kobiety, którą Anna szybko się staje, a w jakim wynika z dręczących marzeń i snów o fizycznym zespoleniu, które ostatnio nawiedzają, go coraz częściej? Nie znał odpowiedzi na to pytanie.

- Są na mnie źli - westchnęła Anna, gdy Maiden Court znikł jej z oczu, a przed nią wiała się droga do stolicy.

- Naturalnie - potwierdził Jack. - Znają dworskie życie i obawiają się wstydu.

- Wiem. - Anna osłoniła głowę kapturem peleryny. Powietrze było chłodne, ale rzeźwiące, a droga, choć błotnista, nie stanowiła problemu dla podkutych koni. - Mimo to naprawdę chciałam zostać w domu.

Jack ocenił wprawnym okiem jej klacz. Jenny już doszła do siebie po kontuzji odniesionej w Transmere, podobnie jak jej pani, ale i tak obie wymagały jego czujnej troskliwości.

- Tak mi się zdawało. Musisz jednak wrócić, pani, do królowej, spuścić głowę i tańczyć tak, jak ci zagrają.

- Pfuj! Nie znoszę tego wyrażenia, zwłaszcza od czasu, gdy odkryłam, że na dworze jest mnóstwo ludzi, którzy uważają się za mistrzów w tańcu, chociaż nie mają o tym pojęcia.

Jack wybuchnął śmiechem. Ostatnio wchodziło mu to w nawyk, chociaż przedtem nie śmiał się latami. Z niepokojem uświadomił sobie, że i on chciałby zostać w Maiden Court, choć powinien myśleć tylko o powrocie do Ravensglass. Od dziesięciu lat, gdy tylko musiał opuścić twierdzę, zawsze dokładnie obliczał, jak szybko będzie mógł wrócić.

Bez głębszego namysłu nagle zapytał:

- Czy obawiasz się, pani, reakcji Ralpha na swoją eskapadę?

- Och, nie - odrzekła niezbyt przytomnie Anna. - On na pewno nie zauważył mojej nieobecności.

- Nie zauważył...

Jack ugryzł się w język, zanim wymusknęły mu się kompromitujące słowa: „Gdybyś była moja, zauważałbym wszystko, co robisz od rana do wieczora! Doskonale widziałbym

nawet najzwyczajniejsze, codzienne czynności. A gdybyś w taką pogodę wyjechała, nie zaznałbym spokoju, póki nie wróciłaś cała i zdrowa”.

Spojrzał w niebo. Dobry Boże, pomyślał, czy to jest miłość? Jeśli tak, to nigdy dotąd nie zaznał tego uczucia. Z pewnością nie jest podobne do czci, jaką otaczał Marie Claire, jak również nie przypominało tego, o czym wspominał Harry, to znaczy czysto cielesnej żądy.

Najtrudniej mi się pogodzić z tym, myślał dalej, że z prostej drogi sprowadziło mnie nie pożądanie, lecz coś o wiele głębszego. Poczytywał to sobie za zwykłą zdradę wobec Marie Claire, której tak długo dochował wierności.

- To dobrze - powiedział beztrząsco - bo nie chciałbym się znaleźć drugi raz w tej samej sytuacji, co przed świętami.

- Jak to się skończyło, Jack? W jaki sposób się z tego wykręciłeś?

Właściwie mógł jej streścić fakty. Poszedł do Monterey i bez ogródek powiedział:

- Nie jestem żółtodziobem i nie dam się tak łatwo wyprosić na tamten świat, jak twoi poprzedni przeciwnicy. Możesz wybrać dowolną broń, i tak będę górą, na pewno sam to wiesz, bo radziłem sobie z lepszymi. Co wolisz, Ralph? Zawieramy przyjacielską umowę, że szanujemy naszą różnicę zdań, czy spotykamy się o świcie w jakimś ustronnym miejscu, którego najpewniej nie opuścisz żywy?

Ralph natychmiast odzyskał rozum, W gruncie rzeczy wcale nie miał do Hamiltona pretensji o Transmere, jego niechęć narodziła się w dużo dawniejszych czasach. Co więcej, królowa, której łaski spływały na niego ostatnio bardzo obficie, absolutnie nie tolerowała rozstrzygnięcia spraw honorowych przez pojedynki, nie chciał więc sprowadzić na siebie jej gniewu. Poza tym był bardzo pewny Anny, no i w duchu przyznawał, że Hamiltonem lepiej nie zaczynać. Dlatego wycofał się z godnością, gdy tylko nadarzyła mu się okazja.

Jack szukał teraz wyjaśnienia, które zadowoliliby dziewczynę.

- Ralph tak naprawdę wcale nie chciał się pojedynkować - powiedział w końcu. - Nie tylko z obawy o to, że będziesz się tym martwić, pani, lecz również dlatego, że jestem wypróbowanym przyjacielem twojego ojca. Postawiłby się w bardzo niezręcznej sytuacji, gdyby dążył do starcia.

- Cieszę się - powiedziała Anna. - W tym Ralph ma rację. Mój ojciec byłby bardzo niezadowolony z waszej waśni. Rozumiem więc, że wszystko zostało po staremu.

Nie bardzo, pomyślał Jack i przez resztę drogi dumał nad swoimi kłopotami.

Przed wszystkim czuł wielką niechęć do powrotu na królewski dwór, nie chciał bowiem znowu znaleźć się blisko Ralpha Monterey. Wprawdzie nie znosił tego człowieka, był jednak jego bratem w szlacheństwie, a co za tym idzie powinien przestrzegać określonego

kodeksu, lecz teraz, choć zaledwie w myślach, postępował wobec niego nielojalnie. Wprawdzie zaręczyny Anny z jej kawalerem jeszcze nie zostały oficjalnie ogłoszone, powszechnie jednak wiadano, że należy ich oczekiwać, toteż każdy inny mężczyzna wkraczający na teren Ralpa łamał podstawowe reguły.

Jacka gryzło sumienie również z tego powodu, że nie oświadczył się Annie wprost, ale z uwagi na jej miłość do Monterey'a i poglądy Harry'ego, może jednak postąpił właściwie, zwłaszcza że nie bardzo umiałby znaleźć słowa dla wyrażenia swoich uczuć.

Anna naturalnie zauważyła jego zaabsorbowanie, ponieważ jednak nie znała przyczyn, poczuła się urażona mrukliwością towarzysza. Wyglądało na to, że gdy ona postąpi jeden krok w celu zacieśnienia ich przyjaźni, Jack natychmiast robi dwa kroki do tyłu.

Zamglone, perłowe słońce, które ani na chwilę nie przebiło się przez chmury, wolno znikało za horyzontem, gdy przed ich oczami zamajaczyła sylweta pałacu w Greenwich.

Na stajennym dziedzińcu Jack pomógł Annie zsiąść z klaczy. Chciał ją natychmiast pożegnać i odejść, ale mu na to nie pozwoliła.

- Jack - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy - cokolwiek się stanie, a przypuszczam, że znowu wpadłam w tarapaty, chcę ci podziękować, że zawiozłeś mnie do domu. To był z twojej strony dowód prawdziwej przyjaźni. Gdybym mogła ci, panie, odwdziżyć się w jakiś sposób, koniecznie daj mi znać.

Przyjrzał się jej uroczej twarzy i zauważył, że mimo męczącej podróży, Anna nie wydaje się szczególnie utrudzona. Porównania są nieuniknione... no cóż, Harry miał rację, bo Jack zestawiał teraz Annę z Marie Claire. Jednakże panna Latimar wcale nie wypadła w tym porównaniu niekorzystnie.

Marie Claire słabo jeździła konno i nie lubiła tego robić, zawsze wolała iść piechotą albo skorzystać z powozu. Jackowi bardzo się to u niej podobało, bowiem uważał to za przejaw kobiecości. Z drugiej strony, jeszcze żadna panna nie wydawała mu się tak kobieca, jak Anna w siodle, mimo że potrafiła zapanować nad każdym koniem i nigdy nie traciła ducha, gdy napotykała trudności.

- Co się stało? - spytała, próbując coś wyczytać z jego nieprzeniknionej twarzy. - Czy sądzisz, panie, że możesz mieć kłopoty z powodu mojego nieroztropnego uczynku? Nie martw się. powiem, że to ja zmusiłam cię do tej jazdy, a jako prawdziwy dżentelmen nie miałeś wyjścia, bo musiałeś chronić mnie przed nieszczęściem.

- Tego się nie obawiam, ale ty, pani, musisz jednak czuć pewien niepokój.

- Och, konsekwencje nic mnie nie obchodzą. Nie zmartwię się, jeśli królowa odeśle mnie do domu, jedynie przykra jest myśl, że zostanę surowo zbesztana i skrzyczana, a tego

bardzo nie lubię.

- Cieszę się, pani, że nie czujesz obawy, zresztą wiem, że nigdy ci się to nie zdarza. A poza tym - dotknął jej lśniących pukli dłonią odzianą w rękawiczkę - pięknie kręca ci się włosy.

Ten ton, którym Jack nie mówił do żadnej innej kobiety, jak zwykle ją zirytował. Odsunęła się od Hamiltona. - Dobranoc. Jutro na pewno się zobaczymy.

Zbieg okoliczności sprawił, że nieobecność Anny w Greenwich nie została zauważona. W południe poprzedniego dnia królowa nie zeszła na posiłek z powodu złego samopoczucia, a potem szybko się położyła. Godzinę później miała wysoką gorączkę, przyzwano więc medyków, a wszystkie damy dwora wpadły w panikę.

Królowej zdarzały się niekiedy dziwne ataki słabości ogarniające całe ciało i powodujące silne bóle mięśni oraz stawów, ale zwykle szybko mijały. Poważna przypadłość nie zdarzyła się Elżbiecie od czasu, gdy otarła się o śmierć, zaraziwszy się ospą przed kilkoma laty. Właśnie od tamtej pory dręczyły ją te ataki.

Gdy Anna dyskretnie wślizgnęła do swej komnaty sypialnej, spostrzegła, że jej współtowarzyszki są bardzo wyczerpane, przez całą noc musiały bowiem na zmianę czuwać przy królowej. Nie zwracały więc uwagi na nic innego.

Właśnie się przebierała, gdy przyniesiono radosną nowinę, że Jej Wysokość przestała gorączkować, jest na drodze do wyzdrowienia i nawet zjadła lekki posiłek. A że nie chciało jej się spać, życzyła więc sobie, by któraś z dam jej poczytała.

Anna natychmiast zgłosiła się na ochotnika i udała się do królewskiej sypialni. Odwiedziny w domu i rozmowa z ojcem nie przyniosły jej spodziewanej ulgi, chociaż opowiedziała o swoich obawach i przez to trochę się z nimi oswoiła.

Wieczorem Ralph, który z powodzeniem zakończył wielogodzinną partię kart, przyszedł do Anny. Wydał jej się tak samo fascynujący jak zawsze. Wkrótce rozpoczęły się tańce, ponieważ królowa w ten sposób nakazała uczcić swój szybki powrót do zdrowia.

Ralph wygrał w apartamentach lorda Astwicka nie tylko sporo pieniędzy, lecz również wartościową biżuterię. Nie było w tym nic niezwykłego. Dżentelmeni, którzy stracili pieniądze, często stawiali rodowe klejnoty, by dalej uczestniczyć w grze.

Gotówkę i większość klejnotów Ralph postanowił przeznaczyć na spłatę długów, zachował jednak lśniący rubinowy pierścień, który teraz wręczył Annie.

- Weź go zamiast tej namiastki, którą ofiarowałem ci w ubiegłym roku, kiedy się zaręczaliśmy - powiedział, przesyłając jej spojrzenie, które wyrażało, jak się wydawało, absolutnie szczere uczucie.

Anna nie miała pojęcia, że klejnot ten ściągnął z palca i cisnął na stół pewien młody dżentelmen, który odziedziczył pierścień po przodku, uczestniku wypraw krzyżowych. Młodzieńcowi nic to jednak nie pomogło, toteż wkrótce odszedł od stolika zrujnowany i bliski łez. Tak czy owak, Anna zachwyciła się prezentem.

- Och, bardzo mi się podoba, Ralph. Skąd wiedziałeś, że rubiny to moje ulubione kamienie?

- Domyśliłem się, najmilsza. Masz takie ciemne oczy i piękne, czerwone usta, więc to musi być twój klejnot - odrzekł gładko.

Bardzo to było miłe i romantyczne. Anna z dumą włożyła pierścień na palec, podobnie jak z dumą myślała o swoim związku z Ralphem. Tymczasem gwiazda Montereya błyszczała coraz jaśniejszym światłem na dworze Tudorów. To jednak dla Anny nie znaczyło już tyle, ile znaczyłoby w wieczór przed wyjazdem do Ravensglass.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Trzy dni później Elżbieta, znacznie już silniejsza, choć wciąż jeszcze pozostająca w łożu boleści, zażyczyła sobie, by w komnacie zgromadziło się całe jej najbliższe otoczenie. Dostała w prezencie tomik nowej, bardzo niezwyklej poezji włoskiej i chciała, by jej poczytano. Zadanie to powierzono Ralphowi Montereyowi, który dobrze mówił po włosku, a Anna szczerze podziwiała jego wysiłki.

Lektura trwała długo, dlatego dziewczyna, nie znająca tego języka i podobnie jak reszta towarzystwa, znużona duchotą panującą w komnacie, usiadła w zacienionym kącie z Robertem Dudleyem.

Przemknęło jej przez głowę, że gdyby pozycja Ralpha była inna, mógłby zostać aktorem. Ma atrakcyjny wygląd, piękny głos i zgrabne ruchy, więc z pewnością wyróżniłby się w tym rzemiośle, zwłaszcza że potrafi dawać każdemu słuchaczowi dokładnie to, czego ten chce...

Boże, skąd u mnie taka cyniczna myśl? - przerażona, zapytała samą siebie. Co za zrzędlivość i nielojalność! Zacisnęła dłonie trzymane na kolanach, próbując skupić się na deklamacji.

Robert zerkał na nią z ukosa. Mała panna Latimar staje się coraz piękniejsza, pomyślał. Ostatnio przyciąga wzrok również czymś, czego wcześniej nie miała, i choć trudno to coś nazwać, niewątpliwie ma ono wielkie znaczenie.

- Jak ci się podoba widok ukochanego, który popisuje się swymi wdziękami przed królową, Anno? - spytał.

Prowokuje mnie! - pomyślała i zacisnęła usta, jednak zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że uwaga Dudleya wcale nie jest bezzasadna. Tego wieczora Ralph istotnie mógłby zostać wzięty za kochanka adorującego swoją wybrankę.

- Szybko rośnie - dodał cicho Robert - a ci, którzy od niego zależą, muszą chyba pogodzić się z tym, że stoją na dalszych miejscach za obiektem jego ambicji.

Anna w ostatniej chwili ugryzła się w język, bo już miała gotową, ciętą odpowiedź, lecz jakież miałyby to sens? Dudley tylko stwierdził to, co sam Ralph wyraźnie dawał do zrozumienia, a mianowicie że zamierza zrobić karierę, schlebając swojej pani. Za to bardzo nie spodobała jej się sugestia, jakoby i ona należała do orszaku chwalców. Owszem, była lojalna wobec Elżbiety, podziwiała ją i uważała za mądrą kobietę, mającą wszystkie cechy konieczne do rządzenia Anglią. Na tym jednak jej podporządkowanie się kończyło. Nie należała do grona płaszczących się pochlebców, którymi otaczała się monarchini.

Duszną komnatę, w której unosił się ciężki zapach perfum, nagle wydała jej się nie do zniesienia. Anna pomyślała, że chciałaby teraz poczuć na twarzy podmuch wiatru przelatu- jącego nad Greenwich i znaleźć się wśród ludzi o szczerych sercach.

Z Jackiem Hamiltonem. Anna uchwyciła się tej myśli. Musi zobaczyć Jacka! Odstawiła flakonik olejku, którym przedtem nacierała czoło Jej Wysokości.

- Myślę, że udam się na spoczynek, milordzie - powiedziała cicho.

Dudley popatrzył za nią i zaśmiał się pod nosem. Och, panna Latimar nigdy nie będzie na sznurku mężczyzny, pomyślał. Jestem gotów się założyć, że Monterey jednak jej nie dostanie, ale ktokolwiek to będzie, zwiąże się z kobietą żądającą w małżeństwie równych praw. Niech Bóg jej ześle mężczyznę, który byłby wart tak nadzwyczajnej kobiety.

Szukając Jacka, Anna zajrzała najpierw do stajni i dowiedziała się, że już zostawił swojego konia na noc. Potem sprawdziła, czy nie ma go w wielkiej sali, obeszła przedsionki i nawet sprawdziła salkę do pisania listów, w której kiedyś rozmawiali. Nigdzie jednak nie zastała Hamiltona, więc na tym skończyły się jej możliwości, jeśli nie chciała wdzierać się do komnat, w których przebywali wyłącznie dżentelmeni.

Przez cały czas tych poszukiwań nie zastanawiała się, po co je prowadzi, aż wreszcie, przystanąwszy u podnóża głównych schodów, zaczęła o tym myśleć. Nie widziała Jacka od trzech dni. Nie przyszedł jej odwiedzić, ale naturalnie musiał słyszeć o chorobie królowej, więc pewnie sądził, że jej damy mają wiele obowiązków.

Stała wsparta na masywnym, rzeźbionym słupie balustrady, i dumiała. Dlaczego tak bardzo chce zobaczyć Hamiltona? Jest jej przyjacielem, ale przecież teraz ma wielu przyjaciół. Wszystkie damy dwora dawały jej do zrozumienia, że bardzo się cieszą z jej towarzystwa, a znajomi Ralpa zalecali się do niej, naturalnie w ramach przepisanych etykiety.

A jednak chciała zobaczyć właśnie Jacka i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego. Wciąż jeszcze stała, usiłując rozstrzygnąć ten dylemat, gdy zauważyła damę schodzącą z góry. Odsunęła się, by ją przepuścić, a dama przystanąła.

- Anna? Śniesz na jawie? - Była to Allison Monterey.

- Och, Allison... Tak, śnię. Gdzie znowu jestem potrzebna przy łożu Jej Wysokości?

- Nie - odparła stanowczo Allison. - Nikt nie jest potrzebny. Jej Wysokość poczuła się na tyle lepiej, że resztę nocy chce przespać. Idę coś przekąsić, bo jak mi Bóg miły, to były bardzo długie cztery dni! Pójdiesz ze mną czy masz jakieś pilne sprawy?

- Nie mam... To znaczy, szukałam Jacka Hamiltona, ale bez powodzenia.

- Hamiltona? O, w tym mogę ci pomóc. Jest w bibliotece. Nieprawdopodobne, co?

Przypuszczam, że chciał tam pospać! - Allison poszła swoją drogą, a Anna wspięła się na piętro i pobiegła korytarzem do biblioteki.

Drzwi były otwarte. W pomieszczeniu płonęły świece, więc natychmiast zobaczyła charakterystyczne siwe włosy. Podeszła na palcach i zmierzyła Jacka wzrokiem. Wprawdzie w dłoniach miał książkę, ale tak naprawdę rzeczywiście smacznie spał.

Wszyscy ludzie we śnie wydają się bezbronni, i Jack Hamilton nie stanowił wyjątku. Ciało miał całkiem rozluźnione, powieki spuszczone, oddychał przez lekko rozchylone usta. Sprawiał wrażenie o wiele młodszego niż zwykle.

Anna długo się zastanawiała, dlaczego sam pobyt w jednym pomieszczeniu z tym mężczyzną tak bardzo podnosi ją na duchu. Wiedziała, że gdy Jack się zbudzi, wyprostuje i przemówi, czar prysnie, tymczasem jednak mogła bez przeszkód ulegać jego mocy.

Pochyliła się, aby sprawdzić, co czytał. Okazało się, że tomik lirycznej poezji Wyatta młodszego. To do niego nie pasowało! Wyciągnęła rękę i wyjęła mu książkę z dłoni. Jack miał jednak instynkt wojownika, bo natychmiast wyprostował się na krześle.

- Anna? Co tutaj robisz, pani?

- A ty, panie? - Roześmiała się. — Udajesz, że zdobywasz wiedzę, a tak naprawdę uzupełniasz braki snu! Czy zdążyłeś przeczytać chociaż jeden wers przed zaśnięciem? - Uniosła dłoń z książką.

- Naturalnie - odrzekł surowo Jack. - Twój brat, George, polecił mi ten tomik, więc przyszedłem sprawdzić, jakie ma zalety. - Widocznie poczuł się nieswojo, gdy patrzyła na niego z góry, bo wstał. - Jeśli chcesz, pani, zacytuję ci co trafniejsze ustępy.

- Och nie, dziękuję, nie chcę cię aż tak trudzić! Usiądźmy przy ogniu i porozmawiajmy o tym, co się ostatnio działo.

Biblioteka w Greenwich nie była najbardziej przytulnym miejscem na świecie, mimo to spoczawszy przy nędznym ogieńku i rozluźniwszy ciasne pantofelki, pana Latimar poczuła się bardzo swobodnie. Jack milczał, ale już tak się ustaliło, że gdy są razem, mówi przede wszystkim ona. W końcu, zadumana, stwierdziła:

- Kiedy nie mogłam cię dziś znaleźć, panie, pomyślałam, że może wyjechałeś do Ravensglass.

- Wcześniej nie pożegnawszy się z tobą, pani? Tego bym na pewno nie zrobił.

- Cieszę się. Z pewnością jednak będziesz musiał wkrótce wyjechać, bo drogi na północ powoli stają się przejezdne.

- Znam swoje obowiązki - odparł oschle. Trudno mu się było pozbierać po tym niespodziewanym najściu Anny, zwłaszcza że słodko śnił, rzecz jasna, właśnie o niej. Takie

blahe uwagi tylko go irytowały.

- Nie bądź taki drażliwy, panie. Jako twój przyjaciel chciałabym wiedzieć, kiedy zostanę tu bez ciebie. - Nagle zrozumiała, dlaczego tak gorączkowo go szukała przez cały wieczór. Podświadomie obawiała się, że już wyjechał, by wrócić do swej niedostępnej pustki... I natychmiast zaniepokoiła się. Dlaczego pozwala sobie na takie uczucia? Przecież są w najwyższym stopniu niestosowne.

- Dziwnie to zabrzmiało... „bez ciebie” - powiedział. Dziwnie, bo właśnie z tego powodu zasiedział się w nieprzyjaznych murach Greenwich. Naszła go dokładnie ta sama myśl: Kiedy wyjadę, zostanę też Anny.

Popatrzyli po sobie niedowierzająco i trochę nieufnie, a potem dziewczyna cicho zauważyła:

- Nie powinnam tego powiedzieć. Mogłam cię zakłopotać, panie, a poza tym to z mojej strony nielojalność.

W tej grze piłka zawsze wraca do mnie, pomyślał Jack. Co ona tak naprawdę czuje? Jedynym sposobem dowiedzenia się tego byłoby ją spytać, ale w obecnych okolicznościach nie mógł sobie na to pozwolić.

Oboje zatonęli w ciszy przerywanej tylko trzaskami i szmerem spopielających się drzew.

- Jack - odezwała się w końcu Anna - sądzę, że między nami jest wiele niedopowiedzeń. - Nie stwierdziła tego bez powodu. W atmosferze tej komnaty wyczuwała coś, czego nie umiała zrozumieć. Spojrzała ufnie na Jacka, swego przyjaciela i towarzysza, z nadzieją, że jej to wytłumaczy.

Hamilton wstał. Nigdy nie mógł usiedzieć długo w jednym miejscu, nigdy nie czuł się dobrze w czterech ścianach. Świeże powietrze i poczucie swobody były mu potrzebne jak jedzenie i picie.

Zatrzymał się przy jednym z okienek i zdjął haczyk. Mimo że napał na nie z dużą siłą, spaczony przez wilgotne powietrze napływające z rzeki, stawiało niespodziewany opór.

Anna również się podniosła i zbliżyła do Jacka. Połączyli siły i okienko wreszcie ustąpiło.

- Nie odpowiedziałeś mi, panie - przypomniała, stanąwszy w swobodnej pozycji, z łokciem opartym o parapet. Patrzyła Hamiltonowi prosto w twarz.

Jack miał wzrok wbity w ciemne drzewa za oknem. W oddali pobłyskiwał tafla wody.

- Jak mam odpowiedzieć? W tej sytuacji mogłoby to być zarazem niepożądane i

niestosowne.

- Chodzi ci, panie, o moją sytuację? - spytała, przechylając głowę, żeby lepiej widzieć jego oczy. - Pamiętaj jednak, że o niej decyduję ja sama. Pytam więc jeszcze raz: co jest między nami, Jack?

- Anno! - Raptownie odwrócił się od okna, przez które wpadały do komnaty silne podmuchy wiatru. - Nigdy nie wiem, pani, czego się po tobie spodziewać! Czy próbujesz ze mną flirtować? Czy to jest teraz modne w tym miejscu? Czy życzysz sobie, żebym oświadczył ci się tak romantycznie, jak twoje przyjaciółki domagają się tego od swoich wielbicieli? Nie umiem grać w te gry!

- Wcale nie mówię o grach - odparła spokojnie. - Mówię o tym, co jest między nami, a czego istnienia żadne z nas nie chce uznać.

Jednak zdołała wyrazić to, co ją dręczyło, coś, z czego sama' dotąd nie zdawała sobie sprawy. Nie miała pojęcia, jak Jack to przyjmie, wiedziała jednak, że od jego odpowiedzi bardzo wiele zależy. Flirtować, też coś! Nawet najgłupsza kobieta zauważyłaby, że Jack Hamilton nie jest mężczyzną, z którym można by uprawiać tę płochą zabawę, zbyt mocno bowiem stapał po ziemi.

Nagle znaleźli się w silnym przeciągu. Drzwi biblioteki gwałtownie się otworzyły i do środka wszedł Ralph Monterey.

- Anna? Szukam cię wszędzie! Opuściłaś komnatę królowej, nie czekając na pozwolenie.

- Lady Allison powiedziała mi, że już nie jestem potrzebna.

- To prawda. Jej Wysokość, dzięki Bogu, zasnęła, ale na nas czeka w swoich apartamentach Thornton. Jesteśmy zaproszeni na prywatną kolację, może sobie przypominasz?

- Przepraszam, Ralph, zupełnie zapomniałam.

- Zapomniałaś... - Monterey podszedł ze złością do okna i zdawkowo skłonił się przed Jackiem. - Trudno mi uwierzyć, że o kimś tak dostojnym jak lord Thornton można tak po prostu zapomnieć. - Edward Thornton, śmiertelny wróg Dudleya, wziął Ralpa pod swoje skrzydła i przy każdej okazji polecał jego usługi królowej.

- Mniejsza o to - zbagatelizowała problem Anna. - Bardzo przepraszam. Zaraz do ciebie przyjdę, tylko skończę rozmawiać z Jackiem.

- Pójdiesz ze mną teraz! - oznajmił Ralph.

- Gdy skończę rozmowę z lordem Jackiem - powtórzyła stanowczo Anna.

Ralph gwałtownie ujął ją za ramię.

- Powiedziałem: teraz!

Hamiltonowi zwężyły się oczy, lecz nie zareagował. Panna Latimar wyszarpnęła się z uścisku, a twarz jej spochmurniała.

- Proszę, Ralph, nie mów do mnie takim tonem. Monterey, którego wyobrazenie o sobie osiągnęło ostatnio niebotyczną wysokość, co spowodowały względy okazywane mu przez królową, arogancko odparł:

- Będę do ciebie mówił, pani, takim tonem, jakim mi się podoba. Jako moja przyszła żona nie będziesz mi się sprzeciwiać. Chodź!

- Zabierz tę rękę, człowieku, i przestań narzucać się damie - syknął Jack, zniecierpliwiony.

- Słucham?! - Ralph cofnął się o krok. - Czy mogę spytać, panie, co cię obchodzi moja ręka oraz to, co mówię do tej damy?

Irytacja Anny przerodziła się w lęk. Czyżby miała sprowokować następną konfrontację tych dwóch mężczyzn?

- Jestem gotowa, Ralph - powiedziała. - Chodźmy do apartamentów lorda Thorntona.

- Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy - stwierdził spokojnie Jack. - Może jednak Ralph pozwoli nam to zrobić.

- Powiedziałem wyraźnie, że jesteśmy oczekiwani na prywatnej kolacji dużej wagi - odparł Monterey, ostentacyjnie podkreślając swoją świętą cierpliwość. - Jako dżentelmen z pewnością wiesz, panie, że spóźnianie się jest grubiaństwem. - Chciał zmiążyć Jacka spojrzeniem, ten jednak miał zbyt wiele godności i wewnętrznej siły, by mu na to pozwolić.

- Jeśli pójdziesz tam, panie, i powiesz, że lady Anna wkrótce do ciebie dołączy, całkowicie zadowolysz wymaganiom etykiety.

- Nie pierwszy raz, panie, próbujesz stanąć między Anną a mną! - powiedział Ralph ze złością. - Pytam, jakim prawem?

Istotnie, jakim prawem? - pomyślał Jack. Monterey słusznie okazywał swe niezadowolenie, a gdyby znał myśli Jacka, to miałby również podstawy do znacznie bardziej gwałtownych uczuć. Zerknął na Annę, która przypatrywała się młodzieńcowi w dość dziwny sposób.

Chyba naprawdę kocham tego człowieka, ale nie jestem pewna, czy go lubię. Może zastanowił ją widok tych dwóch mężczyzn obok siebie?

Ralph był nieskazitelnie wystrojony w atłasy i aksamity, kręcone włosy miał napomadowane, a wokół niego unosiła się silna woń pachnidła. Natomiast Jack nosił codzienny strój i pachniał po prostu czystością, bowiem ograniczał się do mycia w stu-

dziennej wodzie każdego ranka, bez względu na pogodę.

To jednak Ralph jest mężczyzną, jakiego zawsze chciałam, pomyślała rozdrażniona tym porównaniem. Jest częścią dworskiego życia, w którym zawsze pragnęłam uczestniczyć.

- Anna? - W głosie Ralpha pobrzmiwało zniecierpliwienie. Ta scena była irytująca, ale nie miała dlań większego znaczenia. Nie traktował Hamiltona jako rywala w walce o uczucia panny Latimar, bo niby dlaczego? To jest żołnierz, prostak należący do tej dziwnej, choć niezbędnej grupy mężczyzn, którzy pilnują bezpieczeństwa granic i którzy wsiadali w Tilbury na okręty, by przelewać krew na obcej ziemi, gdy Anglia broniła swych interesów.

Elżbieta darzyła takich ludzi szacunkiem, to naturalne, wszak bez nich Anglia nie mogłaby stać się potęgą, jednak gdy zjawiali się na dworze, tak jak ostatnio Jack, od razu stawało się widoczne, że pasują do eleganckiego towarzystwa jak woły do karety. Co właściwie Anna mogła mieć do powiedzenia takiemu człowiekowi?

Nie, sam na sam Jacka z Anną w słabo oświetlonej bibliotece stanowczo nie budziło niepokoju Ralpha. Po prostu ten widok wyprowadzał go z równowagi.

Ta jego postawa, jakby w każdej chwili spodziewał się ataku, jego pospolity strój i widoczna pogarda dla męskich ozdób, wreszcie mina, którą przybierał, gdy dworzanie opowiadali swawolne, lecz zabawne anegdoty, przyprawiały Ralpha o furię, natomiast bezpośredniość, szczerłość i bezwzględna uczciwość Hamiltona budziły w nim przykre wspomnienia z lat młodości, gdy usiłował spełnić oczekiwania ojca, co mu się nie udawało.

Tak czy owak miał poczucie, że w razie konfliktu z Hamiltonem musi twardo obstawać przy swoim, i tego się trzymał.

- Anno, domagam się, abyś natychmiast ze mną poszła. Jeśli odmówisz, będę skłonny uważać, że nasz związek... nasze narzeczeństwo... jest zagrożone.

- Niech tak będzie, Ralph - odparła spokojnie Anna. Obaj mężczyźni wymienili zdumione spojrzenia.

- Chyba nie zrozumiałaś, co przed chwilą powiedziałem - wycedził Monterey. Uświadomił sobie nagle, że ilekroć spotyka tych dwoje razem, sytuacja wymyka mu się spod kontroli.

- Doskonale zrozumiałam - odrzekła z powagą Anna. - Powiedziałeś, że jeśli natychmiast nie pójdę z tobą na kolację do lorda Thorntona, to przemyślisz ponownie kwestię naszych zaręczyn.

Niewątpliwa korzyść, jaką Ralph wyniósł z udziału w grach hazardowych, polegała na tym, że zawsze wiedział, kiedy trzyma w dłoni przegrywające karty. Teraz była właśnie taka chwila.

- Jak sobie życzysz. - Z wdziękiem skłonił się przed Anną. - Tymczasem odchodzę i mam nadzieję, że jutro będziesz bardziej podatna na głos rozsądku. - Znikł za progiem, trzasnąwszy drzwiami.

- I tyle - powiedziała Anna.

Jack przeciągnął dłonią po swych krótko ostrzyżonych włosach.

- Co zamierzasz, pani? Jeśli ktoś wspomina o zerwaniu zaręczyn, to znaczy, że sprawa jest poważna. Nie należy wtedy ulegać kaprysowi!

- Wiem - odparła Anna. To, co zaszło przed chwilą, bardzo ją poruszyło, lecz również skłoniło do zadumy. Decyduje teraz o reszcie swojego życia, myślała, i chce mieć absolutną pewność, że podejmuje właściwą decyzję. - Nie pozwolę, żeby ktoś mi dyktował, co mam robić. Żaden mężczyzna.

Nie spuszczać wzroku z jej twarzy, Jack powiedział:

- Wszyscy mężczyźni tak postępują.

- Mój ojciec nie - sprzeciwiła się. - Myślę, że ty, panie, również byś tego nie robił.

To była dla niej zupełnie nowa myśl, przecież Jack potrafił narzucać jej swoją wolę... ale zawsze dla mojego dobra! - uświadomiła sobie nagle. W swoim czasie nieraz ją zirytował, ale wszystko, co robił, było dla niej korzystne.

Jack machnął ręką.

- Dwóch mężczyzn na milion... Powinnaś, pani, iść za Ralphem i go udobruchać. Skoro wybrałaś sobie takie życie, jakie wybrałaś, to nie możesz traktować w ten sposób mężczyzn, którego popiera twoja rodzina i który bez wątpienia będzie jednym z najbardziej uprzywilejowanych dworzan. Zresztą oboje, w przeciwieństwie do mnie, jesteście stworzeni do takiego życia.

- To prawda - przyznała. - Ralph i ja dobrze czujemy się na dworze, ale przede wszystkim musimy wiedzieć, że dobrze czujemy się w swoim towarzystwie. Dopiero potem mogę mu ślubować wierność na całe życie. Czy chciałbyś mnie skazać, Jack, na spędzenie reszty moich dni w towarzystwie kogoś, kto nie jest dla mnie odpowiedni?

W tej chwili Anna prezentowała to wszystko, czego Jack nie znosił u kobiet. Mówiła beztróskim, zalotnym tonem, oczy jej się śmiały, krótko mówiąc, próbowała go zauroczyć. Pochylił głowę i czubkiem buta zaczął obwodzić wzór na dywanie.

- Czy w Maiden Court zaszło coś, co skłoniło cię do ponownego przemyślenia swoich zamiarów? - spytał.

- W pewnym sensie. Pojechałam tam po to, by sprawdzić, co naprawdę czuję.

- O ile wiem, nie dotyczy to niczego, co powiedział twój ojciec - wyrwało się Jackowi.

- A skąd wiesz, panie? - Chciała podjąć rozmowę, którą przerwało im wejście Ralphi, ale Jack jak zwykle wycofał się i przyjął rolę powiernika.

- Ponieważ ojciec popiera twoje planowane małżeństwo. Moim zdaniem, byłby bardzo rozczarowany, gdyby do niego nie doszło.

- No, tak. - Anna zaczęła się zastanawiać. Jack ma rację, ale z drugiej strony to jednak jej życie. A potem nasza ją bardzo dziwna myśl: pierwszy raz nie wzięła zdania ojca za pewnik. - Naturalnie opinia ojca wiele dla mnie znaczy, lecz co ty o tym sądzisz, panie? Nigdy nawet nie wspomniałeś, jakie masz zdanie na temat mojego małżeństwa z Ralphem.

Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. W żadnym wypadku nie mógł teraz powiedzieć, co sądzi o jej zaręczynach z Montereyem ani o samym narzeczonym. To obudziło w nim złość, która obróciła się przeciwko Annie. Dlaczego tak go naciska? Przecież żaden człowiek w jego sytuacji tego by nie zniósł!

- Czy przypadkiem nie usiłujesz, pani, wpleść mnie do intrygi przeciwko Ralphi, którego próbujesz okiełznać? Może chcesz się mną posłużyć?

Przez chwilę nie mogła pojąć, o co mu chodzi, a gdy wreszcie zrozumiała, wybuchnęła oburzeniem.

- No nie, Jack, nawet mi to do głowy nie przyszło! Dlaczego rzucasz na mnie takie oskarżenie?

- Dość często szukasz mojego towarzystwa, pani, i bynajmniej się z tym nie kryjesz - powiedział szorstko. - Udajesz zainteresowanie tym, co mówię, choć wszyscy na królewskim dworze doskonale wiedzą, że nie mogę współzawodniczyć w sztuce pięknego składania słów z twoimi bardziej eleganckimi znajomymi. Nawet dziś wieczorem zainscenizowałaś to małe przedstawienie specjalnie dla swojego ukochanego. Bez wątpienia wiesz, że nic tak nie temperuje kawalera, jak zwrócenie się jego damy ku innemu mężczyźnie. Gdybyśmy wspólnie się zastanowili, moglibyśmy nawet doprowadzić Ralphi do płomiennej zazdrości!

Dobrze wiedział, że w tej chwili jest wobec niej nieuczciwy, ale za wszelką cenę musiał znaleźć punkt zaczepienia na stromym zboczu, po którym wbrew samemu sobie zaczął się wspinać.

Jak on może o mnie tak myśleć? - zastanawiała się gniewnie. Szukała jego towarzystwa dlatego, że uważała go za swojego przyjaciela, a on lodowatym tonem postawił jej tak okropny zarzut. Przeszyła Jacka wzrokiem, lecz nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

- Udajesz, pani, że nie rozumiesz, o czym mówię? Pozwól więc, że pokażę ci, jak wygląda następny krok w tej komedii... - Podszedł do niej i mocno ją objął. - O tak, moja

panno...

Pochylił głowę i wycisnął na jej ustach pocałunek. To nie było czułe powitanie przyjaciela ani niezdarne zaloty, które po przyjeździe na dwór nauczyła się zręcznie odpierać. Był to wybuch namiętności, z jakim jeszcze się nie spotkała nawet ze strony Ralpa, który lubił pokazać, że Anna do niego należy.

Gdy wreszcie Jack ją puścił, przycisnęła dłoń do ust i dzielnie opanowała łzy cisnące się jej do oczu.

Jack walczył ze swoimi demonami. Gdy tylko ich wargi się zetknęły, zrozumiał, że to, czego obawiał się przez ostatnie tygodnie, stało się rzeczywistością. Znowu jest zakochany, a co gorsza, namiętnie.

Gdy całował Annę Latimar, nie myślał o przeszłości. To było zupełnie nowe, ożywiające doświadczenie. Musiał też jednak przyznać, że potraktował ją z niewybaczalną brutalnością.

Najchętniej zapadłby się pod ziemię. „Anna Latimar zawstydziła mnie swoją godnością i niewinnością” - powiedział Mark Bolbey w Ravensglass, lecz Jacka zawstydzowało co innego. Kochał Annę, ale ponieważ był przekonany, że to, co do niej czuje, należy się wyłącznie jego zmarłej żonie, wpadł w gniew i przez to zachował się w sposób niegodny zasad, którymi zawsze się chlubił.

Anna nie miała pojęcia o jego wątpliwościach. Wciąż walcząc ze Izami, usiłowała wzbudzić w sobie złość, ale nie mogła. Czuła tylko bezgraniczny smutek i jeszcze coś, czego nie potrafiła nazwać. Jack bardzo rzadko jej dotykał, przeważnie w tańcu lub wtedy, gdy pomagał jej dosiąść konia. Nigdy nie zapomniał się, gdy zostawali sami, choć miał do tego wiele okazji. A teraz nagle to!

On przecież nie jest taki naprawdę, pomyślała. Wśród wielu sprzecznych uczuć, jakie żywiła do Jacka, jedno było szczególnie istotne, a mianowicie instynktownie doskonale rozumiała tego mężczyznę. To jest mocny człowiek, tygodnie spędzone w Ravensglass dobitnie ją o tym przekonały. Dla każdego, kto zagroził granicom strzeżonym przez niego w imieniu angielskiej Korony, stawał się śmiertelnym wrogiem, a dla swoich ludzi potrafił być, i z reguły był, wymagającym dowódcą.

Lecz tam, gdzie przed chwilą zabłądzili, dawała znać o sobie wrażliwa strona jego natury. Anna wiedziała, że gdyby tylko spotkał odpowiednią kobietę, Jack stałby się bardzo czułym kochankiem. Niestety, nie jest tą odpowiednią kobietą, i to ją bardzo smuciło.

Korzystając z tego, że jeszcze może zapanować nad łzami, wybiegła z biblioteki. Nie próbował jej zatrzymać, lecz odwrócił się do okna i wbił wzrok w zasłony poruszane zimnymi

podmuchami wiatru.

Nazajutrz Elżbieta niesłychanie się zdumiała. Jack Hamilton jeszcze nigdy nie pozostawał na jej dworze tak długo od czasu objęcia twierdzy Ravensglass, ale przebywając w Greenwich, w ogóle nie próbował zabiegać o jej względy i rzadko go widywała.

Teraz, gdy po krótkim okresie przejaśnienia pogoda znów się popsowała, Jack niespodziewanie zwrócił się do niej z prośbą o pozwolenie na powrót do Ravensglass.

Naturalnie nie miała nic przeciwko temu, bo w związku z nieustannym zagrożeniem ze strony Szkotów jego obecność na północy była najprawdopodobniej bardzo wskazana. Zdziwiło ją jednak, że Jack nie wybrał na podróż poprzedniego tygodnia. Podejrzewając, że może dostał poufną wiadomość o granicznych niepokojach, Elżbieta wezwała go osobiście.

W pełni odzyskała już siły po ostatniej chorobie, wciąż jednak wolała pozostawać przed południem w swojej obszernej sypialni, więc właśnie tam przyjęła Jacka. Komnata, mimo swego przeznaczenia, wydała mu się tak samo zatłoczona i gwarna, jak sala przeznaczona do audiencji.

- A, Hamilton. - Elżbieta pokazała mu, żeby zbliżył się do łóżka. - Dostałam twoją prośbę i naturalnie zgadzam się, ale czy nie chciałbyś przedtem zamienić ze mną kilku słów? Usiądź, proszę.

- Dziękuję, Wasza Wysokość, postoję. - W tej komnacie z buzującym w kominku ogniem, ciężkimi zasłonami zaciągniętymi na okna i nieustannie krzątającymi się damami, Jack czuł się jak w klatce. Zdawało mu się też, że gdyby usiadł w tym przegrzanym pomieszczeniu, natychmiast zasnąłby, bo w nocy nie zmrużył oka.

Bezsensowność była dla niego bardzo niepokojącym stanem. Dawniej zawsze udawało mu się zdrzemnąć nawet w najmniej odpowiednich warunkach, a jednak ostatniej nocy nie zdołał tego dokonać. Brakowało mu niezbędnego spokoju umysłu. Gdy zamykał oczy, nie zwracając uwagi na chrząkanie i pochrapywanie towarzyszy, widział Annę Latimar przyciskającą palec do ust i oskarżającą go nieskończenie smutnym, wręcz tragicznym spojrzeniem.

Ma prawo mnie oskarżać, myślał pośpiesznie, przewracając się z boku na bok. Zdradziłem jej zaufanie i naszą przyjaźń w najgorszy z możliwych sposobów.

Instynkt podpowiedział Annie słuszną ocenę Jacka. Nie należał do mężczyzn, który mógłby źle potraktować kobietę, wszystko jedno jakiego stanu. Poznał ich w życiu wiele. Przed Marie Claire zadawał się z wielkimi damami na dworze, a po jej śmierci z damami znacznie bardziej wątpliwej reputacji, które ściągały w okolice koszar, lecz żadna z nich nie musiała się go lękać.

Tymczasem Anna Latimar, która teraz była mu tak droga, została przez niego

potraktowana wprost haniebnie. Tego nie umiał sobie wytłumaczyć ani tym bardziej przebaczyć. Przecież zaoferowała mu przyjaźń na długo przed tym, nim doceni! i przyjął tę ofertę. Wiele razy okazywała mu życzliwość...

- Hamilton! - przywołała go do porządku królowa leżąca pod stertą kap podbitych futrem. Jej głos nałożył się na ciche brzdąkanie lutnisty. - Pytałam cię, czy jest jakiś specjalny powód, dla którego chcesz tak nagle wrócić do Ravensglass?

- Nie, Wasza Wysokość.

- Nie słyszałeś żadnych pogłosek, że szkocka królowa wzbudza niepokoje?

Przez surową twarz Jacka przemknął grymas, który należało uznać za uśmiech. Maria Stuart prześladowuje Elżbietę jak nikt inny, pomyślał, chociaż powód jest całkiem nieracjonalny, kobiecy. Przed laty wielokrotnie spotykał królową Szkotów we Francji i choć nie mógł odmówić jej magicznego uroku, to zrobiła aa nim wrażenie najgłupszej spośród znanych mu kobiet.

A jednak samo istnienie Marii budziło lęk jej angielskiej odpowiedniczki, pod każdym względem bardziej utalentowanej.

- Nie - odparł obojętnie. - Nie słyszałem takich pogłosek.

- Dobrze więc. - Elżbieta uśmiechnęła się na miękkich poduchach i uśmiechnęła. - W tej sytuacji pozostaje mi życzyć ci dobrej drogi. Niech Bóg cię ma w swojej opiece, lordzie Jacku. - Wyciągnęła przed siebie chude ramię, a Hamilton z szacunkiem dotknął wargami czubków jej palców. Elżbieta zerknęła na zamknięte okna, zza których dobiega! monotony łoskot deszczu bezlitośnie bijącego w ściany pałacu, i dodała: - Taka pogoda nie sprzyja podróżom. Zjedz jeszcze z nami południowy posiłek. Będziesz miał czas pożegnać się ze swoimi przyjaciółmi.

Audiencja dobiegła końca, ale zanim Jack odwrócił się do drzwi, nawiedziła go bardzo przykra myśl. Obiecał Annie, że nie wyjedzie bez pożegnania. Czy miał obowiązek dotrzymać danego słowa? Czy mimo kompromitującej sceny, która wydarzyła się poprzedniego wieczoru, należało poszukać Anny i powiedzieć jej do widzenia?

Robert Dudley, który przez cały czas trwania rozmowy zdawał się drzemać przy wielkim łożu Elżbiety, nagle podniósł głowę i zerknął, zaintrygowany. Co się stało temu żołnierzowi? Nie tyle słowa, co ton Hamiltona go zaniepokoił. Gdy Jack opuścił sypialnię, Robert wstał, przeprosił królową, wyszedł z komnaty i dogonił go na schodach, u wejścia do wielkiej sali.

- Hamilton... Jack... czy stało się coś złego?

- Nie. Jak powiedziałem Jej Wysokości, nie ma żadnych pogłosek o...

- Pytam o ciebie, panie, a nie o pogłoski - przerwał mu Robert. - Jaka jest prawdziwa przyczyna twojego nagłego wyjazdu?

- Czy to cię naprawdę interesuje, panie? - W swoim obecnym stanie ducha Jack wydawał się nie pamiętać nawet o pozycji, jaką na dworze zajmuje Robert Dudley, faworyt królowej.

Robert parsknął śmiechem. Właściwie nie wiedział, dlaczego wybiegł z komnaty. Hamilton z pewnością nie należał do jego przyjaciół ani w przeszłości, ani teraz, ale budził jego szczerzy podziw.

Robert Dudley, earl Leicester, nie godził się na funkcję tresowanego pieska Elżbiety. Inteligencją i męskością przewyższał większość dworzan. Był również bardzo sprawny fizycznie i na turniejach uważano go za wyjątkowo groźnego przeciwnika, ale Jack zawsze okazywał się najlepszy, a wielki wojownik na ogół docenia innego wielkiego wojownika.

- Czy interesuje? Prawdę mówiąc, nie. Skoro jednak nie ma żadnych przyczyn natury wojskowej, które wzywałyby cię do Ravensglass, wnoszę, że decydują sprawy osobiste. A skoro tak to mogę dać ci radę, jeśli jesteś w odpowiedniej dyspozycji, by jej wysłuchać.

Jack znieruchomiał. Posiadał talent do dobierania ludzi, którzy potem wyróżniali się w boju, naturalnie więc zwrócił uwagę na Leicestera, gdy zobaczył go na placu ćwiczeń, i zakarbował sobie w pamięci, że mógłby mieć takiego człowieka u swojego boku. To oczywiście nie wchodziło w grę, teraz jednak zdecydowało o tym, że Jack postanowił posłuchać.

- Chodzi o tę małą Latimarównę, prawda? - spytał cicho Robert.

- Skąd ci to przyszło do głowy, panie? - Czyżby już krążyły plotki? Jack, który nigdy nie przywiązywał wagi do tego, co mówią inni, nagle zaczął się tym martwić, bo zła fama mogłaby zaszkodzić Annie.

- Mam oczy. Już w Ravensglass zdawało mi się, że macie się ku sobie, choć ty, panie, surowo sobie odmawiałeś tego prawa - dodał lekkim tonem.

Jack się odwrócił. Dlaczego rozmawia o osobistych sprawach z tym człowiekiem?

Robert wszedł za Hamiltonem do wielkiej sali.

- Och, bardzo przepraszam za ten żart, ale na dworze nabiera się nie zawsze najlepszych przyzwyczajęń.

Tym rozbrajającym stwierdzeniem skłonił Jacka do zwierzeń.

- Nie powiedziałbym, że mamy się ku sobie, panie, bo dotyczy to tylko mnie. Z jej strony to jest wyłącznie przyjaźń, a w każdym razie była.

Robert zignorował pierwszą część wypowiedzi Hamiltona.

- Dlaczego „była”? Czy coś się stało wczoraj wieczorem? Cierpiałem na kolacji w apartamentach lorda Thorntona, kiedy Monterey przyszedł bez swojej ukochanej, a minę miał taką, że bez kija ani przystąpił. Potem widziałem też małą Annę w korytarzu prowadzącym do kwatery dam dworu. Z trudem powstrzymywała łzy. Co mu zrobiłaś, panie... i jej?

- Jemu? Nic, tylko przypomniałem mu o zasadach dobrego wychowania. A jej... - Przez ostatnie dziesięć lat Jack nie miał zwyczaju zdradzania swoich najbardziej prywatnych myśli, teraz jednak, o dziwo, nie mógł przerwać. - Och, prawdę mówiąc niewiele brakowało, abym wziął ją siłą.

Robert w zadumie skubnął brodę. Nieprawdopodobne! Gdyby nie usłyszał tego z ust Hamiltona, chyba by nie uwierzył.

- Tak to jest z tymi Latimarami - powiedział. - Sam pamiętam wiele sytuacji, w których miałem ochotę udusić jej brata George'a. Oni czasem prowokują ponad wszelkie granice.

Nie pocieszył tym Jacka, wszak Anna wcale go nie sprowokowała.

- Jakkolwiek jest, mam przeświadczenie, że muszę wyjechać, żeby uniknąć... żeby uniknąć...

- Zakłopotania - podsunął Robert.

- Chyba nie zrozumiałeś, Leicester, tego, co ci powiedziałem. Omal nie wziąłem jej siłą.

- Cóż, możliwe... ale masz przecież jeszcze następne trzydzieści lat, żeby jej to wynagrodzić.

Jack spojrzał na niego zdumiony.

- Chcę powiedzieć - ciągnął Robert - że przecież się kochacie, a żadna panna nie będzie miała za złe takiego zachowanie swojemu przyszłemu mężowi... - Urwał, bo Jack wyglądał tak jakby zobaczył ducha. - Na Boga, człowieku, nie rób takiej miny! Przykro mi, jeśli zdaje ci się, że masz nową zgryzotę, które nijak nie można zaradzić, ale, wierz mi, że ta panna jest tobą zauroczona tak samo jak ty nią!

- Jakie masz podstawy, żeby tak twierdzić, panie? Jakie są tego oznaki?

Robert pierwszy podszedł do stołu z przekąskami. Wziął dzban z winem, a gdy Jack pokręcił głową, powiedział:

- Och, naturalnie, wiem, że nie pijesz wina, ale ja mam taki nawyk... Co to ja mówiłem? Ach tak, pytałeś o oznaki. Mój przyjacielu, rusz głową i pomyśl raz o czymś innym niż planowanie strategii wojennej! Miłość to nie tylko pociąg fizyczny, lecz również czułość, potrzeba bycia ze sobą, wiesz przecież o czym mówię. - Dudley upił łyk wina. -

Anna przyjechała na dwór bardzo niedawno i natychmiast odniosła sukces. Teraz jest związana z pewnym dżentelmenem, gdy jednak potrzebuje rady lub pokrzepienia, nie w nim szuka oparcia. W Ravensglass warunki stanowczo odbiegały od normalnych, ale gdy przyjechałaś do Greenwich, panie, można było już powiedzieć, że łączy was naprawdę silna więź. - Robert przerwał na chwilę. - Lord Ralph bywa z nią na tańcach, ale to ciebie, panie, lady Anna szuka, gdy przeżywa jakiegokolwiek wahania. Wnioski wyciągnij sam, tylko bacz, żeby właściwe.

W wielkiej sali było gwarnie. Brzęk naczyń i szmer rozmów rozpraszały, mimo to Jack stał w skupieniu i rozważał to, co usłyszał. Czy rzeczywiście Dudley ma rację? Czy Anna właśnie jego, Jacka, pokochała, chociaż nawet nie zdaje sobie z tego sprawy? Czy on z kolei okazał się tak bardzo zajęty swoimi troskami, że nie zauważył cudzych? Leicester zwrócił mu uwagę na niepodważalne fakty. Czy teraz należało się nad nimi zastanowić, żeby znaleźć coś o wiele mniej uchwytne, lecz znacznie bardziej wartościowego?

I nagle wszystkie kawałki układanki zaczęły mu się w myślach układać. Komu Anna powierzała swoje najbardziej prywatne myśli? Właśnie jemu. Do kogo zwracała się, gdy miała kłopot lub wątpliwości? Do niego. A więc mają fundament, na którym można zbudować coś naprawdę ważnego.

Robert widział, jak zmienia się twarz Jacka. Z nudów obserwując dworzan, odkrył wielki romans. Dwoje ludzi, którzy niewiele znaczyli dla świata, zwróciło jego uwagę, i teraz starał się mu pomóc. A w dodatku im zazdrościł!

Gdy w końcu Hamilton energicznym ruchem odwrócił się do drzwi, Robert chwycił go za ramię.

- Spokojnie, Jack. Nie rozmawiaj z nią, mając taką zawziętą minę, jakbyś zobaczył naczelnika szkockiego klanu na swoim terytorium! Musisz być ostrożny i delikatny, bo ona wciąż jest jeszcze trochę zauroczona Montereyem.

Ralph Monterey! Jack zupełnie zapomniał o jego roli w tym dramacie.

- Monterey zachował się honorowo - powiedział. - Poprosił o jej rękę... chce się z nią ożenić. Nie powinienem tak postępować wobec szlachetnie urodzonego człowieka.

Robert roześmiał się złośliwie.

- On się po tym pozbiera. Zresztą czy naprawdę chciałbyś ją skazać na życie z Ralphem?

Jack pomyślał, że Anna powiedziała mu właściwie to samo tylko innymi słowami. Nie rozumiał tych ludzi, błąkał się jak dziecko tam, gdzie oni swobodnie się poruszali. Jednego jednak był pewien: kocha Annę Latimar i wreszcie uwierzył w to, że z wzajemnością.

- Więc co mam robić, Robercie? Jak się zachować? Dudley rozumiał, że ten twardy żołnierz czuje się bardzo zagubiony.

- Na pewno nie tak jak na wojskowych manewrach! Znajdź Annę i spokojnie podziel się z nią swoimi myślami. Powiedz do jakich wniosków doszedłeś. Zachęć ją, by i ona się zastanowiła. A potem niech natura i miłość czynią swoje... Życzę wam szczęścia.

Patrząc za odchodzącym Jackiem, Robert jeszcze raz pomyślał, że zazdrości im takiego szczerego, prostego uczucia.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jack nie miał pojęcia, gdzie szukać Anny. Nie znał rozkładu dnia dam dworu w Greenwich i zupełnie nie orientował się w ich zajęciach, natomiast deszczowa pogoda wskazywała, że Anna nie mogła udać się na przejażdżkę konną. Śniadanie już się skończyło, a żadna z dam jeszcze nie zeszła na południowy posiłek. Gdzie mogła się podziewać panna Latimar?

Z głównego korytarza prowadzącego do wielkiej sali dostrzegł kobietę z wdziękiem idącą w dół po schodach. Była to lady Dacre. Gdy go zauważyła, grzecznie dygnęła.

- Lady Dacre... - Jack nieustępliwie stał na jej drodze. Dama jeszcze raz dygnęła.

- Słucham, milordzie. Czy mogę w czymś pomóc?

- Szukam lady Anny Latimar. Czy wiesz, pani, gdzie ją znaleźć?

Poważna mina Jacka wywarła duże wrażenia na lady Dacre, która próbowała odgadnąć, co znów zmalowała lady Anna, że tak rozeźliła lorda Jacka. Lord Hamilton był przyjacielem rodziny Latimarów, więc równie dobrze mógł mieć osobistą wiadomość do przekazania...

- Jest jeszcze w suszarni, sir.

- Nie znam drogi, pani. Czy możesz mi wytłumaczyć, jak mam dojść?

- Mogę cię zaprowadzić, panie - odrzekła z wdziękiem. Suszarnią w Greenwich przylegała do części mieszkalnej pałacu. Było to przestronne pomieszczenie służące do mieszania ziół i suszonych kwiatów, z których przygotowywano pachnidła dla dam dworu oraz wonne potpourri, które w wielkich czarach stawiano w komnatach. Stanąwszy u drzwi, lady Dacre zajrzała przez szparę do środka i szepnęła:

- Tak, Anna tam jest, lecz jest również Wielka Dama. Lady Katharine Crawley, zwana Wielką Damą, ponieważ tym właśnie była dla młodych panien ćwiczonych przez nią do służby przy osobie królowej, budziła powszechny strach. Znała ją niemal cała Anglia, ale nie Jack Hamilton, który zupełnie nie interesował się takimi sprawami, toteż dziarskim krokiem bez wahania wszedł do suszarni.

Z komnaty, przeszkłonej według nowej mody, rozciągał się widok na część pałacowych ogrodów przeznaczoną do uprawy ziół. Odtworzono tu naturalne warunki, by zioła lepiej rosły. Anna, bezmyślnie mieszająca w wielkiej czarze suszone różane płatki, odwróciła się nagle, gdy Jack stanął u jej boku.

Hamilton niesłusznie wziął jej zaskoczenie za strach. Przez głowę przemknęła mu myśl: Boże, spraw, żeby przy mnie już nigdy niczego się nie bała. Otoczę ją taką opieką, że w

ogóle zapomni, czym jest to uczucie.

- Anno, przyszedłem...

Lady Katharine podeszła do nich ciężkim krokiem.

- Co tutaj robisz, sir? - spytała groźnie. Jack odwrócił się do Wielkiej Damy.

- To jest moja sprawa, pani, i zamierzam się nią podzielić jedynie z tą oto panną.

Wielka Dama nie posiadała się z oburzenia. Od trzydziestu. lat nikt, ani mężczyzna, ani kobieta, nie ważył się użyć w stosunku do niej takiego tonu.

- Każda sprawa, która się dzieje w czterech ścianach tego pomieszczenia, dotyczy mnie, sir.

- Lady Katharine - . próbowała załagodzić sytuację Anna - lord Jack jest wieloletnim przyjacielem rodziny. Sądzę, że chce się ze mną pożegnać przed powrotem na północ, gdzie udaje się w służbie Jej Wysokości.

- No, cóż... - Wzmianka o Elżbiecie nieco ostudziła zapędy lady Katharine. - Muszę na chwilę wyjść, ale zaraz wrócę. - Dostojnym krokiem opuściła pomieszczenie.

- Doprawdy, Jack - odezwała się Anna - powinieneś wiedzieć, że w tym miejscu lady Katharine jest władczynią absolutną.

- Co tu robisz, pani? Czyżby kazano ci pracować jak zwykłej kuchcie?

- Wszystkie damy dworu muszą przejść przez to miejsce. Wiedza o tym, w jaki sposób powstają pachnidła, jest niezbędną częścią naszej edukacji. Poza tym to bardzo przyjemne zajęcie. Czy tobie się tu nie podoba, panie?

Jack rozejrzał się dookoła z niechętną miną. Widok zeschniętych kwiatów i kruchych, spłowiałych ziół, działał na niego przygnębiająco.

- Nie. Róże, które masz w tej wazie, pani, powinny zgodnie z naturą opaść, a nie zostać ścięte i powieszzone do ususzenia. To, co martwe, powinno wrócić do ziemi... tak uważam.

Takiej opinii zupełnie się po nim nie spodziewała, ale bez słowa wróciła do swojego zajęcia.

- Czy mogłabyś, pani, wyjść ze mną na chwilę do ogrodu? - spytał. - Tu jest bardzo, bardzo ciepło.

Nie mógł oddychać w tak dusznej atmosferze ani też jasno myśleć, i wszystkie słowa, które nieustannie sobie przepowiadał po rozstaniu z Dudleyem, wywietrzały mu z głowy. Anna wydawała się zaskoczona, przestała jednak machinalnie mieszać płatki i otrzepała ręce.

- Dobrze, Jack. Chodźmy zatem do ogrodu, obawiam się jednak, że na dworze jest zimno. - Jack miał na sobie krótką, aksamitną pelerynę podbitą króliczym futrem. Zdjął ją i

ostrożnie okrył ramiona Anny.

Gdy wyszli na zewnątrz, Anna zerknęła w zamglone niebo. Dzień okazał się nie tyle zimny, co wilgotny, a ostry wiatr zapowiadał rychły koniec ponurej zimy.

- Przyszedłeś powiedzieć mi do widzenia, Jack? Wszyscy w pałacu już wiedzą, że zwróciłeś się do królowej z prośbą o pozwolenie na wyjazd. Niech więc Bóg cię prowadzi, życzę ci tego tak samo, jak wszystkim przyjaciółom udającym się w podróż.

- Czy wciąż tak mnie traktujesz? Jak przyjaciela? Po wczorajszym wieczorze? - Te słowa wypadły dość niezręcznie.

- Naturalnie - odparła spokojnie. - To nie była twoja wina, panie, lecz moja.

- Nie! - sprzeciwił się zapalczywie. - Na pewno nie twoja wina, pani! Nie znajduję dość pokornych słów, by prosić o wybaczenie.

Anna zamrużyła powiekami, za nic bowiem nie potrafiła wyobrazić sobie pokornego Jacka.

- Nie żywię do ciebie urazy, panie - odrzekła w końcu. - Jak powiedziałam, szczerze życzę ci szerokiej drogi. Kiedy wyjeżdżasz?

- Niezwłocznie, gdy tylko zgodzisz się mnie poślubić.

Nie zamierzał wypalić tego tak obcesowo. Przygotował sobie bardzo romantyczną przemowę. Kiedyś pisywał piękne wiersze i jako paź zawsze miał wielkie powodzenie u panien, do których kierował swoje utwory. Lecz co innego pisać, a co innego mówić, w dodatku od tamtej pory minęło dużo czasu. Nic dziwnego, że biedaczka wydawała się zdumiona.

Anna rzeczywiście nie posiadała się ze zdumienia. Gdyby jeden z kamiennych gargulców, które zdobiły dachy w Greenwich, nagle odezwał się ludzkim głosem, nie zrobiłoby to na niej większego wrażenia. Natychmiast jednak opanowała się i przeprowadziła logiczne wnioskowanie. Jack, jeden z niewielu rycerzy, którzy nie tylko się tak zwali, lecz również żyli rycerskimi ideałami, poczuł się zmuszony zdobyć na ten gest po tym, jak zachował się poprzedniego wieczoru.

To zabawne, pomyślała, ale zupełnie do niego podobne. I jednocześnie smutne. Czyżby nie chciał zaufać jej i ich przyjaźni na tyle, by wiedzieć, że jest to zupełnie niepotrzebne? Przecież jedna chwila zapomnienia nie zdyskredytowała go w oczach Anny. Zresztą poprzedniego wieczoru wcale nie poczuła się urażona i nie była zła na Jacka. Przeciwnie, nigdy nie czuła większej bliskości. Nigdy nie była tak ożywiona.

Te uczucia są jednak nedorzeczne i stanowczo to sobie powiedziała potem, gdy już leżała w łóżku, ale nie mogła zasnąć.

Chwyciła się więc pierwszego pretekstu, który przyszedł jej do głowy.

- Dziękuję, Jack, że chcesz mi się oświadczyć, ale jak wiesz, jestem zaręczona.

Z Ralphem Montereyem! - pomyślał. Ciekawe, dlaczego wciąż zapominam o tym człowieku.

- Jeszcze raz proszę o wybaczenie, Anno. Naturalnie wiem, że powinienem najpierw zwrócić się w tej sprawie do Ralpa, ale zrobię to teraz.

- Nie! - zaprotestowała Anna, przerażona myślą, że znów Jack wpadnie przez nią w kłopoty. - Chciałam powiedzieć, że to byłoby dość niekonwencjonalne. Najpierw należałoby zwrócić się w tej sprawie do mojego ojca.

- Już to zrobiłem - odparł drętwą Jack.

- Naprawdę? - Kolejna niespodzianka. - I co ojciec powiedział? - wyrwało jej się, zanim zdążyła się ugryźć w język.

- Wyraził bardzo duże niezadowolenie z tego pomysłu - odparł Jack, ponuro się uśmiechając.

- Och! - Anna ciasniej otuliła się peleryną. Wiatr, choć niezbyt mocny, wiał nieustannie, a ona miała pod spodem jedynie cienką suknię.

- Czy nie możesz odpowiedzieć na moje oświadczenie? - spytał Jack.

Jak na gadatliwą kobietę, Anna zdradzała niewiele ze swych myśli, tylko w jej wielkich oczach odbijało się to wszystko, czego - być może - nie zamierzała powiedzieć głośno. Niestety, powieki miała opuszczone i nerwowo obracała na palcu wielki pierścień z rubinem.

Odpowiedziałabym, gdybym tylko wiedziała jak, pomyślała Anna. Rzadko zdarzało jej się doznawać takiego zakłopotania, jak teraz. Chciała mu powiedzieć prawdę, ale nie mogła. Biorąc ją w ramiona, Jack rozpałił ogień, którego nie udało jej się ugasić ani przez całą chłodną noc, ani przez pół dnia. Gdyby poprzedniego wieczoru powiedział jej to, co teraz, być może nie byłaby w stanie uchronić się przed...

Szaleństwem! Musiała raz po raz powtarzać sobie w myślach, że Jack oświadcza jej się z zupełnie niewłaściwego powodu.

- Nie - odezwała się w końcu. - Nie mogę odpowiedzieć. Ogarnęło go gorzkie rozczarowanie. Ale czego właściwie się spodziewał? Kilкома przypadkowymi słowami ujawnił swoje uczucia, ale jej pozostały w ukryciu. Czy naprawdę spodziewał się wzajemności?

- Rozumiem. Wobec tego muszę jeszcze raz prosić o wybaczenie, że zachowałem się niestosownie. Naturalnie, pani, nie możesz mi odpowiedzieć w sposób, jakiego bym

oczekiwał skoro dałaś już taką odpowiedź komuś innemu.

Anna pojęła nagle z niezwykłą jasnością, że jeśli potwierdzi. Jack odejdzie i nigdy więcej się nie zobaczą. Nie, pomyślała, mniejsza o powód, dla którego mi się oświadczył, przede wszystkim muszę zastanowić się nad swoimi uczuciami. Gdybym tylko umiała je nazwać!

- Nie - stwierdziła stanowczo. - Nie chodzi mi o Ralpa, lecz o siebie. Chcę powiedzieć, panie, że nie mogę dać ci odpowiedzi teraz. Przemyślę twoje słowa i jeszcze wrócimy do tej sprawy.

Jack również potrafił ukrywać swoje uczucia, dlatego Anna nie zauważyła żadnych oznak olbrzymiej radości, jaka go opanowała.

- Przemyśl je więc teraz - poradził. - Porozmawiajmy od razu.

- Nie. Jeśli twoje oświadczenia są szczere, proponuję, żebyś wrócił do Ravensglass i dał mi czas na uporządkowanie myśli.

Wrócić... do Ravensglass, do życia, które już na wpół zapomniał? Bez Anny? Nie wiedząc czy wóz, czy przewóz? Niemożliwe!

- Ile czasu potrzebujesz do namysłu? - spytał ostrożnie. Panna Latimar spojrzała na niego z nieprzeniknioną miną.

Czy naprawdę potrzeba jej czasu na myślenie?... Nagle coś granatowego mignęło przy drzwiach suszarni. Zorientowała się, że lady Katharine wróciła i życzy sobie, by jej podopieczna natychmiast podjęła swoje obowiązki.

- Czeka na mnie Wielka Dama, Jack. Jedź z Bogiem. Będziemy do siebie pisać, a kiedy wrócisz do Greenwich...

- List z północy idzie miesiącami - przerwał jej surowym tonem - a ja nie zamierzam wrócić do stolicy w przewidywalnej przyszłości. Zostanę tu aż do czasu, gdy się namyślisz, pani.

Jeden z dżentelmenów w Greenwich powiedział kiedyś ze śmiechem w obecności Anny: „Hamilton nigdy nie zapomina odwzajemnić przysługi i nigdy nie przebacza obrazy. Każdego swojego posterunku jest gotów bronić do ostatniej kropli krwi. Jego zaciętość przeszła już do legendy!”. Teraz Jack najwyraźniej zamierzał jej tego dowieść, a ona mogła tylko mieć nadzieję, że kieruje się słusznymi powodami.

- Niech tak będzie, Jack - powiedziała. Zawrócili i z powrotem weszli do suszarni.

Życie w Greenwich toczyło się normalnym trybem. W ostatniej dekadzie marca, zazwyczaj mokrego i wietrznego, zaświeciło piękne słońce. Wyraźnie zamierzało zadać kłom ludowej mądrości, jakoby wiosna w Anglii nie przychodziła bez burz.

Anna, która obserwowała budzenie się przyrody do życia i podczas spacerów, i wyglądając przez okno sypialni wychodzące na ogród, spędzała czas dość jałowo, nie czyniąc postępów w myśleniu o poważnych sprawach.

Jack Hamilton zachowywał wobec niej dystans, czego nie można było powiedzieć o Ralphie, który niemal bez przerwy jej asystował i w ten sposób dawał do zrozumienia, że popełnił gruby nietakt w wieczór kolacji u Thorntona. Poprosił ją zresztą o wybaczenie tego aroganckiego zachowania.

W końcu miesiąca sporo padało, często jednak również świeciło słońce. Królowa, która niechętnie pozostawała w stolicy, bo jej klimat w ciepłych porach roku uważała za niezdrowy, przygotowywała się do krótkiego pobytu w Hampton. Anna wpadła w doskonały nastrój na myśl o tym, że wkrótce znajdzie się niedaleko Maiden Court.

Miała nadzieję, że nie będzie zmuszona rozstrzygnąć swojego dylematu przed wizytą w domu, zanim dowie się, co powiedział ojciec Jackowi. Jednak któregoś wieczoru, gdy przygotowywała się do ostatniego balu maskowego w Greenwich, dostała liścik od Hamiltona, w którym prosił ją o kilka chwil rozmowy.

- Nie możesz teraz iść - sprzeciwiła się Allison Monterey - Obiecałaś mi ufryzować włosy, a nikt tego nie robi tak dobrze jak ty. Niech paż powie Jackowi, że spotkasz się z nim wieczorem.

Zadowolona z kilkogodzinnego odroczenia wyroku, Anna poleciła chłopcu, by przekazał milordowi, że obowiązki nie pozwalają jej odbyć tej rozmowy niezwłocznie, ale chętnie spotka się z nim wieczorem. Potem zaczęła układać niesforne loki Allison.

Gdy skończyła się kolacja i ucichł gwar, a Jacka wciąż nie było, Annę nawiedziły złe przecucia. Wiedziała, że Ralph, który podczas biesiady zajmował jak zwykle miejsce w pobliżu królowej, wkrótce podejdzie do niej i zabierze ją na tańce.

Rozejrzała się dookoła po zatłoczonej sali, szukając znajomej siwej głowy, ale bez powodzenia, zauważyła natomiast swojego brata George'a, który posilał się w towarzystwie żony. Gdy pochwycił jej spojrzenie, wstał i podszedł do Anny. Nie rozmawiała z nim prywatnie od dnia swojej potajemnej wyprawy do Maiden Court. Brat czule ją pocałował i usiadł obok niej na ławie.

- Siostrze, jak pięknie wyglądasz, masz niezwykle elegancką suknię.

Anna włożyła tego wieczora jedną ze swych nowych kreacji, bardzo twarzową, bladozieloną.

- Dziękuję. - Widząc, że zatrzymał wzrok na jej nietkniętym talerzu, dodała: - Niestety, ta suknia jest dość obcisła i chyba nie odważę się dzisiaj nic zjeść.

Roześmiał się.

- Rozumiem, że nie masz apetytu. Ja też bym go stracił, gdyby Jack Hamilton zagiął na mnie parol.

- Wiesz o tym?

- Naturalnie. Ponieważ w Greenwich jestem najbliższym spokrewnionym z tobą mężczyzną, Jack czuł się w obowiązku poinformować mnie o rozwoju wypadków.

- I co o tym sądzisz?

- Myślę, że mieć dwóch narzeczonych jednocześnie to dość osobliwa sytuacja.

- On nie jest moim narzeczonym - kwaśno odparła Anne. - Oświadczył mi się, a ja... zastanawiam się nad tym. Wciąż jestem zaręczona z Ralphem.

- To dlaczego nie powiedziałaś tego Jackowi od razu? - spytał George. - To nie jest człowiek, z którym można igrać, sama wiesz.

- Och, wiem! Strasznie się zaplątałam, George. Nie mam pojęcia, dlaczego od razu nie dałam Jackowi odprawy.

- Nie masz pojęcia? A zwykle jesteś taka bystra!

- Przestań sobie dworować i powiedz, co mam zrobić?

- Tego nie mogę, ale zdradzę ci, Anno, jakie jest moje zdanie w tej sprawie. Uważam, że jeśli poświęciłaś oświadczyńcom Jacka choćby chwilę namysłu, oznacza to, że Ralph nie jest mężczyzną dla ciebie. A skoro nie jest, powinnaś mu to powiedzieć wprost. Wstyd mi, że pozwalasz sobie na takie igraszki.

- Mnie też jest wstyd - przyznała żalosnym tonem - ale wcale z nikim nie igram. Doszłam do tego, że nie mogę myśleć. spać, skupić się, w ogóle nic nie mogę.

- Całkiem ci to służy - stwierdził pogodnie George. - Czy Jack czeka na twoją odpowiedź i chce ją dostać przed wyjazdem w dzicz Northumberlandu?

- Tak, ale wolałabym, żeby tam pojechał. Może gdyby nie było go na miejscu, umiałabym zdobyć się na więcej obiektywizmu.

Wielkie nieba, Anno! - pomyślał George ze smutkiem. Już sama taka myśl powinna ci pomóc zorientować się w sytuacji.

Przyjrzał się siostrze, która machinalnie przesuwiała łyżkę po talerzu, mając w oczach wyraz całkowitego zagubienia. Tak bardzo się różniła od Anny, która z wielką swadą mówiła o zajmowaniu należnego jej miejsca na dworze, że mogłaby uchodzić za zupełnie obcą osobę. Mimo to rysy jej delikatnej twarzy były George'owi doskonale znane. Zmiana zaszła wewnątrz.

- Czy nie masz dla mnie żadnej rozsądnej rady? - spytała, podnosząc wzrok. - Czuję

się tutaj bardzo samotna. Nie mogę porozmawiać o tym z żadną moją przyjaciółką ani naturalnie z Ralphem, ani z...

- Ani z Jackiem?

- No, gdyby Jack nie był tym zainteresowany, to akurat z nim mogłabym porozmawiać o wszystkim.

Znów jakże wymowne stwierdzenie! Gdyby nie chodziło o jego siostrę i o Hamiltona, George poradziłby tak: Jeśli takie są twoje uczucia, pani, łap szybko ten wzór wszelkich cnót i mocno trzymaj, żeby ci nie uciekł. Ponieważ jednak nie mógł tego zrobić, zaproponował:

- Opowiedz mi o swoich uczuciach do Jacka. - Ich sąsiedzi przy stole już wstali, by śladem królowej udać się do sali tanecznej, George i Anna zostali więc sami.

Anna niewiele zjadła, ale wina sobie nie odmawiała i dzięki temu mogła się zdobyć na całkowitą szczerość.

- On jest jak ciepła peleryna w chłodny dzień... nie z jakiegoś wspaniałego materiału, lecz z porządnej, grubej wełny, nieprzepuszczającej dokuczliwego, zimnego wiatru. Jest jak pierwsza kromka chleba, którą bierzesz do ust każdego ranka. Przy nim mam takie wrażenie, że nic złego nie może się stać, bo jestem pod jego opieką... - Urwała. Do tej pory nie wiedziała, że to właśnie czuje... te słowa przyszły same.

George zamyślił się nad nimi, a potem stwierdził:

- Takie uczucia budzi kochający bliski krewny.

- Masz rację, ale wiedz, George, że gdybyś teraz mnie objął i pocałował, nie miałabym wrażenia, że serce bije mi tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi, - Znów wyznała coś, z czego nie zdawała sobie sprawy! Ale to była prawda. Tamtego wieczora Jack postanowił nadać ich znajomości zupełnie inny wymiar, a ona mimo zmieszania i zakłopotania, jakie wówczas poczuła, nie potrafiła o tym zapomnieć.

George uniósł brew.

- Rozumiem. Skoro więc twoje uczucia są takie a nie inne, właściwie nie wiem, co ci stoi na przeszkodzie. Na co czekasz, siostrze?

- Jest przeszkoda... Marie Claire. Kimkolwiek jestem i mogę być dla Jacka, zawsze pozostanę na drugim miejscu, a jak dobrze wiesz, nigdy nie umiałam pogodzić się z tym, że ktoś jest przede mną.

- Marie Claire... - powtórzył wolno George. - Tak, jego pierwsza żona.

- I pierwsza miłość! Jedyna miłość, jak utrzymuje Jack i wszyscy dookoła. Czy wiesz, że w Ravensglass Marie Claire ma swoje mauzoleum? Paskudną budowlę z różowego marmuru, w której jak rok długi Jack składa kwiaty ku czci tej przeklętej kobiety!

- Anno - zapytał nagle zaniepokojony George - ile wina wypiałś dziś wieczorem?

- Och, mnóstwo!

George wiedział, że jego siostra nie powinna pić. Jeden kielich wina jeszcze znosiła, ale jeśli pozwoliła sobie na więcej, zaczynała wyglądać na pijaną. Ojciec zawsze twierdził, że w całym chrześcijańskim świecie nie znajdzie się drugiej osoby z tak słabą głową.

Rozejrzał się po sali. Judith nie było, zapewne przeszła do sali tanecznej. Szkoda, bo mógłby ją poprosić, by zaprowadziła siostrę na górę i położyła do łóżka, zanim Anna ściągnie na siebie nieszczęście.

Judith znikła, ale Ralph Monterey jeszcze był w pobliżu. Właśnie opuścił podwyższenie i ruszył w ich kierunku. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i z drugiej strony ukazał się Jack Hamilton. Stanęli twarzą w twarz przed Anną i George'em w wąskim przejściu między długimi stołami. Obaj skłonili głowy.

- Jeszcze nie wyjechałeś do swojej północnej fortecy, Hamilton? - spytał Ralph.

- Jak widzisz - odparł Jack i zwrócił się do Latimarów: - Czy zechcesz uczynić mi ten zaszczyt i zatańczysz ze mną, lady Anno?

Anna popatrzyła na obu mężczyzn stojących tuż obok siebie. Wino, które często rozwiązywało jej język i powodowało przez to fatalne skutki, tym razem wyostrzyło również jej zmysł obserwacji.

Co mogłabym o nich powiedzieć, gdybym widziała ich pierwszy raz w życiu? - zaczęła się zastanawiać.

Ralph jest bez wątpienia przystojniejszy. Jego arystokratyczne rysy, lśniące włosy i piękne oczy urzekłyby każdą pannę. A Jack? Też zwracał uwagę, ale w zupełnie inny sposób. Było widać, że prosty czarny strój okrywa szerokie ramiona i długie, nogi. Krótko ostrzyżone włosy uwidoczniały kształtnie wysklepioną czaszkę, trudno też było nie zauważyć głębi szarych oczu, przysłoniętych gęstymi rzęsami.

Wstała.

- Obiecałam ten taniec Jackowi, Ralph - powiedziała lekko. - Mamy pewną sprawę do omówienia. - Ostrożnie, żeby się nie potknąć, przeszła wzdłuż stołu, Jack podał jej ramię i razem ruszyli w kierunku sali tanecznej.

Monterey popatrzył za nimi, a potem zwrócił się do George'a:

- Twoja siostra zdaje się nie znać swojego miejsca, Latimar.

- Mógłbym coś powiedzieć na ten temat, gdybym wiedział, jakie to jest miejsce, a także gdyby ona to wiedziała.

- Przy mnie - odparł Ralph. - Wszystko jest ustalone, więc nie pojmuje, jakie sprawy

do omówienia z Hamiltonem może mieć Anna.

- Och, są przyjaciółmi. - George nie widział konieczności rozwijania tego tematu. - Powiedz mi, Monterey, czy widziałeś. z kim wyszła Judith?

- Owszem. Lady Claremont prosiła królową, żeby pozwoliła jej odprowadzić twoją żonę do komnaty na spoczynek.

To oznaczało, że Judith jest pod dobrą opieką i nie ma się czego obawiać.

- Skoro tak, to mogę przyjąć zaproszenie lorda Borleya na partyjkę kart. Wiem, Ralph, że i ty jesteś zaproszony. Pójdziemy razem?

Korzyść z ojca hazardzisty nie ulegała dyskusji, wszyscy bowiem sądzili, że George odziedziczył po nim talent do kart. Ralphowi zapłonęły oczy. George Latimar nieczęsto siadał do stolika, ale kiedy to robił, okazywał się dobrym graczem, no i miał pękata sakiewkę.

George wyszedł za Ralphem z sali. Martwił się tym, co usłyszał niedawno od Anny, i niepokoił, czy słusznie robi, pomagając jej w odbyciu schadzki z Hamiltonem, ale umiał poznać, kiedy dwoje ludzi ma się ku sobie, a niewątpliwie w tym przypadku: tak właśnie było.

Anna i Jack słabo radzili sobie wśród tańczących. Z bardziej wprawnym partnerem pannie Latimar może udałoby się ukryć chwiejność swoich kroków, ale przy Jacku było to niemożliwe. Po chwili Hamilton powiedział:

- Może powinniśmy usiąść, Anno. Żadne z nas nie wydaje się dzisiaj pewne swoich ruchów.

Zaprowadził ją pod ścianę. Stało tam dużo krzeseł, jednak Anna nie chciała usiąść, wołała przyglądać się swemu odbicia w jednym ze srebrnych zwierciadeł.

- Mamy porozmawiać - odezwał się zakłopotany Jack do niezbyt pewnie stojącej partnerki.

- To prawda. Może wobec tego wyjdziemy na świeże powietrze, które zawsze tak sobie cenisz, panie.

W ogrodzie Anna znalazła ławkę i ciężko na nią opadła, a Jack spojrział na nią karcąco.

- Ławka jest mokra. Dzisiaj nie jesteś sobą.

- Nie? Myślisz pewnie, że się upiłam. Dlaczego nie powiedziec tego wprost?

- Nie śmiałbym rzucać takich oszczerstw - odparł surowo i pomyślał, że nawet w tym stanie Anna jest czarująca i pełna wdzięku. Nienawidził dam, które po wypiciu zbyt dużej ilości wina ciągle piszcząły i w ogóle stawały się niezwykle hałaśliwe. - Skoro tak mówisz, pani, to wytłumacz mi, co się stało. O ile wiem, nigdy nie przesadzasz w picciu wina.

Anna rozpostarła swoje spódnice. Miały piękny, zmieniający się kolor, jak morze

falujące w księżycowej poświacie. Zimne światło padało również na jej lśniące włosy i dodawało tajemniczości spojrzeniu.

Jest piękna, pomyślał urzeczony Jack. Ponieważ jednak zdawał sobie sprawę ze stanu, w jakim znajduje się dziewczyna, zachowywał czujność. Musiał pilnować i jej, i siebie. Gdzieś w oddali słowik wywodził srebrzyste trele. Anna milczała.

- Czy przemyślałaś, pani, moje oświadczenie? - spytał w końcu Jack.

- Tak - odrzekła spokojnie. - To było dla mnie bardzo, bardzo trudne.

- Dlaczego? Zwykła propozycja małżeństwa. Musiałaś pani dostać w przeszłości niejedną.

- Och, naturalnie - przyznała wesoło Anna - ale żadna z nich nie wzbudziła we mnie tylu wahań.

- Ta od Monterey też nie?

- Stanowczo nie - odparła. - Ralph i ja pokochaliśmy się od pierwszego wejrzenia.

Jack wpadł w złość. Co się z nią dzieje? Siedzi na ławce w ogrodzie, plecie androny i usiłuje go sprowokować, chociaż wie, że nie dla niego są takie gry.

- Jeśli jednak jest coś takiego, jak drugie wejrzenie - podjęła Anna - to muszę przyznać, że moje odczucia się zmieniły. - Wstała. - Czy wiesz, Jack - spytała tonem zwierzenia - że tu, w Greenwich jest ptaszarnia, taki niewielki pawilon, w którym hoduje się egzotyczne ptaki?

- Nie, tego nie wiedziałem. - Chyba śnię, pomyślał.

- W lecie ptaki mają dla siebie bardzo dużo miejsca, ale na zimę wylapuje się je i przenosi do znacznie mniejszego budynku, gdzie można utrzymać ciepło dzięki specjalnemu urządzeniu z glinianymi rurami. Nie pamiętam dokładnie, jak to działa, ale chciałbym teraz tam pójść.

- Teraz? Jest prawie północ, pani. Myślę, że twoje dobre imię mogłoby na tym ucierpieć.

- Znowu? Myślę, że po Transmere nic mi już nie może zaszkodzić.

- O Transmere mało kto wiedział - odparł krótko Jack - poza tym zapomniano już o tamtym wydarzeniu. Za to w tym pałacu każdy wie wszystko o wszystkich.

Spojrzała na Jacka. Przez kontrast z siwymi włosami jego opalona twarz wydawała się bardzo ciemna i groźna, lecz Anna się nie bała.

- Ja w każdym razie tam idę. Możesz mi towarzyszyć, panie, albo nie, jak sobie życzysz.

- Naturalnie, pójdę z tobą, pani - odparł rozdrażniony. - Gdzie to jest? - Wskazówki

Anny były bardzo niedokładne, ale dzięki żołnierskiej orientacji w terenie Jack zdołał odnaleźć ptaszarnię. Otworzył drzwi i przepuścił Annę przed sobą.

Otoczone gęstą siatką wysokie pomieszczenie z kopułą wydawało się całkiem puste, mimo że na kamiennym stole pośrodku paliły się dwie rogowe latarnie, jednak ich wejście zaniepokoiło ptaki, nagle więc znaleźli się w rozćwierkanym zgiełku. Bujna roślinność, potrzebna mieszkańcom tego pomieszczenia do życia, wymagała dużej wilgotności, w ptaszarni było więc parno i bardzo ciepło.

Anna odchyliła głowę, żeby przyjrzeć się stworzeniom siedzącym nad jej głową.

- Ojej, wyglądają jak klejnoty! Czy widziałeś kiedyś, panie, takie kolorowe ptaki?

- Nigdy. To chyba nie są gatunki żyjące w Anglii.

- Naturalnie, że nie. Przywożą je marynarze z krajów, o których nigdy nie słyszeliśmy. Te ptaki muszą bardzo cierpieć, kiedy odbiera im się słońce i ciepło, przywożąc je tutaj, gdzie jest tak szaro i zimno. Słyszałam, że większość ginie podczas transportu. Czy wydaje ci się to uczciwe, Jack?

- Nie. - Pobudzony tą uwagą, Hamilton nagle znalazł się na pokładzie statku, którym przed dwunastoma laty, w mroźny poranek, przyłynęli z Marie Claire do Anglii. Gdy przedstawiał żonę swoim bliskim, Marie Claire powiedziała: „*Mon cher*, jak tu zimno i szaro”. Ją też wyrwał z naturalnego środowiska, z kraju jasnego słońca i turkusowego nieba.

Teraz myśli o niej, odgadła Anna. Poznaje ten wyraz twarzy.

- Przysłałeś mi, panie, bilet z wiadomością, że chcesz ze mną porozmawiać. Proszę bardzo - przerwała mu rozmyślania.

Jack wrócił do rzeczywistości.

- Tak. Jak wspomniałem wcześniej, chcę się dowiedzieć, czy rozważyłaś, pani, moją propozycję. Powiedziałaś, że tak, i że miałaś wiele wahań. Proszę, mów dalej.

- Rozważyłam - powiedziała szybko Anna - i doszłam do wniosku, że twoja propozycja, panie, jest niewykonalna.

- Z powodu Monterey?

- Nie, Jack. Z twojego powodu.

Duchota w ptaszarni wywierała na nią jak najgorszy wpływ. Musiała walczyć z widocznymi następstwami wypicia nadmiaru wina, nogi się pod nią uginały, ale myślała zaskakująco jasno.

- Tobie nie jest potrzebna żona, Jack - powiedziała zapalczywie - bo w głowie i sercu już ją masz.

- Rzeczywiście jesteś pijana, pani - stwierdził chłodno. - Może powinnaś usiąść. -

Zaprowadził ją do ławy stojącej pod ścianą.

- Mogę usiąść - przyznała z godnością - ale doskonale wiem, co mówię, i właśnie to chcę powiedzieć. Usiądź, panie, obok, do licha! - dodała z irytacją. - Zawsze patrzysz na wszystkich z góry!

- Taka jest kara za bycie wyższym - odparł z powagą. - Myślę, Anno, że lepiej odłożyć tę rozmowę do czasu, aż wy wietrzeją ci z głowy opary wina.

Wybuchnęła śmiechem.

- Tobie, panie, nigdy trunek nie mąci myśli i kroków. Dżentelmen nie biorący wina do ust wydaje mi się dość dziwny. Czy możesz się wytłumaczyć?

- Owszem, mogę - odparł nie mniej napastliwie, niż spytała Anna. - Kiedy straciłem żonę, szukałem pocieszenia w winie. Chodziłem pijany od świtu do wieczora i byłem z tego całkiem zadowolony. Zdawało mi się, że w ten sposób radzę sobie bez Marie Claire. Rzecz jasna, wcale tak nie było. Przestałem więc pić, ale nigdy potem już sobie nie zaufałem. Te ciche słowa wstrząsnęły nią do głębi.

- Rozumiem. Przepraszam... że znowu przypomniałam ci o niej, panie. - Opuściła głowę. Gęste czarne włosy przysłoniły jej twarz.

Jack zdobył się na olbrzymi wysiłek. Nie był człowiekiem wymownym, ale musiał znaleźć słowa, które mogłyby dać mu to, czego pragnie.

- Wcale mi jej nie przypominasz, Anno. Nie ma w tobie nic takiego, co by się z nią kojarzyło.

- Wiem - powiedziała i jej oczy zaszyły łzami. - Pod żadnym względem nie wytrzymuję porównania z Marie Claire.

Niechby tylko przestała wciąż powtarzać to imię! To drogie imię, które z najwyższym trudem przechodziło mu przez gardło i którego dźwięk w cudzych ustach tak go raził.

- Czemu miałoby tak być? Ty jesteś zupełnie inną kobietą, Anno, i moje uczucia do ciebie też są zupełnie inne.

Ujął ją za rękę.

- Wiem, że nie jestem dobrym mówcą, ale oświadczyłem ci się ze szczerego serca. Teraz ci obiecuję, że jeśli zdecydujesz się przyjąć moje oświadczenia, będę przykładnym mężem.

- Dlaczego, Jack? Dlaczego chcesz mnie poślubić? Co mamy ze sobą wspólnego? Przecież jesteśmy tacy różni.

- To prawda, że różni. - Uchwycił się tego słowa. - Czy to jednak źle? Zaręczyłaś się z mężczyzną, który jest do ciebie w pewnym sensie bardzo podobny. Doskonale rozumiesz, jak

i dlaczego się zachowuje, ale czy spełnia twoje potrzeby? Na pewno nie. Ojciec zawsze mi powtarzał: „Dobrze, jeśli małżonkowie są podobni, bo wtedy zawsze stoją na wspólnym gruncie”, ale nikt podobny do mnie nie mógłby mi pokazać życia od tej strony, od której ty mi je pokazujesz, Anno. Taka kobieta nawet nie zdawałaby sobie sprawy z tego, na co ty zwróciłaś mi uwagę, nawet jeśli dotyczyłoby to mojego domu, do którego jestem taki przywiązany. Gdybyś zechciała zostać moją żoną, z radością zgodziłbym się na to, że jesteśmy różni.

On nie jest dobrym mówcą? Takiej elokwencji nie powstydziliby się nawet uznany poeta, pomyślała Anna. Gdybym tylko miała pewność, że za słowami Jacka kryje się to, czego naprawdę pragnę. Czy jednak mężczyzna mógłby wypowiedzieć takie słowa, gdyby nie był do nich przekonany? Zwłaszcza Jack Hamilton, który gardzi kłamstwem? Byłoby pewnie lepiej, gdyby świat w tej chwili nie falował jej przed oczami, ale w myśleniu jej to nie przeszkadzało.

- No, przynajmniej taka jest korzyść z moich zapewnień, że przestałaś płakać, pani. Czy czujesz się już na siłach powiedzieć mi, co o tym myślisz?

- Nie bardzo wiem, co sądzić o tym wszystkim, Jack. Prawdę mówiąc, w ogóle nie jestem zdolna do myślenia.

- Miałaś na to czas, pani, przez ostatnie długie tygodnie. Jeśli nie ma dla mnie nadziei, powiedz mi to od razu, i koniec.

- I co by się stało, gdybym to zrobiła? Gdybym powiedziała: „Twoje oświadczyń, Jack, są nie do przyjęcia?”, to jak byś wówczas postąpił?

No właśnie, jak? Sam się nad tym zastanawiał. Niewątpliwie Anna była wstawiona, ale człowieka, który upijałby się w ten sposób, Jack jeszcze nie widział. Myślała całkiem jasno, zasługiwała więc na ucziwą odpowiedź.

- Sprzeciwiłbym ci się najostrej, jak tylko umiem! Kocham cię, Anno. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale mówię prawdę.

Patrzyła na dziesiątki barwnych ptaków nad ich głowami.

- To za mało - stwierdziła obojętnie.

- Za mało! Co może być ważniejszego od miłości?! - Hamilton spojrzał na jej uroczy profil i poczuł, że nic nie rozumie.

- Szczerze przedstawiłem swoje oczekiwania. Czy nie możesz mi odpowiedzieć wprost, pani?

Przestała obserwować ptaki, zatrzymała wzrok na Jacku i powiedziała:

- Nie wiem, czy mogę. Czy rzeczywiście mówisz wszystko wprost? Chcesz, żebym

cię poślubiła. Twierdzisz, że propozycja jest absolutnie uczciwa, ale chyba nie do końca masz rację. Przyjmując twoje oświadczenia, musiałabym ponieść wiele wyrzeczeń, Jack. Musiałabym zerwać z człowiekiem, który postanowił osiągnąć wysoką pozycję w świecie, w którym i ja, jak sądzę, mogłabym, się wyróżnić. Musiałabym postąpić wbrew woli ojca, którego kocham ponad wszystkich ludzi. Musiałabym też zamieszkać tam, gdzie kobiety są niczym. Czy to nieprawda?

- To wszystko prawda - przyznał. Jej bystrość zasługiwała na duże uznanie.

- Muszę więc postawić sobie pytanie, co możesz mi zaoferować w zamian za to wszystko. - Anna sama się nie poznawała. Przecież nie miała zwyczaju rozważać każdego tematu ze wszystkich możliwych punktów widzenia ani też drobiazgowo analizować swoich uczuć. Dotąd nie było jej to potrzebne, ostatnio jednak z każdym dniem odkrywała w sobie coś nowego. - Niestety, nie znam odpowiedzi - dodała.

- Mogę, pani, zaoferować ci w zamian moje nazwisko, które noszą ludzie od wielu pokoleń, ponadto opiekę i lojalność. Również mój dom, który, jak dobrze wiesz, stanowi garnizon Jej Królewskiej Mości. Jestem przekonany, że twoja obecność doda mu znaczenia.

- Nie wspomnisz o miłości?

- Już powiedziałem, że cię kocham, pani, i że zapewne trudno ci w to uwierzyć... ale jest wiele rodzajów miłości, Anno.

- Hmm. To wiem. Może wrócimy do tej sprawy później... Teraz muszę się dowiedzieć, dlaczego mi się oświadczyłeś, panie. Chodzi o to, co zaszło w bibliotece, prawda?

Przez chwilę zdawał się nie rozumieć, potem mimo opalenizny było widać, że jego twarz pokrywa się rumieńcem. Oczy mu spochmurniały.

- Nie, nie o to... To znaczy... Naturalnie zachowałem się niewybaczalnie. Przyjmuję za to pełną odpowiedzialność i doskonale rozumiem, pani, jak bardzo musiałaś być wstrząśnięta i zakłopotana.

- Och nie, ani wstrząśnięta, ani zakłopotana - przerwała mu spokojnie. - Przeciwnie, kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że to mi się podobało. Było mi przyjemnie w twoich objęciach, Jack, i przyjemnie było czuć dotyk twoich warg.

Pierzaści mieszkańcy ptaszarni zdążyli się już uspokoić i ponownie zasnąć, dookoła panowała więc cisza.

- Czyżby...?

- Tak. Czy jestem zbyt śmiała? Skoro jednak już to wyznałam, możesz mi się odwzajemnić i wytłumaczyć, dlaczego po paru miesiącach naszej przyjaźni nagle mi się

oświadczyłeś. Dobrze odgadłam powód, prawda?

Jack mógł teraz myśleć tylko o tym, co powiedziała Anna o incydencie w bibliotece, a z bezcennych wskazówek Roberta Dudleya zapamiętał tylko tyle, że dziewczyna zawsze zwracała się do niego w potrzebie. Teraz ona samą potwierdziła, że łączy ich również inna więź. Co za radość!

- Nie - powiedział bez pośpiechu. - Źle odgadłaś, pani. Wybacz mi, że odpłacam szczerością za szczerość, ale mimo tego, co zaszło między nami, mimo uczuć, jakie mógłbym żywić do twojej rodziny i w konsekwencji również do ciebie, nie byłbym gotów z takiego powodu wiązać się przysięgą na resztę życia. Oświadczyłem ci się, Anno, bo ty jesteś dla mnie najważniejsza. Nie myślałem ani o rycerskich zasadach, ani o honorze... - Urwał, ale dziewczyna wreszcie usłyszała to, czego chciała. Teraz zabrakło jej argumentów, bowiem ostatni został obalony.

- Pozostaje jeszcze Ralph... - powiedziała niepewnie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wywołała wilka z lasu. Drzwi ptaszarni otworzyły się i stanął w nich Ralph. To znowu spłoszyło ptaki, które zerwały się ze swoich miejsc, świergocąc. Nie zważając na ten kolorowy zgielk, Monterey spojrział najpierw na Annę, potem na Jacka.

- Tego już za wiele! - powiedział.

Chwilę wcześniej usłyszał złośliwy przytyk od jednego z graczy i nawet George Latimar nie zdołał go zatrzymać przy karcianym stoliku. Zainteresowanie, które Anna okazywała Hamiltonowi w miejscach publicznych, Ralph mógł jeszcze znieść, nie traktował bowiem tego człowieka jak groźnego rywala, a poza tym związki Jacka z rodziną Latimarów czyniły tę znajomość dopuszczalną.

Jednak to, że tych dwoje nocą szukało odosobnionego miejsca, by tam kultywować tak zwaną przyjaźń... No, nie! Gdyby do tego dopuścił i wyszłoby to na jaw, stałby się pośmiewiskiem całego dworu.

- Przyszedłeś w odpowiedniej chwili, Monterey - odezwał się spokojnie Jack. - Od kilku dni zamierzam z tobą porozmawiać i widzę, że nie mogę dłużej tego odkładać.

- Słucham z uwagą - odrzekł ironicznie Ralph. Przeszył Hamiltona wzrokiem i jak zwykle poczuł do niego nienawiść.

- Złożyłem lady Annie propozycję małżeństwa. Przyszliśmy tutaj o tym porozmawiać.

- Wielki Boże! - Monterey wpadł we wściekłość. - Nie wierzę własnym uszom. Tak postępuje rycerz! Gdzie się nagle podziały twoje wzniosłe zasady etyczne, Hamilton? Te zasady, które z takim uporem starałeś mi się wpoić dziesięć lat temu? - Ralph zareagował agresywnie, choć nie uważał, by Anna ponosiła tu winę. Czuł się jednak osobiście znieważony.

- Niestety, źle się mają - odrzekł Jack. - Muszę przeprosić, że nie przyszedłem z tym najpierw do ciebie, panie.

- Mniejsza o mnie, milordzie, ale ojciec tej oto damy...

- Z ojcem już rozmawiałem - wtrącił Jack. Ralph wytrzeszczył na niego oczy.

- I co ci powiedział Harry Latimar?

- Pomysł nie podobał mu się od samego początku.

- Tak należało przypuszczać! - Monterey zwrócił się ku Annie i chciał podać jej ramię.

- Chodźmy, pozwól, że zabiorę cię stąd, byle jak najdalej od tego... dżentelmena.

Anna splotła ręce na kolanach, uniosła głowę i spojrzała Ralphowi w oczy.

- Masz niezwykły talent do ingerowania w moje prywatne rozmowy z Jackiem, Ralph

- powiedziała cicho. - Lord Hamilton zwrócił się do mnie w jak najbardziej stosowny sposób i poprosił mnie o rękę, a ja mam mu dać odpowiedź.

- Więc ją daj, byle szybko! - burknął zniecierpliwiony Ralph.

Anna przeniosła wzrok na Jacka. W tym małym, zamkniętym świecie znalazło się dwoje graczy: ona i Ralph. Oboje lubili stawiać wszystko na jedną kartę. Tylko Jack Hamilton postępował inaczej. Zdecydował się ją poślubić, najwidoczniej jednak nie zastanowił się nad ujemnymi skutkami swoich oświadczeń, a jest przecież człowiekiem, z którego opinią się Uczyła. To nie byłby bezpieczny związek. Każde z nich stanowiło dla tego drugiego szansę... ale jakże niewielką!

„Zawsze pomyśl, jaka jest stawka i ile można wygrać”. Nieraz słyszała, jak ojciec radzi w ten sposób początkującym graczom i sama dokonała podobnego rachunku w chwili, gdy Ralph podał jej ramię. Stawką była ona sama i jej ambicja osiągnięcia szczęścia na dworze Tudorów, zaś nagrodę stanowił Jack, wielka niewiadoma, człowiek, który mógł jej dać szczęście zupełnie innego rodzaju, ale mógł też pograżyć ją w smutku. Przypomniała sobie jednak, co jej brat powiedział o Judith: „Gdy z nią jestem, wtedy wiem, że żyję”. Teraz już go doskonale rozumiała.

- Przemyślawszy dokładnie całą sprawę - powiedziała - postanowiłam przyjąć twoje oświadczenia, Jack. Zostanę twoją żoną.

Obaj mężczyźni, tak samo zaskoczeni, przysunęli się do panny Latimar.

- Jesteś obłąkana! - wykrzyknął Ralph. - Albo pijana! Albo... Chcesz poślubić Hamiltona, którego związek z jego pierwszą żoną obrósł legendą już za czasów mojego dzieciństwa? Moja droga Anno, czym ty możesz dla niego być?

- Nie wiem - odrzekła.

- Dla mnie jest wszystkim - powiedział Jack, starannie ważąc słowa. Jego sny nagle nabrały realnych kształtów. Anna siedziała przed nim, a swą wdzięczną pozą i opanowaniem przypominała rzeźbę. To ona go odmieniła, obudziła z odrętwienia i przy każdym ich spotkaniu, krok po kroku, przybliżała do świata żywych.

- Wszystkim! - powtórzył pogardliwie Ralph, nieświadom czaru, jaki połączył tych dwoje. - Mówisz to w obecności człowieka, który widział, jak leżysz plackiem przed grobem swojej boskiej Marie Claire.

Marie Claire... Jack nie mógł znieść dźwięku tego imienia w czyichś ustach. Jeszcze rok temu z pewnością powaliłby na ziemię każdego mężczyznę, wypowiadającego je takim tonem, teraz jednak uraza wydawała się nieporównanie mniejsza. Nie zwracając uwagi na Ralpa, spytał:

- Czy mówisz poważnie, Anno? To nie będzie dla ciebie łatwe życie, wiesz.

- Wiem - odrzekła cicho.

- To w ogóle nie będzie życie! - krzyknął Ralph. - Jak możesz, Anno? Jak możesz sprawić takie rozczarowanie mnie... lordowi Harry'emu...?

- Gdyby chodziło o życie mojego ojca, na pewno zastanawiałabym się dłużej, ale to moje życie, Ralph, więc zamierzam je przeżyć po swoim.

Monterey miał niewątpliwy talent dramatyczny. Był doskonałym aktorem zarówno w życiu publicznym, jak i prywatnie.

- Nie możesz rywalizować z legendą znaną w całej Anglii. Hamilton uczynił fetysz ze swojej żałoby. Wierz mi, że jakiegokolwiek ma powody, by proponować ci małżeństwo, będziesz do końca swoich dni walczyć z duchem!

- Czy tak, Jack? - Anna przesłała mu przenikliwe spojrzenie Latimarów. Nie chciała prowadzić tej rozmowy w obecności osoby trzeciej, nie miała jednak wyjścia, obawiała się bowiem, że drugi raz nie będzie miała okazji przyprzeć Jacka do muru.

A nim targały sprzeczne uczucia. Najchętniej uciekłby stąd jak najdalej, ale podobnie jak Anna obawiał się, że jeśli umknie tego starcia, okazja może się już nie nadarzyć. Nabrał nagle przeświadczenia, że jest ono konieczne. Chciał, by do niego doszło.

Przeszłość władała nim już zbyt długo i zbyt długo jątrzyła jego rany. Pragnął, by małżeństwo z Anną, jeśli w ogóle do niego dojdzie, stało się dla niego początkiem nowego życia, już bez jątrzących się ran.

- To nie jest tak... - zaczął niepewnie.

- Bardzo przepraszam, że znowu wam przeszkodziłem - przerwał mu Ralph z gryzącym sarkazmem - ale sądzę, że też mam w tej sprawie coś do powiedzenia.

Jack zwrócił się do niego. Przez chwilę znów prawie zapomniał o obecności Monterey.

- Ralph, chcę, abyś wiedział, że to, co tutaj zaszło, nie zostało zamierzone jako obraza twojej osoby. Niełatwo znaleźć dla tego wyjaśnienie, ale jest to szczere. Na twoim miejscu bez wątpienia czułbym się zobowiązany do podjęcia bardzo zdecydowanych kroków, ale czy rzeczywiście jest to niezbędne? Zajmujesz obecnie miejsce tyleż eksponowane, co mało bezpieczne. Czy nie mógłbyś więc okazać wielkoduszności i zwolnić Annę z danego przez nią słowa? Gzy dama, której okazujesz tyle szacunku, nie będzie ci za to wdzięczna i nie doceni twojego gestu?

Nie jest dobrym mówcą? - pomyślała znowu Anna. Słowa Jacka wydały jej się bardzo mądre. Elżbieta nie lubiła, gdy jej kawalerowie się żenili i przedkładali inną kobietę nad

swoją panią, a jeśli już, to lubiła mieć decydujący głos w kojarzeniu pary, aby dowieść, że nawet w kwestii małżeństwa jej zdanie jest najważniejsze.

Ralph długo nie przerywał milczenia. Patrzył na rosnącą opodal dziwną, egzotyczną roślinę z grubymi, bujnymi liśćmi oraz pojedynczym kwiatem o rozmiarach i kolorze niespotykanymi w Anglii.

Przyszło mu do głowy, że ten okaz jest podobny do kobiety, z którą się zaręczył. Nie znał wymagań tego kwiatu, jak i nie rozumiał oczekiwań Anny, i wiedział, że zarówno roślina, jak i panna Latimar, nie mogłyby się przy nim rozwinać. Mimo to nieoczekiwanie poczuł słabość do tej dziewczyny, którą darzył podziwem, choć jej nie kochał.

- A jeśli nie zgodzę się polubownie wycofać? Co wtedy zrobisz, Hamilton?

- Zabiję cię - powiedział cicho Jack. - Jeśli spróbujesz zatrzymać ją przy sobie lub stanąć między nami, to w końcu spotkamy się na ubitej ziemi, żeby rozstrzygnąć sprawę, którą kiedyś nazwałeś honorową. I wtedy cię zabiję.

Ralph wsunął palec za nabijany klejnotami pas. Dostał go w prezencie od Elżbiety, a zdobiły go szmaragdy i brylanty. Mój Boże, pomyślał, on naprawdę ją kocha... Nie mogło być innego wyjaśnienia dla nagłej zmiany stanowiska Hamiltona wobec pojedynków, które dotąd zawsze tak bezwzględnie potępiał. I ten ton... Ralph nigdy nie słyszał w głosie Jacka tak niezwykłych odcieni niepewności i namiętności.

Swemu bratu, Tomowi, powiedział kiedyś, że zna się na kobietach. I rzeczywiście się znał: Gdy więc spojrział z kolei na Annę, pomyślał zazdrośnie: Ona też go kocha.

Kłaniając się przed nią i całując ją w rękę, wiedział, że żegna nadzieję na okazały posag, który obiecał mu jej ojciec, oraz rezygnuje z żony, która nie tylko budziła w nim pożądanie, lecz również mogła stać się ważnym narzędziem służącym do zaspokajania jego ambicji.

I do tego jest taka uprzywilejowana, pomyślał, przypomniawszy sobie testament króla Henryka. Jednak czy wszystko to mogło być przeciwwagą dla groźby, którą rzucił mu w twarz Jack Hamilton?

- Jeśli podjęłaś decyzję, Anno, a zdaje mi się, że tak właśnie jest, to nie będę jej podważał - powiedział. - Życzę ci jak najwięcej szczęścia na tej grząskiej drodze, najmilsza. - Wyszedł z ptaszarni w mrok. Gdy owionęło go chłodne, wilgotne powietrze, pomyślał, że szczęście będzie tym dwojgu bardzo potrzebne.

Anna została sama z Jackiem. To ona odezwała się pierwsza.

- A więc zdławiłeś opozycję, Jack. Teraz stoi przed tobą trudniejsze zadanie. Musisz przekonać mnie.

Po wyjściu Ralpa Jack skubnął kryzę, która bardzo mu przeszkadzała, i głęboko odetchnął, a potem usiadł obok Anny.

- Przekonać? Po co? Z twoich własnych ust dostałem zapewnienie, na które czekałem. Czy chcesz je wycofać?

Nie spojrzała na niego.

- Nie, raczej opatrzyć zastrzeżeniami. Bo widzisz, Jack, są różne sprawy do przedyskutowania. Na przykład: będąc panią Ravensglass, nie zgodzę się na to, bym, wyglądając przez okno na dziedziniec, widziała, jak idziesz składać hołdy swojej dawno zmarłej żonie.

- Chcesz, żebym całkiem o niej zapomniał? Tego nie mogę zrobić!

- Nie całkiem - odparła zadumana Anna. - Chcę tylko, żebyś przyznał, że już nie żyje. Przeszłość jest przeszłością, wszyscy ludzie chowają swoich bliskich i nie zapominają o nich, tylko przyznają im należne miejsce.

Jack ujął ją za rękę i szorstkim kciukiem pogłaskał gładką skórę na jej dłoni.

- To nie będzie łatwe, najdroższa. Wreszcie na niego spojrzała.

- Nazwałeś mnie najdroższą? O ile wiem, nie jesteś człowiekiem, który szafuje czułymi słowami. Tak, chcę być twoją najdroższą. Chcę być najważniejszą osobą w twoim życiu. Zostanę twoją nową żoną, będę się o ciebie troszczyć, darzyć cię miłością i nosić pod sercem twoje dzieci, ale nie zgodzę się zajmować drugiego miejsca! Nie jestem stworzona do takiej roli.

- Czy sądzisz, że tego bym od ciebie żądał? - Uniósł jej rękę do warg. Pierwszy raz zdobył się na ten gest, który tak łatwo przychodził innym mężczyznom, a w przeszłości tak niewiele dla Anny znaczył, nawet gdy całującym był Ralph.

Gdy znów mogła zebrać myśli, powiedziała:

- Nie chcę wyrwać Marie Claire z twojej pamięci, Jack, ale nigdy nie będę z nią dzielić się tobą. Poza tym przekonałam się, że umiesz całkiem zręcznie wyrażać swoje myśli, bo przed chwilą udało ci się przekonać Ralpa. Dlaczego on się tak łatwo poddał? - dodała zamyślona. - Nie jest to dla mnie chyba zbyt pochlebne.

Jack nieznacznie się uśmiechnął.

- Może uznał, że woli być żywym dworakiem niż martwym zalotnikiem.

- Czy naprawdę stanąłbyś z nim do pojedynku? Oczy Jacka spochmurniały.

- Tak, i zrobiłbym to, o czym mówiłem, ale się cieszę, że do tego nie doszło.

Uwolniła rękę i raptownie wstała. Jeden z malutkich ptaków przelatujących z miejsca na miejsce zaplątał się w sieć przy drzwiach. Gdy próbowała go uwolnić, spłoszony ptak

dziobnął ją w wierzch dłoni. Odleciał, uwolniony z pułapki, a wtedy Anna spojrzała na kropelkę krwi, która pozostała po ukłuciu dziobkiem.

- Nie wszystkie istoty, dzikie istoty, są wdzięczne tym, którzy je uwalniają - stwierdziła cicho.

Analogia nie uszła uwagi Jacka.

- Jednak ja jestem ci wdzięczny, Anno, Czy nie możesz w to uwierzyć? Co jeszcze mam ci powiedzieć? - I on wstał, a po chwili wahania znów się odezwał: - Wiem, że wciąż jesteś pełna wątpliwości i rozumiem, że masz ku temu powody, ale nie odbylibyśmy tej rozmowy, gdybym nie ufał, że dotrzymam swojej części umowy, którą zawrzemy w razie, gdybyśmy mieli się pobrać.

Urwał, szukając odpowiednich słów. Przez cały czas wpatrywał się w jej twarz. Z doświadczenia wiedział, że jeden fałszywy ruch może przynieść zgubne skutki, a on nie mógł sobie pozwolić na pomyłkę.

Anna nie zamierzała mu pomagać. Stała przed nim i tylko w jej wielkich, ciemnych oczach odbijało się przekonanie, że właśnie do tego celu zmierzali razem od dawna, może nawet od dnia, gdy się poznali. Wreszcie Jack odezwał się, więc dziewczyna skupiła uwagę na jego słowach.

- Co do Marie Claire... Mogę tylko powiedzieć, że tamto uczucie było, a to jest. Uwielbiałem ją i kochałem w przeszłości, ale i ja byłem wtedy inny. Przysięgam, że nie zamierzam porównywać cię do niej. Jak mógłbym? Nie jestem już młokosem, lecz dojrzałym mężczyzną ze sporym bagażem doświadczeń. Bez obrazy dla jej pamięci powiem, że Kocham cię w zupełnie inny sposób. A jeśli mnie o to poprosisz - dodał z determinacją - zburzę jej pomnik w Ravensglass. Jeśli jednak jesteś kobietą, za jaką cię uważam, to nie wyrazisz takiej prośby. Zrozumiesz, że bryła zimnego marmuru nie stanowi dla ciebie zagrożenia.

Dziwne to było zwycięstwo, ale Anna doceniła jego znaczenie. A ponieważ nic już ich z Jackiem nie dzieliło, wyciągnęła do niego rękę.

Ujmując jej dłoń, spytał.

- Czy teraz porozmawiamy o miłości? Odłożyłaś ten temat na później, ale powiedz mi: jak bardzo mnie kochasz?

Zamyśliła się. Och, miłość... Dopiero teraz zrozumiała, czym jest to uczucie, bo do tej pory jej umysł i serce mąciła fałszywa ambicja błyszczenia w wielkim świecie.

Wahała się długo, aż w końcu Hamilton zacisnął dłonie na jej ramionach.

- Czy nie możesz tego powiedzieć? Proszę cię, Kochanie, wiem, że nie jestem odpowiednim mężczyzną dla ciebie.

- Właśnie że jesteś! - Podniosła wzrok i dopiero teraz Jack mógł w pełni docenić jej urok, bo to miłosne spojrzenie było przeznaczone specjalnie dla niego. - Kocham cię, Jack. Może nawet pokochałam cię od pierwszego wejrzenia, gdy tak bardzo mnie rozzłościłeś, bo w żaden sposób nie chciałeś się dopasować do mojego ideału mężczyzny.